



Tajemnica Czarnobyla
Czy ludzkości groził
atomowy Holokaust?

Zbrodnie Konrada Mazowieckiego
Szokujące kulisy dynastycznych
intryg Piastów

Strażnicy GUłagu mówią
Mrozące krew w żyłach
opowieści czekistów

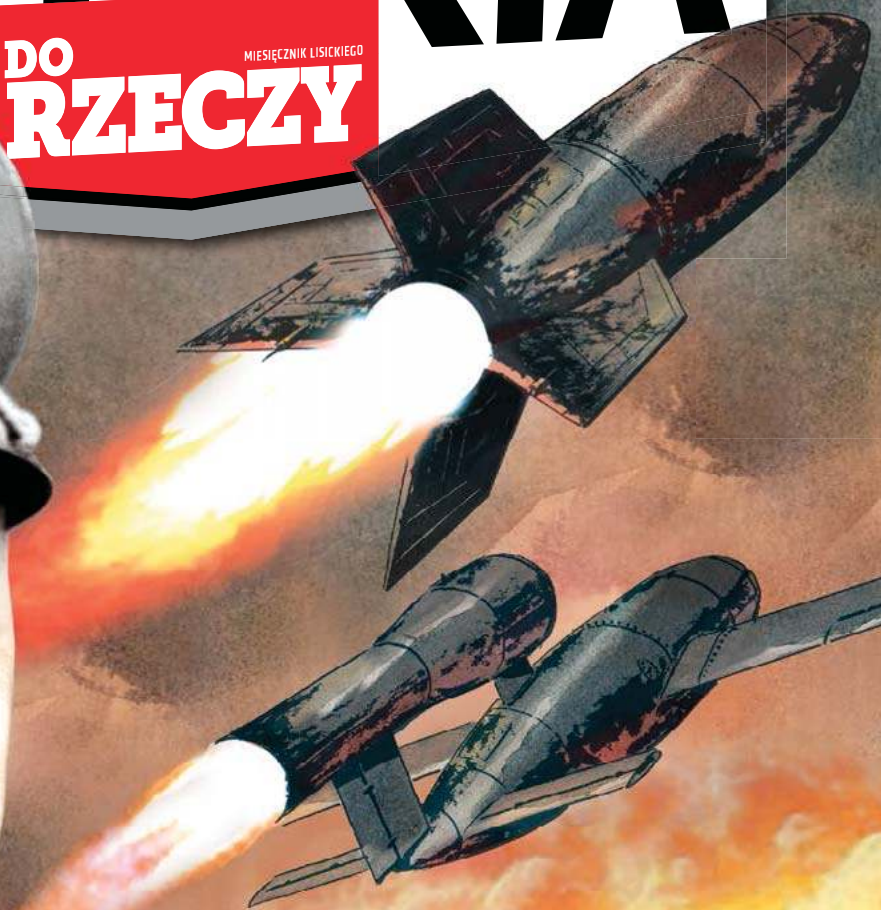
NR 1(83)/2020 STYCZEŃ 2020

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
RZECZY

MIESIĘCZNIK LIŚCIKOWY



Zdobycie sekretów V-1 i V-2
POLACY KONTRA
RAKIETY HITLERA

9 772299 951509



ISSN 2299-9515

DO RZECZY HISTORIA

Nr indeksu 296 031

01>



ORLEN

MECENAS KULTURY

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
Prowadzący: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPÓŁEM:

Redaktorzy: Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (szef studia), Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoedycja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska
Okładka: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: Karol Gac (zastępca), Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także SuperExpress), Marek Budzisz

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA: Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaję egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione. © © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 31 grudnia 1935 r.

Bal sylwestrowy w „Adrii”. W czapeczce – aktor Adolf Dymśa



Od redaktora



Piotr Zychowicz

Bohaterowie cichego frontu

Wojnę, jak wiadomo, toczy się w trzech przestrzeniach. Na lądzie, wodzie i w powietrzu. A w obecnych czasach również w cyberprzestrzeni. Ten klasyczny podział nie uwzględnia jeszcze jednego frontu. Działania nie mniej ważnych niż walki toczonych na polach bitew przez piechotę, broń pancerną, marynarkę i lotnictwo.

Mowa o grze, która rozgrywa się w cieniu. O wywiadzie i kontrwywiadzie. Działania tajnych służb – wbrew temu, co pokazują hollywoodzkie filmy – są często mało spektakularne. Sprowadzają się do mozolnego zbierania i analizowania informacji. Jednak to właśnie od nich często zależy wynik całej wojny.

Mimo że druga wojna światowa skończyła się dla Polski straszliwą klęską, wiele działań naszego wywiadu było imponujących. To polski wywiad złamał szyfry Enigmy, śledził ruchy niemieckich okrętów na Bałtyku i wykraadał najściślej chronione technologiczne tajemnice III Rzeszy. To polski wywiad przechwycił niemiecki pocisk rakietowy V-2 i – wraz z dokumentacją techniczną – przekazał go na Zachód.

Siatki polskiego wywiadu opłótły całą okupowaną Europę i wiele państw na innych kontynentach. Niezwykle silną, prężną

organizację wywiadowczą stworzyła Armia Krajowa. Olbrzymie bohaterstwo służących w naszych tajnych służbach żołnierzy zasługuje na uznanie i szacunek. Wielu z nich za swoje bohaterstwo i poświęcenie zapłaciło najwyższą cenę. Zapłaciło życiem.

Oczywiście nasze służby ponosiły również klęski. A część ich działań – np. pomoc wywiadowcza udzielana bolszewikom – jest nie do usprawiedliwienia. Historia nigdy nie jest jednak czarno-biała. A bilans działalności polskiego wywiadu, o czym mówi w rozmowie z „Historią Do Rzeczy” dr Władysław Bułhak, jest bez wątpienia dodatni. Możemy być z naszych wywiadców dumni.

Na koniec artykułu wstępnego chciałbym powitać na naszych łamach nowego felietonistę. To dr Jacek Bartosiak, znakomity znawca geopolityki i relacji międzynarodowych. Dzięki jego tekstom czytelnicy „Historii Do Rzeczy” będą mogli nie tylko dowiedzieć się o tym, co było, lecz także zajrzeć w przyszłość. Zastanowić się, jakie wnioski z historii wpływają dla naszej obecnej polityki. Witamy na pokładzie! @@



/ TEMAT NUMERU

.6 TOMASZ STAŃCZYK

Wywiad AK i tajemnice rakiet V

.10 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Piasko Wunderwaffe

.14 MICHAŁ MACKIEWICZ
V-1 i V-2

.16 DR WŁADYSŁAW BUŁHAK
Polski wywiad przeciw III Rzeszy

/ CZASY I LUDZIE

.20 GRZEGORZ JANISZEWSKI

Wysadzić Singapur

.24 MAREK GAŁĘZOWSKI
Pucz przeciw Dowborowi

.34 JAKUB OSTROMĘCKI
Apollo 13

.39 LESZEK LUBICKI
Konrad terrorysta

.42 SŁAWOMIR KOPER
Wileńska masakra

.46 SERHII PLOKHY
Tajemnice Czarnobyla

.50 PIOTR ZYCHOWICZ
Powrót
Matuszewskiego

.54 ARKADIUSZ
KARBOWIAK
Holendrzy w służbie
Hitlera

.58 MIKOŁAJ IWANOW
Człowiek, który
nie bał się Stalina



.62 MACIEJ ROSALAK
Kalendarium roku 1920

.66 PIOTR ZYCHOWICZ
Nadzorczy ludzkich odpadów

.70 ŁUKASZ CZARNECKI
Na Jedwabnym Szlaku

.74 PIOTR SEMKA
Pokój z widokiem na wojnę



.28 ANDREW NAGORSKI
Pierwsza klęska Hitlera



/ CO CZYTAĆ

.78 KRZYSZTOF MASŁOŃ

**Witolda Hulewicza
twarda rota
wierności i wiary**

/ FELIETONY



.86 JACEK BARTOSIAK

Tannenberg 1914.88 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Amerykanie jak Polacy.89 PIOTR SEMKA
Walka bez końca.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
O antyniemieckość realną

/ KRESY

.90 TOMASZ STAŃCZYK

**Wilno: Madonna
i mistyczki**/ BATALIE
I WODZOWIE

.94 MACIEJ ROSALAK

**Batory – wojownik
z Siedmiogrodu**

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI,
MACIEJ JASIŃSKI**Śmierć za pomoc
Żydom**

REKLAMA

BELLONA

NOWE
FAKTY

KSIĘGARNIE Świat Książki

swiatksiazki.pl

1942–1944 / Peenemünde, Blizna, Sarnaki

Start pocisku rakietowego V-2
z tajnego ośrodka w Peenemünde

FOT. GETTY IMAGES

Wywiad AK i tajemnice rakiet V



Tomasz Stańczyk

/ Dzięki Polakom alianci uzyskali bezcenne informacje o tajnym niemieckim ośrodku i o jednej z „cudownych broni” III Rzeszy

Fascynująca historia odkrywania tajemnic niemieckiej Wunderwaffe (cudownej broni) przez Polaków miała prawdopodobnie swój początek w zdarzeniu nadającym się na jedną ze scen filmu szpiegowskiego. Pewna Polka, robotnica przymusowa, nawiązała w Prusach Wschodnich romans z esesmanem. Zwierzył się jej, że jest strażnikiem w ośrodku, gdzie produkuje się „bomby latające” dalekiego zasięgu.

„Dziewczyna pozostała pod wrażeniem tej wiadomości i opowiadała każdemu, kto chciał słuchać. Dzięki temu ta wiadomość dotarła do nas” – relacjonował Jerzy Chmielewski „Rafał”, kierownik Biura Studiów Gospodarczych II Oddziału Komendy Głównej AK. Tak więc przypadkiem dowiedziano się o tajnym niemieckim ośrodku, ale odtąd zajął się nim wywiad Armii Krajowej. Chmielewski bowiem zainteresował sprawą płk. Mariana Drobika, szefa Oddziału II. Rozpoczęła się operacja wywiadowcza.

„Afera Peenemünde kosztowała nas przeszło sto pięćdziesiąt ofiar i bardzo dużą wpadkę sieci »Pomorze«, której już nigdy nie udało się odtworzyć w pierwotnym stanie sprawności. Tak samo bardzo trudno jest powiedzieć, komu czy której sieci przysługuje największa zasługa umiejscowienia Peenemünde. Plany Peenemünde zostały przesłane w połowie

1942 r. (o ile pamiętam maj, czerwiec) do Londynu. Nasi »przyjaciele« Angliści, pomimo że już wówczas mieli duże zaufanie do naszej roboty, wiadomość o Peenemünde potraktowali jako fantastyczną i poszła ona do akt” – stwierdził Chmielewski.

Po pewnym jednak czasie przypomniał sobie o niej, gdy napłynęły do Londynu informacje o tajnej broni z innych także źródeł i w rezultacie Peenemünde zostało zbombardowane. Relację Chmielewskiego przytoczył Michał Wojewódzki, autor fundamentalnej książki „Akcja V-1, V-2”, z którego ustaleń także korzystam w niniejszym tekście.

Gromadzeniem informacji i studiami nad „latającą bombą” zajął się specjalny referat pod kierownictwem inż. Antoniego Kocjana, przed wojną znanego konstruktora szybowców.

Rozpoznaniem i zdobywaniem danych wywiadowczych o Peenemünde zajęły się „Lombard”, komórka wywiadu operująca na terenie III Rzeszy, i jej grupa „Pomorze-Poznań”, o której wspominał Chmielewski.

„Lombard” wysłał swojego członka, inż. Jana Szeredera, jako dobrowolnego robotnika na wyspę Uznam. Zatrudniony przy dowożeniu żywności do tajnego ośrodka wojskowego, prowadził obserwacje. Jednak jeszcze cenniejszym informatorem był

Roman Träger, niemiecki podoficer, którego ojciec Augustyn Träger, pochodzenia austriackiego, zamieszkały w Bydgoszczy, kierował jedną z sekcji „Lombardu”. Młody Träger służył w jednostce na wyspie Uznam, obok tajnego ośrodka w Peenemünde. Został, tak jak ojciec, zaangażowany do wywiadu AK z zadaniem rozpoznania znajdującego się tam tajnego ośrodka.

Michał Wojewódzki rozmawiał z Romanem Trägerem, który podobnie jak ojciec, czuł się Polakiem.

Träger tak pisał o swojej misji, odpowiadając na pytania Wojewódzkiego: „Z Peenemünde przekazałem następujące informacje: a) wyrzutnie zbudowane





Zdjęcie ośrodka w Peenemünde wykonane z pokładu brytyjskiego samolotu FOT. ARCHIWUM

są z konstrukcji stalowych szyn, po których wyrzucane są pociski kierowane elektronicznie; lot pocisków sterowany jest ze stacji radiowej znajdującej się na ziemi; wykonałem i przekazałem orientacyjną (wstępny) szkic (mapkę) terenu z rozmieszczeniem obiektów; dołączyłem też do tego opis szkicu”.

Inna wersja, przedstawiona przez płk. Kazimierza Iranek-Osmeckiego, następcę Mariana Drobika na stanowisku szefa Oddziału II, także mówi o Polce i esesmanie, z tym że była ona agentką wywiadu AK. Po jej meldunku udało się przeniknąć dwóm wywiadowcom: „Tolkowi” i „Felkowi”, z legendą przynależności do Waffen-SS, do ośrodka w Peenemünde i zrobić jego szkic. Informacje zostały przekazane do Londynu.

Poligon Blizna

Potężny nalot bombowców RAF w nocy z 17 na 18 sierpnia 1943 r. zdemolował tajny niemiecki ośrodek badań nad bronią raketową w Peenemünde. Spowodowało to, że doświadczenia nad bronią raketową Niemcy postanowili przenieść poza zasięg alianckich bombowców. Nowym miejscem był poligon w rejonie wysiedlonej wsi Blizna, między Mięlcem a Rzeszowem. Pierwsze doświadczenia odpalenia pocisków raketowych nastąpiło na przełomie października i listopada 1943 r.

Pułkownik Kazimierz Iranek-Osmecki, który po aresztowaniu płk. Mariana Drobika przejął kierowanie Oddziałem II, wspominał:

„Teren wokół Blizny był gęsto zalesionym, a administracja leśna była obsadzona przeważnie przez Polaków. Wielu z nich należało do AK, innych połączono do współpracy. Przez tę gęstą sieć została zapewniona ciągła nieomal obserwacja wokół obozu. Nie udało się przeniknąć do wnętrza obozu wobec niezwykle surowych kontroli i nawet Niemcy i esesmani mieli tam wstęp tylko za specjalnymi przepustkami [...]. Dla skontrolowania niektórych meldowanych zjawisk inżynierowie z referatu Kocjana wyjeżdżali w pobliże Blizny w celu osobistej obserwacji. W ten sposób zapewnione zostało rozpoznanie do czasu, gdy pociski upadały wewnątrz poligonu” (Kazimierz Iranek-Osmecki, „Powołanie i przeznaczenie. Wspomnienia oficera Komendy Głównej AK 1940–1944”).

Później jednak rakiety zaczęły być wystrzeliwane na dalsze dystanse. Przewidując miejsce ich dolotu, Niemcy wysyłali tam patrole, które miały zbierać szczątki rakiet. Interesowały one także Armię Krajową. „Zaczął się jedyny w swoim rodzaju wyścig pomiędzy niemieckimi wojskowymi patrolami działającymi jawnie a wywiadem Armii Krajowej, który nie posiadał udogodnień technicznych i musiał pracować w ukry-

ciu i lokalnymi podziemnymi oddziałami. Zmobilizowano je i poczęto zbierać części torped, kawałki blachy, druciki, najdrobniejsze odłamki” – pisał Józef Garliński w książce „Politycy i żołnierze”.

Inna to już sprawa, że pomysłowi mieszkańcy terenów, na które spadały rakiety, robili sobie z ich blachy sztuczne, kubki i tace.

Skromne zdobycze fragmentów rakiet nie satysfakcjonowały wywiadu AK. Dlatego zrodził się – chyba dość fantastyczny – pomysł porwania całej rakiety V-2 podczas jej przewożenia na poligon w Bliznie. Pomysłodawcą był płk Iranek-Osmecki, który wspominał:

„Najwięcej czasu zabrało przygotowanie tak dużego samochodu, by móc załadować ciężki ładunek, jaki stanowił pocisk. Potrzebny był również dźwig wmontowany na samochód dla przeładowania pocisku z lory kolejowej na samochód. Oba te pojazdy były już prawie gotowe”. Rakietę V-2 bez paliwa ważyła 4 t i mierzyła 14 m. Akcją miała dokonać kompania Kedywu z Warszawy, ubezpieczona przez drugą kompanię z Krajowa w lasku między Tarnowem a Brzeskiem.

„Po zatrzymaniu pociągu czerwonymi światłami na linii miał nastąpić atak likwidujący ochronę transportu. Pociąg należało później przesunąć do położonej opodal małej stacji, gdzie na rampie za pomocą dźwigu miano przeładować pocisk na samochód” (za: Michał Wojewódzki, „Akcja V-1, V-2”).

Zdobycz miała być ukryta i zbadana na Podkarpaciu, a ważniejsze części trafiłyby do Warszawy.

Do akcji nie doszło. Jak tłumaczył Iranek-Osmecki, oddziały Kedywu zostały zaangażowane rozkazem z Londynu, na żądanie aliantów, do niszczenia magistrali kolejowych, a wiązało się to z testowaniem sprawności przetrwania wojsk niemieckich w obliczu planowanej inwazji w Normandii.

Zdobyta rakietka

W kwietniu i maju 1944 r. rakiety V-2 zaczęły spadać na Podlasiu, nad Bugiem w okolicy Drohiczyzna, Siemiatycz i Sarnaków. Tutaj odbył się dalszy ciąg wyścigu między Niemcami a Polakami, o którym pisał Garliński, tym razem uwieńczony dużym sukcesem. „I oto wówczas nadeszła z Sarnaków niezwykła wiadomość:

donoszono, że tuż nad podmokłymi brzegami Bugu spadła cała rakietą i nie wybuchła! Mieszkańcy sąsiedniej wioski, żołnierze AK zdołali raketę tak zamaskować sitowiem i gałęziami, że Niemcy pocisku nie znaleźli” – pisał Wojewódzki.

Wojewódzki stwierdzał ze zdumieniem, że mimo jego apeli w prasie i w radiu nikt z uczestników wydobywania oraz zamaskowania rakiety się nie zgłosił! Niewiele też pamiętał komendant rejonu AK Górki-Sarnaki ani dowódca miejscowego plutonu. Niemniej jednak po ich meldunkach przyjechali z Warszawy członkowie komisji badawczej z Oddziału II. Pocisk raketowy wyciągnięto z rzeki na brzeg, po czym został

Prace Groszkowskiego, Struszyńskiego i innych ekspertów ogromnie posuwały do przodu badania nad konstrukcją i sterowaniem rakiety V-2.

Operacja „Most III”

Pułkownik Iranek-Osmecki wspominał: „W miarę, jak w Londynie rysowała się groźba, jaką dla wyniku wojny mogła stanowić broń raketowa, nadsyłano zapytania i ponaglenia o wyjaśnienie najrozmaitszych szczegółów konstrukcyjnych i działania rakiety. Toteż wysyłaliśmy po kilka lub kilkanaście depesz radiowych tygodniowo z wynikami dokonanych rozpoznań”.

To jednak nie wystarczało, dlatego do Londynu miał zostać wysłany Jerzy Chmielewski, kierownik komórki badającej niemieckie rakietę, wraz z niektórymi jej częściami oraz raportem i ze zdjęciami. Był to główny powód zorganizowania trzeciej operacji „Most”, polegającej na lądowaniu samolotu w okupowanej Polsce i jego powrocie do bazy we Włoszech.

Miejscem przygotowanym na przyjęcie samolotu Douglas C-47 Skytrain z dywizjonu RAF było lądowisko „Motyl” – łąka służąca wcześniej Niemcom jako lotnisko polowe, położona koło wsi Wał-Ruda, nieco ponad 20 km od Tarnowa.

Niektórzy żołnierze AK, przygotowujący lądowisko i zabezpieczający miejsce akcji, twierdzili, że byli świadomi tego, iż samolotem odlecia do Londynu części nowej niemieckiej broni. Oczywiście dowiedzieli się o tym już po wojnie. Tylko jeden człowiek na lądowisku „Motyl” znał tę tajemnicę – Jerzy Chmielewski.

Oczekiwanie ekipy przyjmującej samolot było nerwowe i pełne napięcia. Najpierw na łące rozbił się węgierski samolot, pojawili się na niej więc Niemcy. Później lądowały tam samoloty rozpoznawczo-łącznikowe „Storch”, a w nie-

dalekiej wsi zakwaterowali się żołnierze niemieccy. Deszcz rozmiękczył ziemię na lądowisku i choć przestał wreszcie padać, to chyba nie wyschło solidnie, co stało się przyczyną dramatycznej sytuacji.

Dakota wylądowała w nocy z 25 na 26 lipca 1944 r. Gdy jednak wsiedli do niej pasażerowie, a wśród nich Chmielewski z workami, w których były części rakiety, samolot nie chciał ruszyć z miejsca. Pilot podejmował trzykrotnie próbę startu, silniki wyły – obawiano się, że ten hałas ściągnie Niemców – ale koła się nie ruszały. Załoga doszła do wniosku, że samolot nie odleci. Stefan Musiałek-Łowicki „Mirośław”, szef Inspektoratu Tarnów, opierając się na opinii lotników (był wśród nich Polak – nawigator Kazimierz Szrajner), mógł wydać w tej sytuacji tylko jeden rozkaz: spalić samolot.

„Nie wszyscy jednak stracili głowę. Po trzecim nieudanym starcie, w czasie wylądowywania »Dakoty«, Stanisław Wróbel (»Szary«) wczółgał się pod podwozie. Zauważył on, że koła maszyny ugrzęzły, a w szczególności lewe koło. Zaalarmował myszkującego też koło podwozia »Pirata« [...] »Pirat« podskoczył do »Mirośława« i uzyskał jego zgodę na jeszcze jedną próbę startu. Podkopanie kół, podłożenie desek i szczip przyniesionych z lasu i czwarta próba startu, do tego skuteczna, to niewątpliwa zasługa »Szarego« i »Pirata« – opisywał Władysław Kabat decydujący moment (za: Michał Wojewódzki, »Akcja V-1, V-2«).

Gdy Chmielewski z raportem i częściami wylądował w Londynie, w Farnborough trwały badania rakiety V-2, którą alianci wywieźli ze Szwecji. Biorący udział w tych badaniach inż. Wiktor Narkiewicz twierdził, że dzięki nim tajemnica V-2 została w pełni rozszyfrowana, a informacje techniczne przekazywane przez wywiad AK nic właściwie nowego nie wniosły. Jednak raporty z Polski trafiały do Londynu o wiele wcześniej, niż zaczęto badać „szwedzką” raketę. A poza tym prace nad nią ukończono w sierpniu 1944 r., podczas gdy Chmielewski był w Londynie 28 lipca. „Informacje o rakiecie V-2 z Polski nie były bynajmniej spóźnione w stosunku do informacji zdobytych przez specjalistów brytyjskich w Farnborough” – konkludował Michał Wojewódzki.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



ukryty w stodole. Tam go zdemontowano, a najważniejsze części zostały przewiezione do badania do Warszawy.

Czy rzeczywiście przechwycona została cała rakietą? Wojewódzki stwierdzał, że olbrzymia część jego rozmówców stwierdzała to jako fakt, ale doc. inż. Wiktor Narkiewicz, który brał udział w badaniu innej rakiety V-2, która spadła w Szwecji, uważał, że to niemożliwe, musiała się rozerwać przy zderzeniu z ziemią.

Tak czy inaczej istotne części rakiet – a być może wymontowane z kilku rakiet – były badane w Warszawie, a do nich należało radiowe urządzenie nadawczo-odbiorcze, dzięki któremu kontrolowano lot V-2. Badał je wybitny specjalista, prof. Janusz Groszkowski. Natomiast prof. Marceli Struszyński dostał do analizy „paliwo” dostarczone mu w butelkach. Stwierdził, że był to perhydrol, czyli woda utleniona. Opowiadał o tym Wojewódzkiemu: „Ale nie była to zwykła woda utleniona! W powszechnym bowiem użyciu znaliśmy wówczas tylko trzyprocentową wodę utlenioną. Tymczasem dostarczona w butelkach ciecz była nadtlenkiem wodoru o ogromnym, 80-procentowym stężeniu. Odkrycie, że Niemcy wyprodukowali 80-procentowy perhydrol, stanowiło olbrzymią niespodziankę naukową”.

1944-1945 /

Historia superbroni Adolfa Hitlera

Skutki eksplozji V-2

w Londynie FOT. GETTY IMAGES

Fiasko Wunderwaffe



Tymoteusz Pawłowski

/ Rakiety nie odmieniły losów wojny. V-2 zabiły w Wielkiej Brytanii 2754 ludzi, a skrzydlate bomby V-1 – 6184

W drugiej połowie 1943 r. wojna zdawała się rozstrzygnięta. Wehrmacht przegrywał na wszystkich frontach, z Berlinem zrywali sojusznicy, naród był wygłodzony, a niemieckie miasta regularnie demolowały lotnictwo: Amerykanie w dzień, a Brytyjczycy w nocy. Wszyscy – i politycy, i generałowie, i zwykli obywatele – spodziewali się kapitulacji. Ruch oporu w Europie szykował się do wystąpienia przeciwko okupantom.

W spokojnej Danii takie powstanie nawet wybuchło.

Niemcy byli już w takiej sytuacji w poprzedniej wojnie światowej. Starano się wówczas przedłużyć agonię, stosując nowe rodzaje broni i nowe taktyki. Co charakterystyczne dla niemieckich wojskowych, główną ich ofiarą miała być ludność cywilna. Okręty podwodne starały się zatopić transporty żywności i zagłodzić Brytyjczyków, a lotnictwo próbowało zabijać cywili. Jednak zarówno nocne ataki sterowców w pierwszej połowie wojny, jak i dzienne bombardowania z samolotów w drugiej nie przyniosły rezultatów. Rezultatów nie dały również zbudowanie „nadarmaty” o zasięgu ponad 100 km i ostrzeliwanie Paryża: 11 listopada 1918 r. Niemcy zostały zmuszone do podpisania zawieszenia broni.

Po 25 latach, w 1943 r. – pomimo znajdowania się w podobnej sytuacji co w listopadzie 1918 r. – Niemcy nie złożyły broni. Władze niemieckie rozbroiły nielojalnych sojuszników, zmobilizowały dodatkowe siły i – inaczej niż w 1918 r. –

postanowiły trwać (roznuchy w Danii zostały oczywiście spacyfikowane). Była to decyzja katastrofalna przede wszystkim dla Niemców, bo 90 proc. strat poniesionych przez nich w wojnie poniesiono po lecie 1943 r.

Broń odwetowa

29 września 1943 r. minister uzbrojenia III Rzeszy Albert Speer, zachęcając Niemców do dalszej walki, ogłosił, że już wkrótce Niemcy wezmą odwet za klęski wojenne. Pomóc im w tym miała tajna broń. Problem polegał tylko na tym, że tej Vergeltungswaffen – broni odwetowej – nie było. Było natomiast na nią wielu chętnych. Można nawet dodać, że zbyt wielu.

W państwie totalitarnym nie ma bowiem miejsca na racjonalne zarządzanie. Demokracja natomiast zapewnia dwie rzeczy istotne dla produkcji wojennej: odpowiedzialność rządzących przed wyborcami oraz naturalne wymiany elit w wyniku wyborów. Dyktatorzy

nie muszą obawiać się niezadowolonych wyborców, a walka o rzeczywistą władzę (i awanse) odbywa się wyłącznie w kuluarach. Jednocześnie struktura państwa totalitarnego jest – specjalnie – nadmiernie skomplikowana po to, aby przywódca mógł odgrywać rolę rozjemcy. W III Rzeszy produkcją zbrojeniową zajmowało się kilkanaście organizacji, a każda z nich pracowała nad swoją własną cudowną bronią. Zupełnie inaczej niż w państwach demokratycznych, które nie tylko skupiły się na jednej Wunderwaffe – bombie atomowej – lecz także robiły ją wspólnie.

Chętnych na broń odwetową dla III Rzeszy było wielu. Lotnictwo miało samoloty odrzutowe, które jednak tak powoli wprowadzano do służby, że Niemców zdążyli wyprzedzić Brytyjczycy. Marynarka wojenna pracowała nad doskonałymi U-Bootami, ale również miała opóźnienia. SS rozważało tę samą drogę co Japończycy i stworzenie formacji samobójczych. Chemicy opracowywali nowe zabójcze gazy bojowe. Fizycy – tych było niewielu, większość została bowiem wygnana z III Rzeszy za krnąbrność lub nieodpowiednie pochodzenie – pracowali nad bronią atomową, ale ich prace prowadzone w kilkunastu różnych instytucjach zmierzały w kilkunastu różnych kierunkach. Ostatecznie pierwszą bronią odwetową zastosowała armia.

Samolot V-1

Lądowanie aliantów we Francji 6 czerwca 1944 r. rozpoczęło ostatni etap wojny. Tydzień później, 13 czerwca, Niemcy wystrzelili w stronę Londynu 10 skrzydlatych pocisków Fieseler Fi-103. Jedynie cztery z nich dotarły do wybrzeży Anglii, a tylko jeden trafił w okolicę wyznaczonego celu, zabijając sześciu cywili. Pierwszy, zbyt pośpieszny atak okazał się fiaskiem. Kolejne bombardowanie powtórzono dopiero po trzech dniach. Do końca czerwca 155. Pułk Artylerii Przeciwlotniczej Wehrmachtu wystrzelił 2442 samoloty-pociski, z których tylko jedna trzecia dotarła do Londynu, zabijając 2441 ludzi. Pomimo nie najlepszych wyników Berlin ogłosił sukces, twierdząc, że to właśnie

Fieseler Fi-103 jest bronią odwetową – Vergeltungswaffen – pociskiem V. Na razie jeszcze nie miał żadnego numeru, był jedyny w swoim rodzaju.

Dla bombardowanych Anglików nazwa nie miała znaczenia. Niemieckie samoloty-pociski opatrzone wojskowym kryptonimem Diver (Nurek) i tak były nazywane przez cywili. Używano również nazwy „Buzzer” (Brzęczyk) – od charakterystycznego odgłosu silnika pulsacyjnego. W zależności od miejsca zamieszkania – i statusu społecznego słuchaczy – przypominał im dźwięki wydawane przez młockarnię, motocykl bez tłumika albo motorówkę.



Teoretycznie najbardziej zagrożeni ostrzałem byli mieszkańcy Londynu, który był głównym celem Niemców. W praktyce najbardziej zbombardowanym miastem było podlondyńskie Croydon, leżące kilkanaście kilometrów na południe od brytyjskiej stolicy. Tam uderzały pociski, którym przedwcześnie albo kończyło się paliwo, albo zostały uszkodzone przez artylerię i myśliwce. Croydon stało się również ofiarą udanej operacji wywiadowczej: Anglicy – fałszywymi relacjami prasowymi oraz meldunkami podwójnych agentów – zdążyli przekonać

Niemców, że ich bomby „przestrzeliwują” Londyn. Niemcy skrócili więc ich zasięg. Miało to fatalne skutki dla Croydon – które zostało zrujnowane – ale zmniejszyło ogólną liczbę ofiar o ok. 50 proc.

Tych i tak było dużo. Dla wysiłku wojennego istotna była również ewakuacja z Londynu blisko 1,3 mln ludzi. Tylko 20 proc. z nich dostało pozwolenie na wyjazd, reszta po prostu uciekła, a raczej wyjechała na wakacje na wieś. Wpłynęło to oczywiście negatywnie na funkcjonowanie stolicy – w tym produkcję zbrojeniową – w tej fazie wojny nie było to jednak nazbyt istotne.

Większe znaczenie miał wpływ użycia broni odwetowej na działania wojenne na kontynencie. W 1944 r. blisko 25 proc. alianckich operacji bombowych nad Francją przeprowadzono przeciwko niemieckim cudownym rodzajom broni. Najlepsze rezultaty dawało niszczenie linii komunikacyjnych i zatrzymywanie dostaw pocisków, paliwa oraz sprzętu, bombardowanie samych wyrzutni było nieefektywne. (Po wojnie okazało się, że awarie podczas startu przyczyniły się do większych zniszczeń niż alianckie bomby).

Z frontu do obrony Wielkiej Brytanii zostały również zawrócone dywizyjony samolotów myśliwskich – tych najszybszych, w tym także odrzutowych Meteorów. Najskuteczniejsze okazały się nowo wprowadzone do służby szybkie myśliwce z napędem śmigłowym – tempesty. Najlepszym pilotem był kpt. Joseph Berry, któremu zaliczono 59,5 zestrzelonych diverów. Większość zwycięstw odniósł w nocy, gdyż w ciemnościach nadlatujący pocisk widać było z bardzo dużej odległości. W dzień natomiast sukcesy odnosiła artyleria przeciwlotnicza. To właśnie dzięki artylerzystom – a także obserwatorom i obsłudze balonów zaporowych – pod koniec kampanii zatrzymywano 80 proc. niemieckich bomb latających.

Najskuteczniejsza w zwalczaniu latających bomb okazała się... brytyjska armia lądowa, która zajmowała niemieckie wyrzutnie. Zasięg fieselerów Fi-103 był bowiem ograniczony do 250 km. Ostatni pocisk w kierunku Londynu wystrzelono z Belgii rankiem 1 września 1944 r. o godz. 4. Później – aż do marca

■ 1945 r. – Niemcy sporadycznie bombardowali Anglię skrzydlatymi bombami odpalanymi z bombowców, ale efekty nie były duże.

Rakieta V-2

Spokój nad Londynem trwał tylko tydzień. Wieczorem 8 września na londyńską dzielnicę Chiswick spadła pierwsza rakietą Aggregat-4. Zabiła trzy osoby, w tym trzyletnią Rosemary Clarke. Pierwszy atak rakietowy Niemcy zaplanowali na 7 września, ale obie rakiety eksplodowały na wyrzutnicach.

Londyńczycy traktowali ataki rakietowe jako niedogodność wojenną, szczególnie że na miasto spadały średnio po trzy pociski dziennie. V-2 zabiły w Wielkiej Brytanii 2754 ludzi, a V-1 – 6184. Na każdą wystrzeloną rakietę przypadały dwie ofiary śmiertelne, a na każde pięć latających bomb – trzy. Nie tylko Londyn był jednak celem dla rakiet i bomb latających. Atakowano również belgijską Antwerpię – główną bazę zaopatrzeniową dla alianckich wojsk w zachodniej Europie. Brytyjczykom i Amerykanom tak bardzo zależało na obronie miasta oraz portu, że skupili tu więcej artylerii niż na podejściach do Londynu. Osiągnęli również

stanowiska. Zimą 1944/1945 Niemcy użyli jednak HDP – z nieco krótszą lufą – przeciwko Luksemburgowi, z niewielką skutecznością – wystrzelono 183 pociski, które przyniosły śmierć 10 cywilom. Kolejną bronią odwetową była rakietą na paliwo stałe zwana Rheinbote. I chociaż wodzowie III Rzeszy pokładali w tej broni bardzo duże nadzieje, to rezultaty jej zastosowania były zerowe: 200 takich rakiet wystrzelono na Antwerpię, ale alianci nie zanotowali poważniejszych strat.

W ten sposób skończyła się wojna. „Góra ryknęła i urodziła mysz” – skomentował pierwszy atak broni odwetowej jeden z doradców naukowych premiera Winstona Churchilla i słowa te można odnieść do całego programu Vergeltungswaffen, a także do wszystkich niemieckich Wunderwaffe – cudownych rodzajów broni. Druga wojna światowa skończyła się tak jak pierwsza: dzięki przybyciu Amerykanów do Europy i skutecznemu zastosowaniu artylerii (nawet drugowojenne amerykańskie działa wywodziły się z pierwszowojennych, francuskich).

Fiasko niemieckich planów okazało się zbawienne dla Europy. Nie tyle może nawet dla okupowanych narodów, ile dla samych Niemców. Nawet jeśli przetrwaliby wiosnę 1945 r. i przez cały ten czas kłuli Brytyjczyków tysiącami bomb latających i rakiet, to latem amerykańskie superfortece znokautowałyby III Rzeszę uderzeniami bomb atomowych. A wówczas ofiary – przede wszystkim wśród Niemców – liczono by na miliony.

Chaotyczne niemieckie zbrojenia nie poszły jednak na marne. Niemieccy uczeni szybko – i bardzo chętnie – zaczęli pracować dla zwycięzców. Badania nad aerodynamiką i silnikami odrzutowymi prowadzone w III Rzeszy przyczyniły się do rozwoju światowego lotnictwa. Jeszcze większe znaczenie miały rezultaty badań zespołu Wernera von Brauna – twórcy niemieckich rakiet. Przez całe życie marzył, że będą one wykorzystywane do pokojowego podboju kosmosu. W 1944 r. – za słowa: „Kiedyż wreszcie przegramy tę wojnę i będziemy mogli zająć się rakietami kosmicznymi?” – gestapo osadziło go na kilka tygodni w więzieniu. Szczęśliwie Niemcy przegrały wojnę, a Werner von Braun mógł zająć się tym, czym chciał. Jego największym dokonaniem okazała się rakietą Saturn V, którą ludzie polecili na Księżyc.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Pocisk rakietowy V-1 przetwarzany na stanowisko startowe. FOT. BUNDESARCHIV BILD

Sprawność nowej broni nie była duża. Celne uderzenia były na tyle rzadkie, że władze brytyjskie utrzymywały, iż wybuchy w Londynie są powodowane awariami sieci gazowej. Niemcy również krępowali się, że Aggregat-4 mają tak niską skuteczność: użycie nowej broni ogłosili dopiero po dwóch miesiącach – 8 listopada 1944 r. Wówczas nadano jej nazwę: Vergeltungswaffen 2. Niemcy zapisywali ten skrót jako V2, amerykańska prasa używała określenia V-2, a londyńczycy nazywali rakiety czarownicami – witch. W przeciwieństwie do latających bomb – o których ataku ostrzegały alarmy i przed którymi można było się ukryć – V-2 atakowały z nienacka. Jedynym sygnałem był huk towarzyszący rakiecie podczas przekraczania bariery dźwięku, rozlegający się gdzieś wysoko nad Londynem.

lepsze rezultaty: spośród wszystkich wystrzelonych 4 tys. latających bomb cel osiągnęło raptem nieco ponad 200. Na Antwerpię wystrzelono również więcej rakiet niż na Wielką Brytanię – 1664 wobec 1402 – które zabiły 1736 ludzi. Najtragiczniejszym dniem był 16 grudnia, gdy V-2 uderzyło w antwerpskie kino Rex, w którym zginęło 537 widzów.

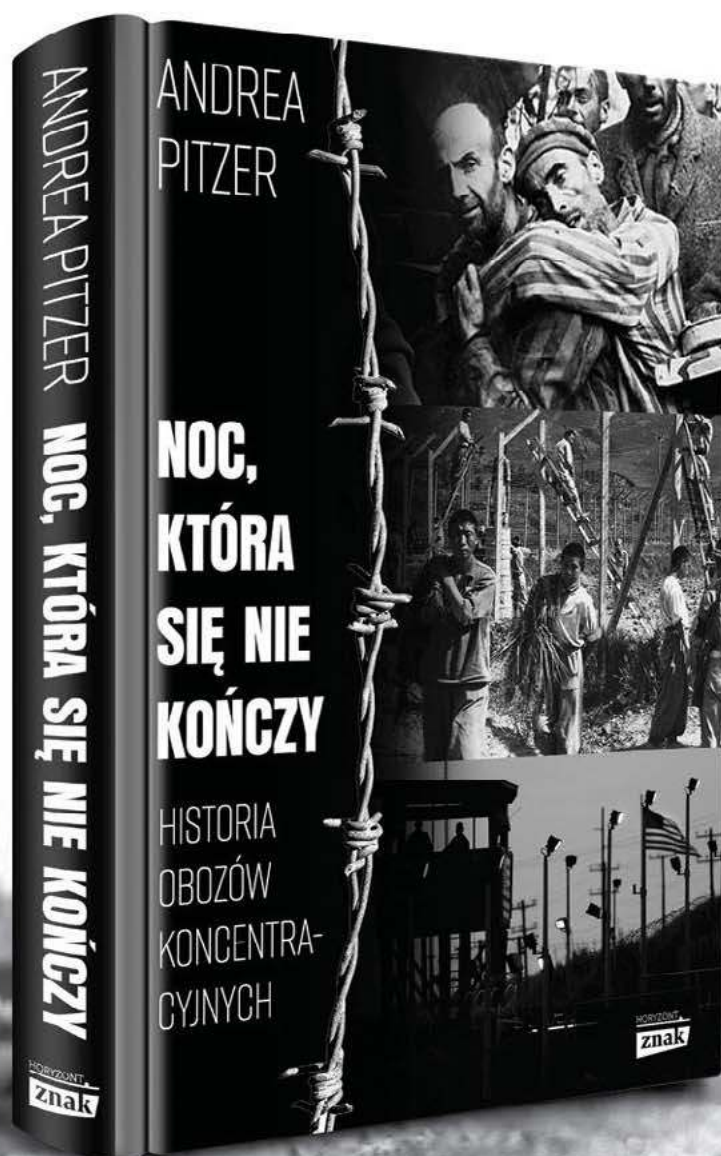
V-3, V-4, Apollo 11

Niemcy użyli jeszcze dwóch rodzajów broni odwetowych – z minimalnymi sukcesami. Pierwszym było działo o lufie długości ponad 100 metrów z wieloma komorami prochowymi, o kryptonimie HDP – Hochdruckpumpe, czyli pompa wysokiego ciśnienia. Celem dla HDP miał być Londyn, alianci zdołali jednak skutecznie zbombardować budowane dlań

NOC, KTÓRA SIĘ NIE KOŃCZY

HISTORIA OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH

ANDREA PITZER



„Nigdy nie zapomnę tamtej nocy,
pierwszej nocy w obozie, która
zmieniła moje życie w jedną
długą noc, siedmiokrotnie przekłętą
i siedem razy zapieczętowaną.”

Elie Wiesel, Noc

Premiera 15.01.2020

V-1

Pocisk samosterujący Fi-103 A-1 startujący z rampy wyrzutni (oznaczenie wojskowe V-1) został użyty bojowo po raz pierwszy w czerwcu 1944 r. W toku prób poligonowych, a następnie podczas produkcji seryjnej kilkakrotnie modyfikowany i modernizowany. Pocisk mierzył 8,35 m (w późniejszej wersji), rozpiętość skrzydeł wynosiła 5,37 m, a masa startowa sięgała 2,15 t. Pocisk napędzany był odrzutowym silnikiem pulsacyjnym zaworowym

Żyroskopowy autopilot

W tej części znajdował się żyroskopowy autopilot. Zmiana położenia żyroskopu wywoływała impuls sprężonego powietrza działający na urządzenia sterujące, czyli stateczniki pionowe i poziome. Poza układem żyroskopowym w tylnej części kadłuba znajdowały się także: czujnik barometryczny odpowiedzialny za osiągnięcie operacyjnej wysokości 900 m oraz akumulator, instalacja paliwowa i filtr paliwa.

Głowica bojowa

Głowica bojowa zawierała 830 kg amatu lub (w późniejszej wersji) 1 t znacznie silniejszego trialenu i zaopatrzona była w dwa zapalniki kontaktowe: bezwładnościowy i elektryczny stykowy, oraz jeden czasowy; ten ostatni miał zapobiec zbadaniu pocisku po jego ewentualnym awaryjnym upadku (niewybuch) na terytorium nieprzyjaciela.

Anemometr

Na czubku pocisku zamocowany był anemometr. Podczas lotu pęd powietrza obracał jego śmigiełko, a obroty przekazywane były do licznika kilometrów. Gdy pocisk przebył zadaną odległość, następowało odpalenie dwóch detonatorów, które blokowały stateczniki i ster kierunku, wysuwając z ogona ku dołowi dwie kłapy – pocisk przechodził wówczas do lotu nurkowego.

Silnik

Silnik połączony był z kadłubem dwupunktowo. W trakcie startu ciąg powietrza wytwarzano sztucznie, a zapłon silnika dawała iskra ze świecy. W trakcie lotu strumień powietrza powodował otwarcie zaworów; do komory spalania zasysane było paliwo (podciśnienie) – zapłon następował po jego zetknięciu z rozgrzaną ścianą komory. Nagły wzrost ciśnienia powodował zamknięcie zaworów, a jego fala poruszała się wzdłuż otwartej z tyłu dyszy. Towarzyszył jej wypływ gorących gazów – następował odrzut. Gdy ciśnienie w komorze spadło, zawory ponownie otwierały się i cykl się powtarzał. ©

Sprężone powietrze

Dwa kuliste zbiorniki zawierały sprężone powietrze, które nie tylko służyło do zapewnienia ciśnienia w przewodach paliwowych, lecz także umożliwiało pracę systemu kierowania lotem.

Zbiornik paliwa

Zbiornik paliwa mieścił 680 l 75-oktanowej benzyny.

Busola magnetyczna

W nosowej części kadłuba znajdowała się busola magnetyczna, która kontrolowała zaprogramowany kurs. W przypadku jakichkolwiek odchyłeń przesyłała porcję sprężonego powietrza do żyroskopu, wymuszając tym samym zmianę jego położenia.

V-2

Niemiecki pocisk balistyczny A-4 (wojskowe oznaczenie V-2 – Vergeltungswaffe – broń odwetowa). Rakieta zbudowana była z 20 tys. elementów, mierzyła 14 m, a jej szerokość sięgała 165 cm; masa startowa wynosiła ok. 13 t. Bojowy debiut nastąpił we wrześniu 1944 r. Konstrukcyjnie rakietę V-2 składała się z czterech zasadniczych części: głowicy bojowej, przedziału przyrządów kierunkowych (naprowadzających), przedziału materiałów pędnych i przedziału ogonowego z układem napędowym

Żyroskopy

W tym przedziale umieszczono zespół urządzeń zapewniających ruch pocisku po wybranym torze. Były to dwa żyroskopy: kierunku i pochylenia oraz czujniki elektryczne. Żyroskopy programowano przed startem rakiety; w trakcie lotu, za pomocą impulsu elektrycznego, korygowano na bieżąco ewentualne różnice w odniesieniu do programowych wartości kątów obrotu, odchylenia i pochylenia. Impuls przekazywany był do urządzenia sterującego, czyli wzmacniacza-przekształtnika, który z kolei wymuszał pracę sterów powietrznych (stateczniki) i gazowych. Za kierowanie odległością lotu pocisku odpowiedzialny był żyroskopowy integrator przyspieszeń wzdłużnych.

Komora spalania

W części ogonowej znajdowały się komora spalania z dyszą wylotową – serce silnika raketowego – oraz zespoły układu napędowego. Na powierzchni zewnętrznej zamocowane były cztery stateczniki ze sterami aerodynamicznymi, natomiast przed dyszą gazową – stery gazowe. Sprężanie i doprowadzanie paliwa do komory spalania zapewniał układ turbopompowy o mocy 465 KM. Układ składał się z gazogeneratora, ze zbiornika z tlenkiem wodoru i z katalizatora (roztwór nasyczonego nadmanganianu potasu) oraz był napędzany parą gazową. Turbina uruchamiała dwie pompy: etanolu i utleniacza, które tłoczyły paliwo. Paliwo służyło także do chłodzenia komory – krążąc pomiędzy jej ściankami, odprowadzało nadmiar ciepła. Wewnątrz komory spalania znajdowały się specjalne pironaboje służące do uruchamiania silnika. ©

Etanol

W przedziale materiałów pędnych, zbudowanym z cienkościennej cylindra wzmocnionej stalowym żebrami, znajdowały się dwa zbiorniki: ten bliżej głowicy bojowej zawierał 4 t 75-procentowego etanolu, natomiast w pobliżu części ogonowej znajdował się cylinder z 5 t ciekłego tlenu, osłonięty dodatkowo warstwą termoizolacyjną. Etanol doprowadzany był do komory spalania rurą przechodzącą przez zbiornik z utleniaczem. Maksymalny czas spalania wynosił 65 s.

Głowica bojowa

Głowica bojowa miała formę stożka z blachy stalowej o grubości 4–5 mm, którego wierzchołek wieńczyła tuleja z zapalnikiem. Głowica zawierała 967 kg materiału wybuchowego (w finalnej wersji). Materiał wkładano poprzez luk denny, który następnie zamykano pokrywą. Znajdował się tutaj kolejny zapalnik. Zastosowanie dwustronnego zapłonu oraz pobudzaczy zwiększało skuteczność i niezawodność wybuchu głowicy. Działanie burzące po upadku pocisku wzmacniał wybuch resztek paliwa, zalegającego w zbiornikach po zakończeniu pracy silnika.



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy
Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

Wywiad / Z dr. Władysławem Bułhakiem, historykiem IPN



Atak brytyjskich samolotów na pancernik „Bismarck”, który w swój ostatni rejs wypłynął z Gdyni, gdzie działał polski wywiad FOT. ARCHIWUM



rozmawia Piotr Zychowicz

Polski wywiad przeciw III Rzeszy

Przekazywaliśmy alianantom informacje bezcenne. W okupowanej Europie nikomu, oprócz Polaków, to się nie udało

PIOTR ZYCHOWICZ: Czy zgadza się pan z opinią, że działania wywiadu były największym polskim wkładem w zwycięstwo nad III Rzeszą?

DR WŁADYSŁAW BUŁHAK: Tak, ale oczywiście pomijając kampanię wrześniową. W 1939 r. Niemcy w starciu z regularnym Wojskiem Polskim ponieśli duże straty i musieli potem przez wiele miesięcy odtwarzać swoje możliwości bojowe. Brytyjczycy i Francuzi zyskali dzięki temu bezcenny czas na przygotowanie się do wojny. Działalność wywiadu uplasowałbym więc zaraz po kampanii wrześniowej.

Wielu czytelników będzie zaskoczonych. Nie Monte Cassino? Nie Bitwa o Anglię?

Pewne rzeczy należy sobie powiedzieć wprost. W zestawieniu z kolosalnymi armiami wielkich mocarstw, które ścierały się podczas drugiej wojny światowej, nasze możliwości były skromne. Oczywiście nie można lekceważyć II Korpusu gen. Władysława Andersa, naszych dzielnych marynarzy, czołgistów Maczka, lotników, którzy w dramatycznym momencie wojny ratowali Wielką Brytanię, wreszcie dawnych „berlingowców” zatykających polską flagę na kolumnie zwycięstwa w Berlinie pod „przyjaznym” sowieckim ostrzałem. O nich wszystkim trzeba pamiętać...

Ale...

... ale to, co robił nasz wywiad, jednak przewyższa dokonania na polach bitew. To były osiągnięcia olbrzymie. Rozmach działalności polskiego wywiadu do dziś zapiera dech w piersiach. Dostarczaliśmy alianantom kluczowych, bezcennych informacji o nieprzyjacieli. Dotyczy to zarówno wywiadu polskiego rządu na emigracji i sieci placówek, które opłatały wiele państw świata, jak i działającego w okupowanym kraju wywiadu Armii Krajowej.

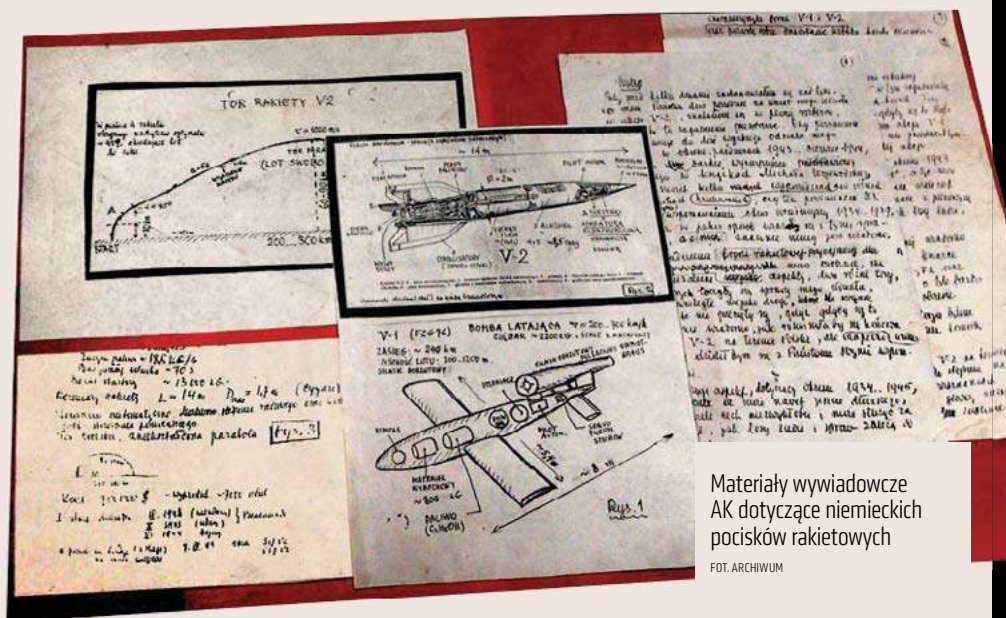
Zacznijmy od tego pierwszego. Gdzie działał polski wywiad?

Niemal wszędzie. Oczywiście w okupowanej Polsce i w samych Niemczech. W obu Amerykach. W Skandynawii. Europie Południowej. We Francji. Na Półwyspie Iberyjskim. Na terenie innych okupowanych krajów Europy. Na Bałkanach i w Afryce Północnej. Polska, która przed wojną prowadziła działalność wywiadowczą skierowaną niemal wyłącznie przeciwko Niemcom i Sowietom, po wybuchu drugiej wojny światowej zaczyna prowadzić wywiad globalny. Oczywiście za pieniądze sojuszników. Pracę w terenie prowadzili jednak Polacy. I to oni podejmowali ryzyko, oni narażali życie. Swoje i – często – swoich rodzin.

ryzykowne akcje dywersyjne. Można powiedzieć, że to był wywiad społeczny. Oparty na masowym wsparciu zwykłych ludzi. Nasz wywiad nazywał to zjawisko polską „szóstą kolumną”, w kontraście do hiszpańskiej i niemieckiej piątej kolumny.

A w kraju?

Wywiad Polskiego Państwa Podziemnego był nieodłącznym elementem polskiego systemu wywiadowczego. I był to element niezwykle ważny. Zbudowanie takiej rozgałęzionej i sprawnej organizacji w okupowanym kraju było nie lada wyczynem. Niemającym w historii precedensu. Przede wszystkim należy pamiętać, że wywiad AK nie był uprzywilejowaną służbą działającą w normalnym państwie w trakcie pokoju, ale



Materiały wywiadowcze AK dotyczące niemieckich pocisków rakietowych

FOT. ARCHIWUM

Kto pracował w naszym wywiadzie?

Weźmy słynną Akcję Kontynentalną, czyli działania wywiadowcze i dywersyjne prowadzone na terenie Europy przez polskie emigracyjne MSW. Poza wyjątkami nie prowadzili ich profesjonaliści, czyli dobrze opłacani fachowi oficerowie służb. Sieci Akcji Kontynentalnej opierały się na ochotnikach. Tysiącach zwykłych Polaków i Polek, emigrantów, których najpierw ekonomiczna potrzeba, a później wojna rozrzuciły po całej Europie. To oni – motywowani patriotyzmem, a nie pieniędzmi – zbierali informacje wywiadowcze o wojennej maszynie III Rzeszy i przygotowywali

ściganą przez okupanta, ukrywającą się w podziemiu tajną strukturą. I mimo to był wywiadem z prawdziwego zdarzenia. Nie była to siatka informacyjna, tylko profesjonalna służba wywiadowcza, która nie tylko zbierała informacje, lecz także je przetwarzała, analizowała.

Sprawa V-2 to chyba najlepszy przykład.

Tak, wykradzenie jakiegoś dokumentu czy elementu broni nowego typu – to jest kwestia szczęścia lub jego braku. Jednak stworzenie pionu analitycznego – w warunkach konspiracji! – to już jest wyższa szkoła jazdy. Przecież polski wywiad dostarczył Brytyjczykom nie tylko fragmenty pocisku V-2 znalezione

■ w miejscu upadku, lecz także analizę techniczną odnalezionych fragmentów. Nie tylko im pokazaliśmy, jak to wygląda, lecz także wytłumaczyliśmy, jak to działa. Wywiad, wbrew temu, co się pokazuje w filmach szpiegowskich, to przede wszystkim działalność intelektualna. I ten nasz intelektualny wkład był olbrzymi.

Jakie inne sukcesy odniósł wywiad AK?

Jednym z nich było stworzenie sieci WW-72 na zapleczu Wehrmachtu walczącego na froncie wschodnim z Armią Czerwoną. Ta sieć pokrywała kolosalny teren. Nasi wywiadowcy pozyskiwali informacje o dyslokacji niemieckich wojsk, ich potencjale. Przekazywano to potem Brytyjczykom, którzy dzięki temu mogli orientować się, co się dzieje na froncie wschodnim. A także – w okresie obowiązywania paktu Sikorski-Majski – bezpośrednio Sowietom. Były to informacje niezwykle cenne. O wymiarze strategicznym. Polski wywiad miał bezpośredni wpływ na sowieckie przygotowania do przełomowej dla losów wojny na wschodzie bitwy o Stalingrad.

No cóż, akurat tym nie ma się co chwalić. Nasz wywiad prowadził działalność w interesie Stalina i bolszewików.

Ocena działalności naszego wywiadu na zapleczu frontu wschodniego jest związana z oceną samego paktu Sikorski-Majski i jego następstw. Taka była polityka naszego rządu w Londynie. Czy była słuszna czy nie – to już zupełnie inna dyskusja.

Wróćmy zatem do największych sukcesów wywiadu.

Sprawy morskie. Polski wywiad dostarczał Brytyjczykom bezcenne informacje o Kriegsmarine. Choćby na temat ośrodka szkolenia niemieckich załóg w Zatoce Puckiej i ruchów okrętów wojennych i U-Bootów, które zawijały do Gdyni lub Gdańska. Jednostki te były śledzone przez polskich wywiadowców. Warto pamiętać, że słynny pancernik „Bismarck” w swój ostatni rejs wypłynął właśnie z Gdyni. Jak wiadomo, dla Wielkiej Brytanii sprawa bezpieczeństwa morskich linii komunikacyjnych była kluczowa – dlatego Londyn wyjątkowo wysoko cenił sobie te informacje wywiadu AK.



Marian Drobik, szef II Oddziału KG AK w latach 1942–1943 FOT. WIKIPEDIA



Kazimierz Iranek-Osmecki, następca Mariana Drobika FOT. WIKIPEDIA

A kontrwywiad?

To kolejny wielki temat. Kontrwywiad zajmował się ochroną całego Polskiego Państwa Podziemnego. A co za tym idzie – gwarantował jego istnienie. Jeżeli była wpadka, to kontrwywiad natychmiast wkraczał do akcji. Likwidował mieszkania, wyciągał rzeczy ze skrytek, ukrywał zagrożonych ludzi. A jeżeli ktoś był aresz-

towany, to organizował akcję ratunkową. To w ramach kontrwywiadu działał oddział dyspozycyjny, który likwidował zdrajców, konfidentów gestapo.

Niestety, dochodziło do pomyłek.

To się oczywiście zdarzało, ale kontrwywiad miał sposoby w miarę skutecznej weryfikacji oskarżeń. Dysponował olbrzymią konspiracyjną kartoteką, która zresztą w dużej części przetrwała do naszych czasów i jest dziś w archiwum IPN. Miał też swoje wtyczki w działającej oficjalnie granatowej policji. I mógł przy ich użyciu prowadzić normalne postępowania policyjne, np. pod jakimś pretekstem dokonać legalnego przeszukania w mieszkaniu podejrzanego. Dokonywali go współpracujący z kontrwywiadem granatowi policjanci. To była często misterna, delikatna gra.

Działalność wywiadu AK nie ograniczała się chyba zresztą tylko do okupowanej Polski i terenów wschodnich.

AK udało się stworzyć siatki w krajach wcielonych do Rzeszy i okupowanych. W Austrii czy Czechosłowacji. W tym ostatnim państwie działanie było możliwe dzięki olbrzymiemu patriotyzmowi i poświęceniu Polaków z Zaolzia. Niestety doszło tam do wielkiego dramatu. Wsympy. Członkowie polskiej siatki zostali aresztowani. Niemcy zamordowali ich pod koniec kwietnia 1945 r. A więc na kilka dni przed końcem wojny. Gdy Polakom udało się już wydostać z niewoli, dopadła ich jakaś banda oszalałych, fanatycznych nazioli i w szale rozstrzelała.

A w Niemczech?

Tam bazą dla polskiego wywiadu byli robotnicy przymusowi, których setki tysięcy wywieziono na roboty do Rzeszy. Oni często pracowali w fabrykach, zakładach zbrojeniowych. I wykradali informacje o konstrukcji tego, co budowali. Samolotów odrzutowych, U-Bootów nowego typu. To było niezwykle ryzykowne. Ludzie ci często płacili za swoją działalność życiem. Niemcy zdawali sobie bowiem sprawę z ryzyka, jakim była praca Polaków w przemyśle zbrojeniowym. I starali się zwalczać polski wywiad.

A jaką rolę w działalności wywiadu odgrywały kobiety?

Olbrzymią. Nie do przecenienia. To zresztą ciekawy fenomen. O ile przed

wojną kobiety w polskim wywiadzie w zasadzie nie odgrywały większej roli, o tyle w trakcie wojny się to zmieniło. Bez polskich kobiet nie byłoby polskiego wywiadu. To one wykradały informacje, to one zapewniały łączność, bez której wywiad by się rozsypał. Przecież to było przed epoką telefonów komórkowych i e-maili. Zdobyte informacje należało jakoś przekazać do Wielkiej Brytanii. Robiono to drogą radiową, ale również przy pomocy kurierów. Tymi kurierami były często kobiety.

A co z wdziękami kobiecymi? Czy nasz wywiad ich używał? Blanka Kaczorowska – późniejsza agentka gestapo – dostała podobno od AK zadanie uwiedzenia młodego niemieckiego oficera i wyciągnięcia od niego informacji. Zakończyło się to płomienną love story z tajnymi służbami w tle.

(śmiej) Blanka Kaczorowska nie jest najbardziej wiarygodnym źródłem. Oczywiście jednak mogło się to zdarzać. We wspomnieniach Teodory Żukowskiej pojawiają się informacje, że element urody kobiecej był również jedną z metod wywiadowczych. Zresztą Żukowska była jednocześnie kochanką jednego z szefów polskiego wywiadu. Znana jest też historia wykorzystywania prostytutek, które podawały się za „studentki” i podrywały niemieckich oficerów, aby wykraść im dokumenty czy broń. To oczywiście były

wojskowy nie dorastał mu do pięć. Pod każdym względem. To już nie było jednoosobowe, pewne dowodzenie.

To niestety nie była jedyna poważna wpadka.

Tak, nasze podziemie, w tym wywiad, dotknęły całe fale aresztowań, które przyniosły śmierć wielu ważnych ludzi. W tym prawdziwego asa polskiego podziemnego wywiadu w osobie jego szefa i twórcy ppłk. Mariana Drobika „Dzięcioła”. Kontrwywiadowi nie udało się z wyprzedzeniem uzyskać informacji o działaniach niemieckich służb. Nie udało mu się zinfiltrować gestapo, choć oczywiście jakieś pojedyncze wtyczki w niemieckiej tajnej policji Armia Krajowa miała. Okazało się to jednak niewystarczające.

Kolejna kontrowersyjna sprawa – decyzja o wywołaniu powstania warszawskiego i słynne sowieckie czołgi na Pradze.

Akurat tę wiadomość do Komendy Głównej przyniósł dowódca AK w Warszawie – Antoni Chruściel. Szef wywiadu Kazimierz Iranek-Osmecki był zaś przeciwnikiem wywołania powstania. On uzyskał informacje, że Niemcy przeszli do kontrnatarcia przeciwko bolszewikom na wschodnich przedpolach stolicy. 31 lipca 1944 r. Iranek przyszedł zbyt późno na kluczowe zebranie u „Bora” i nie zdążył przekazać tych wiadomości. Po prostu przybył za późno.

Co jeszcze było słabą stroną polskiego wywiadu?

Fatalne szyfry. O tym się zapomina, a to było źródło bardzo wielu polskich porażek. Nasze szyfry były bez trudu łamane przez Niemców, którzy czytali kluczowe depesze wysyłane przez podziemie do Londynu. A w tych szyfrach były adresy mieszkań konspiracyjnych, nazwiska, i te wszystkie naiwne hasła w stylu: „Przychodzę od pani Ziuty, czy



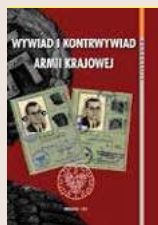
Niemieckie plakaty ostrzegające przed szpiegami FOT. ARCHIWUM

pani Ziuta sprzedaje parówkę”... Polski kontrwywiad wiele wysp zrzucał na płatnych zdrajców, którzy rzekomo mieli przekazywać tajemnice podziemia gestapo. W rzeczywistości były one często skutkiem łamania polskich szyfrów przez Niemców. Nasi słynni szyfranci, wsławieni złamaniem „Enigmy”, zostali z polskiego wywiadu wyrzuceni przez różnych zawistników, a zastąpiono ich dyletantami, amatorami. To musiało się skończyć tragicznie. To była nasza największa porażka. Kompromitacja.

Jaki więc był ogólny bilans działalności naszego wywiadu i kontrwywiadu?

Bez wątplenia dodatni. Informacje, jakie przekazywaliśmy aliantom o machinie wojennej III Rzeszy, były bezcenne. Bohaterstwo i poświęcenie pracowników wywiadu – olbrzymie. A organizacja samej służby – imponująca. drugiej takiej struktury w okupowanej Europie nie było. Nikomu, oprócz Polaków, stworzenie czegoś takiego się nie udało.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



WŁADYSŁAW BUŁHAK
„WYWIAD I KONTRWYWIAD
ARMII KRAJOWEJ”

IPN

panie, które trudniły się tym zawodem. A wywiad AK płacił im po prostu za dodatkową usługę.

Mówiliśmy o sukcesach. Jakie były największe porażki wywiadu i kontrwywiadu AK?

Odpowiedź jest oczywista. Największą klęską było to, że nie udało się ochronić kierownictwa AK i Polskiego Państwa Podziemnego przed służbami przeciwnika. Symbolem tego było aresztowanie dowódcy podziemnej armii gen. Grota-Roweckiego w czerwcu 1943 r. To była prawdziwa klęska. Jego następcą, gen. Tadeusz Bór-Komorowski, osobiście człowiek sympatyczny i dowcipny, jako



dr Władysław
Bulhak

jest historykiem Biura Badań Historycznych IPN. Napisał m.in. „Wywiad i kontrwywiad Armii Krajowej” (red.), „Szpiegzy PRL-u” i „Wywiad PRL a Watykan”.

Atak australijskich komandosów na japońskie okręty w Sinagpurze. Obrazy Dennisa Adamsa

FOT. AUSTRALIAN WAR MEMORIAL

Jesień 1943 r. / Szaleńcza operacja „Jaywick”

Wysadzić Singapur!



Grzegorz Janiszewski

To jedna z najbardziej brawurowych akcji w historii sił specjalnych. Komandosi przedarli się do Singapuru, używając kutra rybackiego i... kajaków

W lutym 1942 r. Japończycy zdobyli Singapur. Utrata „Gibraltaru Wschodu” – jak go nazywano – ważnego punktu handlowego i „twierdzy nie do zdobycia”, kluczowej dla obrony rejonu przed Japończykami, kosztowała brytyjskie imperium ok. 80 tys. żołnierzy, którzy dostali się do niewoli.

Dalsze 50 tys. poddało się podczas całej kampanii malajskiej. Japończycy usadowili się na dobre w tej części Azji, kontrolując również szlaki handlowe.

Churchill był wściekły, nazywając bitwę „najgorszą porażką i największą katastrofą” w historii Wielkiej Brytanii. Nie zamierzał jednak czekać z założonymi rękami. Podobnie jak do Europy okupowanej przez Niemców postanowił wysłać przeciwko Japończykom swoją ulubioną formację – komandosów. Tutaj sprawa była jednak trudniejsza. Droga z Indii była długa i zbyt niebezpieczna. Najbardziej dogodną bazą operacyjną była Australia, skąd można było płynąć pod osłoną licznych wysp na Morzu Jawajskim.

Niezwyczajni dżentelmeni

Do takich zadań trzeba było zawsze śmiałych i nieco szalonych ludzi, ufają-

cych w zaskoczenie i swoją szczęśliwą gwiazdę bardziej niż siłę broni. Brytyjskie Special Operations Executive skierowało do Australii mjr. Ivana Lyona z pułku Gordon Highlanders. Lyon dobrze znał Singapur. Służył tu przed zajęciem go przez Japończyków i wykonywał zadania również dla wywiadu, żeglując po okolicznych wodach.

Wkrótce po upadku miasta spotkał na Sumatrze 60-letniego kapitana australijskiej marynarki handlowej Williama Reynoldsa „Billa”. Pracował dla australijskiego wywiadu i brał udział w ewakuacji tysięcy ludzi z Singapuru, wykorzystując do tego były japoński kuter rybacki „Kofuku Maru”, przejęty przez Brytyjczyków po wybuchu wojny z Japonią. Lyon na darmo poszukiwał wśród uchodźców swojej żony i rocznego syna, których zostawił w Sinagpurze. Przerażony wieściami dochodzącymi z miasta, chciał wyrównać również prywatne porachunki. Japończycy wobec miejscowej ludności wprowadzili okrut-



ny terror. Tylko w ramach operacji „Sook Ching” („Oczyszczenie”) wymordowano ok. 50 tys. Chińczyków. Reynolds i Lyon wpadli na pomysł skrytego przedarcia się do miasta i zadania jak największych strat japońskiej flocie. „Kofuku Maru” doskonale się do tego nadawał. Kuter nie był duży – wypierał 68 t, miał ok. 21 m długości i niecałe 4 m szerokości. Zupełnie nie zwracał uwagi japońskich patroli, które brały go za łódź tubylców.

Australijczy, którym Lyon przedstawił propozycję, byli początkowo niechętni pomysłowi. W końcu jednak zaakceptowali plan. Operację, której nadano kryptonim Jaywick, miał wykonać Oddział Z – jednostka australijskiego wywiadu wojskowego Services Reconnaissance Department, przeznaczona do rozpoznania i dywersji na tyłach wroga. Z jej szeregów wywodziło się dwóch Brytyjczyków i 11 Australijczyków, którzy mieli wykonać zadanie razem z Lyonem. Przygotowania do misji zaczęły się we wrześniu 1942 r., kiedy załoga zaczęła szkolenie w tajnym Obozie X, w Refugee Bay na północ od Sydney. Komandosi ćwiczyli długie rejsy kajakami i bytowanie w dżungli. Operacja była kilkakrotnie przekładana z powodu kłopotów ze statkiem i niesprzyjającej pogody. W czerwcu 1943 r. odbyła się próba generalna do ataku. W ramach ćwiczeń komandosi na pięciu kajakach przekradli się niezauważeni do strzeżonego portu australijskiej marynarki w Townsville Harbour i założyli ćwiczebne miny magnetyczne na stojących tam statkach.

W sierpniu 1943 r. statek, przemianowany na „Krait” (od nazwy małego, ale bardzo jadowitego azjatyckiego węża),

był gotowy do akcji. Na pokładzie znalazły się: broń, amunicja, zapas jedzenia na kilka tygodni i trzy pokryte gumowanym płótnem brytyjskie kajaki MK I**. Australijczycy mieli doskonałe kajaki Folbot Kayak Type, skonstruowane przez emigranta ze Szwajcarii Waltera Hoehna. Wojsko zakupiło ich ponad tysiąc sztuk i dobrze sprawdzały się w podobnych operacjach. Jednak Lyon, finansujący operację z pieniędzy brytyjskiego SOE, uparł się, żeby sprowadzić kajaki specjalnie z Anglii.

Załoga miała przepłynąć przez Ocean Indyjski, między wyspami Bali i Lombok przejść na opanowane przez Japończyków Morze Jawajskie, a potem przecisnąć się między Jawą i Borneo oraz ruszyć dalej ruchliwym szlakiem do Singapuru.

Przez dalekie morza

„Krait” wypłynął 1 września z Zatok Exmouth w północno-zachodniej Australii. Zaraz po tym urwał się wał napędowy śruby. O mały włos wyprawa zakończyłaby się już wtedy. Z powodu nadciągającego monsunu nie było czasu na powrót ani naprawę w stoczni. Na szczęście awarię udało się usunąć za pomocą mechaników z przepływającego w pobliżu amerykańskiego statku remontowego USS „Chanticleer”. Pracując przez całą noc, zdołali prowizorycznie połączyć wał i następnego dnia „Krait” znowu mógł płynąć.

Na pełnym morzu złapał ich sztorm, ale potem pogoda sprzyjała żeglarzom. Trzeciego dnia Lyon poinformował

załogę o prawdziwym celu podróży. Dotychczas wiedzieli, że akcja odbędzie się w odległej o tysiąc mil Surabai. Do Singapuru było dwa razy dalej. Komandosi przyjęli wiadomość z entuzjazmem, mimo że w razie wykrycia przez Japończyków byli bez szans. Na taką okazję każdy żołnierz dostał ampułkę z cyjankiem. Lepiej było umrzeć od razu, niż służyć za worek treningowy dla japońskich bagnietów albo, co gorsza, posłużyć jako przedmiot pseudomedycznych eksperymentów.

Na maszt wciągnięto japońską banderę. Załoga pomałowała się na brązowo i przebrała w sarongi. Z daleka od biedy przypominali tubylców zagubionych na oceanie. Do Archipelagu Małych Wyp Sundaeskich płynęli bez przerwy, również za dnia, ignorując zagrożenie z powietrza. W cieśninę Lombok wpłynęli wieczorem, żeby rano znaleźć się na Morzu Jawajskim. Wtedy statek zaczął mocno zwalniać. W nocy przez cieśninę przelewał się silny prąd w kierunku Oceanu Indyjskiego. Prędkość spadła do zaledwie jednej mili na godzinę. Świt zastał wyprawę w pobliżu wyspy Lombok, na której znajdowała się baza japońskiej marynarki wojennej. Jedynie poranna mgła i zmiana kierunku prądu morskiego wybawiły ich z opresji. Do Singapuru pozostało jeszcze kilkaset mil morskich.

16 września w czasie ulewnej tropikalnej deszczu komandosi znaleźli się między Sumatrą a archipelagami Riau i Lingga. Do Singapuru stamtąd było już tylko ok. 20 mil. Lyon z pięcioma żołnierzami wyładowali się na wyspie Panjang. „Krait” odpłynął w kierunku Borneo, znikając z często patrolowanego obszaru. Miał powrócić po komandosów po akcji.

Komandosi odpoczywali na wyspie przez dwa dni, po czym wyładowany mi po brzegi kajakami – każdy ważył ok. 300 kg – ruszyli w kierunku Singapuru. Płynąc przez dwie noce, a w dzień chowając się w przybrzeżnych zaroślach, dopłynęli do wysepki Dongas. Od miasta dzieliło ich jakieś 10 mil. Port był dobrze widoczny nawet nocą. Japończycy czuli się tu tak pewnie, że nie stosowali zaciemnienia.

24 września na singapurskiej redzie cumowały statki o wyporności ocenionej przez Lyona na ok. 65 tys. ton. Komandosi postanowili zaatakować tej nocy. Każda załoga kajaka obrała inny cel. Lyon z marynarzem Andrew Hustonem

Australijscy żołnierze – załoga trawlera „Krait” FOT. AUSTRALIAN WAR MEMORIAL





Trawler „Krait” FOT. ARCHIWUM

■ mieli zaatakować statki między wyspą Bukum a portem. Porucznik Donald Davidson i mar. Walter Falls statki na głównym szlaku żeglutowym na wschód od zatoki Keppel, a ppor. Robert Page i mar. Arthur Jones cele w rejonie wyspy Pulau Bukum. Morze było oświetlane przez światła dozoruujących reflektorów, które szczęśliwie omijały niewielkie kajaki. Po kilku godzinach wiosłowania Lyon zorientował się, że prąd w zatoce jest zbyt silny i nie zdąży wykonać zadania przed świtem. Zaczęli odwrót, kiedy rozpętała się tropikalna burza. Lyon i Huston zgubili drogę i dotarli do obozu dopiero pod wieczór. Wszyscy jeszcze w tym samym dniu przenieśli się na wyspę Subar, skąd mieli lepszy widok na port. Lepiej też układały się w tym miejscu prądy morskie.

Siedem eksplozji

W nocy z 26 na 27 września wyruszyli ponownie. Z ostatnich siedmiu nocy sześć spędzili, wiosłując w parnym równikowym klimacie. Dłonie mieli zdarte do krwi i pokryte bąblami. Przybrzeżny piasek zgarniany na wiosła działał jak papier ścierny. Tym razem płynęli szybko i szybko zidentyfikowali cele. Davidson i Falls o mało nie zostali zmiażdżeni przez przepływający statek, kiedy chcieli dostać się przez wejście do wewnętrzznego basenu. Zniszczenie cumujących tam

statków na wiele miesięcy zablokowały port. Zrezygnowali jednak z tego pomysłu, bo jednostki były małe i dobrze oświetlone. Szybko założyli miny na trzech statkach, pomagając sobie magnetycznym uchwytem, dzięki któremu kajak trzymał się przy burcie statku, i tyczką do zamocowania min głęboko pod linią wodną. Potem wyrzucili zbędny już ekwipunek do wody i ile sił w zmęczonych rękach popłynęli do bazy.

Page i Jones też odnaleźli swoje cele. Założyli miny na jednym dużym statku. Inne były albo za małe, albo były to trudne do zatopienia zbiornikowce. Wycofując się, umieścili miny jeszcze na dwóch statkach na redzie.

Lyon z Hudsonem w ciemnościach długo szukali odpowiednich celów. W końcu założyli miny na zbiornikowcach. Mało brakowało, a zostaliby wykryci. Kiedy wykonywali swoją morderczą pracę, z bulają jakieś 3 m nad nimi wychyliła się skośnooka twarz. Lyon dał znak, żeby jak gdyby nigdy nic kontynuować. Japoński marynarz przez dłuższą chwilę przypatrywał się, jak zakładają miny przy burcie jego statku, a potem schował w kajucie, nie wszczynając alarmu. W nocnych ciemnościach musiał wziąć ich za miejscowych poławiaczy skorupiaków.

Po wykonaniu zadania Lyon z Hudsonem zaczęli wściekle wiosłować. Tym razem prądy im sprzyjały, ale przy wyspie znaleźli się dopiero ok. godz. 5.

Kiedy wyciągali kajaki na brzeg, od strony portu usłyszeli głośnie eksplozje. Potem na wodach zatoki zaroilo się od okrętów i łodzi patrolowych. Nad wyspami zaczęły przelatywać japońskie samoloty. W porcie wszczęto spóźniony alarm.

W tym czasie do miejsca umówionego spotkania przy wyspie Pongpong płynął „Krait”. Davidson i Falls znaleźli się na jego pokładzie zaraz po północy 2 października. Pozostali komandosi nie mogli znaleźć statku i dołączyli dopiero w ciągu dnia. Droga do Australii mimo obaw załogi minęła wyjątkowo spokojnie. Japończycy nie rozpoczęli żadnych poszukiwań. Byli przekonani, że ataku dokonał miejscowy ruch oporu. W odwecie wszczęli krwawe represje wobec miejscowej ludności. „Krait” po 48 dniach żeglugi, 19 października, bezpiecznie dotarł do Australii po przepłynięciu prawie 8 tys. km.

Śmiali nie zawsze zwyciężają

Ustalenia wywiadu potwierdziły zatopienie siedmiu japońskich jednostek o łącznej wyporności 38 tys. ton. Później okazało się, że miny na jednym statku nie wybuchły, zatopione zostały dwa, a pozostałe ciężko uszkodzone. Japończycy byli totalnie zaskoczeni. Ich forteca okazała się mniej bezpieczna, niż się tego spodziewali. Sukces operacji dał asumpt do dalszych planów. Rok później do Singapuru wyruszyła grupa 23 żołnierzy, którzy przy użyciu podwodnych kajaków Sleeping Beauty mieli zatopić kilkadziesiąt statków wroga. Japończycy byli już bardziej czujni. Wszyscy komandosi, w tym Lyon i pięciu weteranów operacji „Jaywick”, zginęli podczas akcji albo zostali rozstrzelani jako dywersanci.

Żona i syn Lyona – Clive – przeżyli wojnę, zagarnięci przez załogę niemieckiego rajdera podczas ewakuacji z Singapuru do Indii i przekazani Japończykom. Doświadczenia zebrane podczas tej operacji i innych na azjatyckich wodach legły u podstaw tworzonych po wojnie australijskich sił specjalnych. „Krait” uczestniczył jeszcze w wielu tajnych operacjach. Dzisiaj można go oglądać w muzeum Australijskiej Marynarki w Sydney.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Nowości Wydawnicze Wydawnictwa Graf_ika



Dzieje Polski Ilustrowane Julian Baczyński

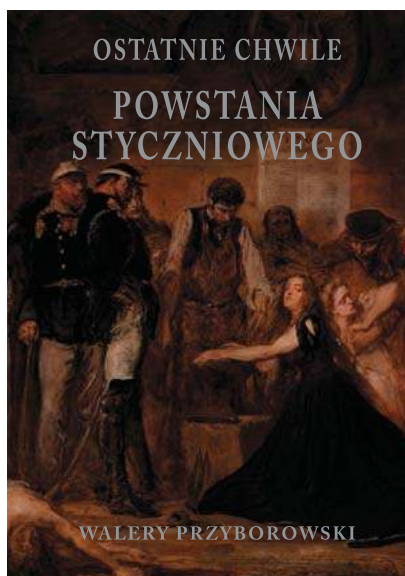
Dwa tomy w jednym woluminie. Barwny reprint na podstawie oryginału z 1909 r. z licznymi zdjęciami, kolorowymi ilustracjami znanych polskich malarzy i mapami.

Okładka z epoki ze złożonymi literami. Autor przedstawia w zwięzłym skrócie historię Polski od początków powstania, prowadzi nas poprzez burzliwe jej dzieje i kończy na okresie porzeczności. Do książki załączona jest kolorowa mapa Polski przedstawiająca kolejne rozbiory.

Oprawa twarda, złożona, format 210 x 297 mm, 960 stron.



Projekt dofinansowany przez
Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych



Ostatnie chwile Powstania Styczniowego Walery Przyborski

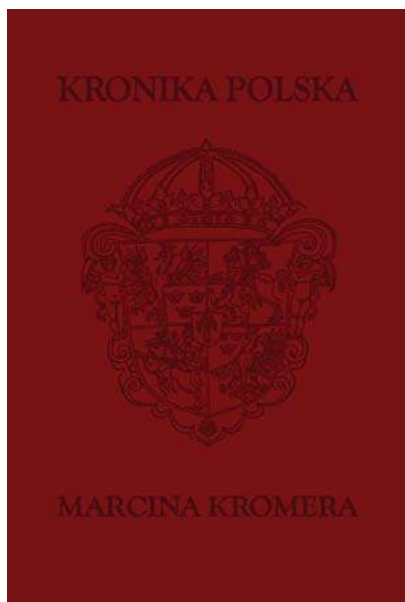
Cztery tomy w jednym woluminie. Reprint na podstawie oryginałów z lat 1870-1880.

Autor przedstawia ostatnie „chwile” Powstania Styczniowego oraz dzieje Polski po upadku powstania. Bezstronna i rzetelna historia spisana na kartkach niniejszego dzieła obrazuje m.in. życie Polaków pod zaborami oraz stan polityczny i organizację kraju. Wszystko to na bazie materiałów źródłowych oraz historii i wspomnień naocznych świadków i uczestników.

Oprawa twarda, format 176 x 250 mm, 656 stron.



Projekt dofinansowany przez
Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych



Kronika Polska Marcina Kromera

Wznowienie. Inicjały oraz drzeworyty wykorzystane zostały z pierwszego wydania z 1611 r., teksty z 1857 r., dzięki czemu każdy może bez problemów zapoznać się z historią przedstawioną na kartach kroniki. Krój czcionki pierwszego wydania został zastąpiony uwspółcześnioną czcionką.

Kromer był kronikarzem króla Zygmunta Starego. Korzystał z wielu materiałów źródłowych i dokumentów. Opisuje w swej Kronice historię Polski od początku powstania narodu polskiego do początku XVI w.

Oprawa twarda, ekoskóra tłoczona złotem, format 210 x 297 mm, 840 stron.



Wydawnictwo Graf_ika

biuro: ul. Mokotowska 60/50, 00-534 Warszawa

tel. 664-172-032, 660-422-919, www.graf-ika.pl, e-mail: sklep@graf-ika.pl

www.sklep.graf-ika.pl



1918 r. / Hańba czy rozsądek generała?

Pucz przeciw Dowborowi



Marek Gałęzowski

/ Dowódca I Korpusu Polskiego podjął decyzję o kapitulacji przed Niemcami. Został wówczas aresztowany przez spiskowców

Niewystąpienie do walki uważam po dziś dzień za hańbę dla Wojska Polskiego i szkodę dla sprawy Polski [...]. Nie uważam gen. Dowbora za

uprawnionego do okrywania się powagą dowódcy Korpusu z chwilą, kiedy ten Korpus prowadził na kapitulację". W tak twardych słowach Ignacy Matuszewski, wybitny przedstawiciel środowiska piłsudczyków, oceniał postawę dowódcy I Korpusu Polskiego w Rosji, dwa lata po zorganizowanej m.in. przez siebie nieudanej próbie przeciwstawienia się kapitulacji tej jednostki przed Niemcami.

Była to również odpowiedź na słowa gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, który nazwał Matuszewskiego i jego kolegów łotrami działającymi za obce pieniądze. Znaczony tak silnymi emocjami konflikt był jeszcze jedną odsłoną wielokrotnie pojawiającego się w polskich działaniach niepodległościowych dylematu. Czy bić się, dając świadectwo niepodległej woli, czy ustąpić, by nie tracić sił w niero-

kującej sukcesu walce i zachować je na sposobniejszą chwilę.

I Korpus Polski

Obalenie monarchii w Rosji wskutek rewolucji lutowej 1917 r. miało – jak wiadomo – korzystny wpływ na kwestię niepodległości Polski, ułatwiając działania polskich polityków na Zachodzie i wpływając na strategię obozu niepodległościowego w kraju. W dziejach polskiej wojskowości tego okresu wpłynęło natomiast na decyzję formowania w Rosji oddziałów złożonych z Polaków dotychczas służących w armii rosyjskiej. Najliczniejszą i najlepiej uzbrojoną spośród utworzonych wówczas jednostek był I Korpus, na czele którego stanął gen. Jó-



Józef Dowbor-Muśnicki (siedzi w środku) z oficerami sztabu I Korpusu Polskiego

FOT. WIKIPEDIA

wskutek dezercji – wielu jego żołnierzy uległo agitacji bolszewickiej, by opuścić szeregi i wracali do domu. Sam generał podał, że te ubytki zmniejszyły stan korpusu w końcu stycznia 1918 r. do ledwie 12 tys. ludzi, ale i ta liczba jeszcze zmalała.

Jak pisze Waław Lipiński: „[...] położenie Korpusu przedstawiało się bardzo niepomysłnie. Pozostając dotychczas na etacie wojsk rosyjskich, otrzymywał od nich wszelkie środki utrzymania, co teraz zostaje [...] wstrzymane. Bez dostawy żywności oraz środków pieniężnych Korpus był skazany na zagładę, gdyż uboga, lesista Białoruś nie zapewniała wyżywienia” (ten i inne cytaty, o ile nie zaznaczono inaczej: W. Lipiński, „Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905–1918”, oprac. M. Gałęzowski, współpraca J. Kirszak, Łomianki 2016). W tej sytuacji Polacy opanowali Bobrujsk, usuwając bolszewicką załogę i przejmując zgromadzone tam zapasy. Wobec znacznej przewagi czerwonych sytuacja polskiego wojska szybko zaczęła się jednak komplikować. Wówczas jednak na obszary zajmowane przez korpus wkroczyli Niemcy, zmuszając bolszewików do odwrotu.

Sytuacja Polaków polepszyła się jedynie doraźnie. Zarówno Naczelny Polski Komitet Wojskowy (Naczpól), będący zwierzchnią władzą I Korpusu, jak i zdominowana przez narodowców Rada Międzypartyjna zwracały

gen. Dowborowi-Muśnickiemu uwagę na konieczność unikania porozumienia z Niemcami i doradzały przejście jego oddziałów na Ukrainę. Ten jednak 26 lutego 1918 r. zawarł układ z reprezentantem dowództwa niemieckiego na Wschodzie. W jego konsekwencji korpus został podporządkowany Radzie Regencyjnej, sprawującej władzę z ramienia państw centralnych w Warszawie.

Czy – jak uznawali krytycy tej decyzji – w ten sposób generał sprzeniewierzył się pierwotnej idei korpusu tworzonego do walki z Niemcami? Otóż zimą 1918 r. nie miało to znaczenia, ponieważ władze rosyjskie, które – zresztą bez entuzjazmu – zgodziły się na utworzenie korpusu, już nie istniały. Rządzający Rosją bolszewicy dążyli do zakończenia wojny z państwami centralnymi, co nastąpiło ledwie tydzień po wspomnianym porozumieniu

między korpusem a Niemcami, wojsko polskie traktowali zaś jako wroga i dążyli do jego zniszczenia. Celem gen. Dowbora-Muśnickiego musiało być w tej sytuacji wydobyć się z matni i to było źródłem umowy z Niemcami. Niemale znaczenie miało i to, że poprzednia dyslokacja skutkowała znacznymi ubytkami w jego oddziałach, co stawiało pod znakiem zapytania możliwość przemieszczenia się na Ukrainę, o kolejne setki kilometrów.

Jak ocenił Lipiński, decyzja z lutego 1918 r. „wykreślała I Korpus w jednej chwili z rachunku sił, za pomocą których w ówczesnych warunkach zamierza-



zef Dowbor-Muśnicki. Do końca stycznia 1918 r. korpus, rozlokowany na obszarze dzisiejszej środkowej i wschodniej Białorusi, osiągnął stan ok. 29 tys. żołnierzy.

Na przeszkodzie dalszego rozwoju tego wojska stanęli bolszewicy, którzy niespełna trzy miesiące wcześniej siłą przejęli władzę w Rosji. Zaczęli oni uniemożliwiać napływ ochotników, a następnie dążyć do likwidacji I Korpusu, jako pretekst wykorzystując to, że gen. Dowbor-Muśnicki nie tylko potępił napawające odrazą morderstwa czerwonych dokonywane na oficerach dawnej armii rosyjskiej, lecz także na kontrolowanym przez siebie obszarze przeciwstawił się im. Do pierwszych walk z bolszewikami doszło w toku koncentracji korpusu w rejonie Rohaczewa, Żłobina i Bobrujska. Jednak największe straty poniósł on

no wywalczyć niepodległość”. Chyba jednak nie, skoro o wszczęciu tej walki na ziemiach polskich okupowanych przez państwa centralne nie było wówczas mowy, wkrótce zaś niektórym oficerom legionowym, zwolnionym z Beniaminowa i Łomży, pozwolono wstępować do podległej Niemcom Polskiej Siły Zbrojnej. Oczywiście po to, by w dogodnym momencie zbliżającej się do końca wojny mogła być ona użyta do zrzucenia rządów okupacyjnych.

Tymczasem po zawarciu pokoju z bolszewikami Niemcy zaczęli naciśkać na demobilizację I Korpusu. Rada Regencyjna nie potrafiła temu zapobiec, polecając generała i „podległe mu bohaterskie wojsko opiece Boskiej”, co było równoznaczne z daniem mu wolnej ręki. W takim momencie w korpusie pojawili

■ się wysłannicy Polskiej Organizacji Wojskowej – Ignacy Matuszewski i Leopold Lis-Kula, a później Przemysław Barthel de Weydenthal (dwaj ostatni byli wcześniej oficerami I Brygady Legionów).

Dążyli oni do zachowania korpusu „w takiej niezależności od Niemców, aby zagwarantować mu możliwość rozwoju”, by stał się zwartą, zdyscyplinowaną jednostką wojskową, i skoordynowania jego działań z planowanymi wystąpieniami przeciw zaborcy w kraju. Jednym słowem, zarówno zwolennicy polityki uwiecznionego w Magdeburgu Józefa Piłsudskiego, jak i politycy narodowi w Rosji chcieli, by korpus otwarcie poparł ententę. Wydawało się, że podobne było stanowisko jego dowódcy, który 9 maja 1918 r. zadeklarował wobec Matuszewskiego, że niełoży broni przed Niemcami.

Kiedy jednak 11 dni później dowództwo niemieckie zażądało rozbrojenia Korpusu, gen. Dowbor-Muśnicki zgodził się na to. Argumentował, że warunki, które narzucili Niemcy, są haniebne, lecz hańbę decyzji kapitulacji bierze na swoją odpowiedzialność po to, by ocalić żołnierzy. Niegodzący się na złożenie broni peowiacy i nieliczni wspierający ich inni oficerowie korpusu podjęli próbę przejęcia władzy nad wojskiem i uderzenia na Niemców, przejściowo nawet aresztując gen. Dowbora-Muśnickiego. Ich usiłowania spotkały się jednak albo z odmową, albo z obojętnością. Korpus złożył broń bez protestu, a większość jego żołnierzy

została przetransportowana przez Niemców na obszar Królestwa Polskiego i tam rozpuszczona do domów.

Hańba czy rozum

Wacław Lipiński, pierwszy historyk polskich formacji wojskowych z czasów pierwszej wojny światowej, a równocześnie legionista i piłsudczyk, co nie było bez znaczenia w kontekście sporu o postępowanie dowódcy I Korpusu, pisał na początku lat 30. w biografii Lisa-Kuli, że „interes narodowy, jak również interesy samego wojska polskiego wymagały w tej chwili stanowczego zwrotu przeciw Niemcom. Trwanie przy ugodzie i porozumieniu z Niemcami oddawało Korpus w ich ręce, doprowadzało do demobilizacji, do całkowitego unicestwienia Korpusu, najliczniejszej wówczas polskiej formacji wojskowej, a nade wszystko zadawało dotkliwy cios obozowi niepodległościowemu i prowadzonej przez niego wyteżonej działalności polityczno-wojskowej, której wpływy objęły w tym czasie o wiele szerszy zakres, jednocząc prawie całe społeczeństwo”. Jedynym wyjściem była zbrojna manifestacja korpusu przeciw Niemcom, nie zaś kapitulacja, którą Lipiński uważał za haniebną.

Generał Dowbor-Muśnicki odpowiedział na te uwagi, posługując się licznymi uproszczeniami i inwektywami. Swoich dawnych oponentów z POW nazywał

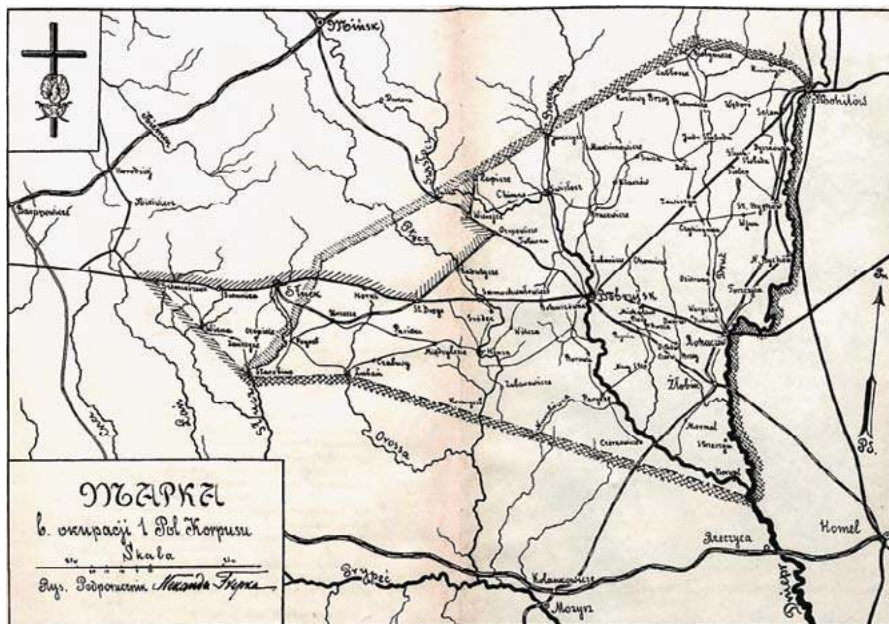
„mafią legionową”, zarzucał im złą wolę i chęć „wywołania burdy dla zniszczenia kontrrewolucyjnego Korpusu rękami niemieckimi”. Sugerował w ten sposób powiązania peowiaków z bolszewikami, a w zapędzie polemiki popadł w megalomanię, pisząc o dowodzonej przez siebie jednostce, że podczas pierwszej wojny była „jedyną regularną, ideową, polską formacją wojskową, tym więcej, że na własną rękę bez obcej pomocy [...] zbił[a] jednego z zaborców”.

Była to nieprawda, gdyż jedyną taką formacją były Legiony Polskie, sam zaś korpus stoczył jedynie kilka walk z bolszewikami. Ponadto generał kierował swoje obelgi w stronę dwóch oficerów, którzy polegli w zmaganiach o granice Polski – Lis-Kula w wojnie z Ukraińcami, Barthel de Weydenthal w szeregach dążącej do kraju dywizji gen. Lucjana Żeligowskiego, bijąc się z bolszewikami w Odessie. Zresztą już w 1921 r. Oficerski Trybunał Orzekający uznał, że oskarżenia gen. Dowbora-Muśnickiego wobec oficerów POW „były bezpodstawne i krzywdzące”.

Czy jednak rzeczywiście racja w tym sporze o podjęcie przez gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego walki z Niemcami była po stronie Ignacego Matuszewskiego i wspomnianych oficerów legionowych, których wspierali później z emfazą Melchior Wańkowicz i Wacław Lipiński? Czy bardziej właściwy w sytuacji, w której znalazł się polski korpus, okazał się pragmatyzm generała, który nie widział żadnego uzasadnienia zbrojnej demonstracji?

„Dowbor-Muśnicki znalazł się wobec alternatywy podpisania dyktatu strony niemieckiej, co otwierało perspektywę powrotu rozbrojonych żołnierzy do kraju i zachowania de facto kadry I Korpusu Polskiego, albo odmówienia podpisu i wybrania przez to samo oporu zbrojnego, rozwiązania wprawdzie honorowego, ale bez nadziei na powodzenie i rokuszące tylko daremny rozlew krwi” – oceniał historyk wojskowości Mieczysław Wrzosek. Badacz wskazywał równocześnie, że generał bezpodstawnie posądził peowiaków próbujących skierować I Korpus do walki z Niemcami o działalność za „cudze pieniądze”, którym to „pochopnym osądem mocno zaszkodził swojej opinii i późniejszej karierze”.

Czy walka I Korpusu z Niemcami byłaby bezcelowym rozlewem krwi?



Peowiacy uważali zbrojne zamanifestowanie antyniemieckiej postawy za nakaz chwili i nie mogli rzecz jasną przewidzieć, że kilka miesięcy później żołnierze i oficerowie I Korpusu będą bardziej potrzebni w kraju, by wraz z legionistami tworzyć kadrę Wojska Polskiego. Podobnej manifestacji dokonał wszak 11 maja 1918 r. pod Kaniowem II Korpus i nikt nie posądział jego dowódcy, płk. Józefa Hallera, o „bezcelowy rozlew krwi”, chociaż wojska niemieckie i tam miały znaczącą przewagę liczebną nad Polakami. Na temat tej bitwy pisał bowiem Wrzosek, że „miała duże znaczenie dla sprawy polskiej, stanowiła bowiem skromny, ale samodzielny wkład żołnierza polskiego w dzieło zwycięstwa nad państwami centralnymi”.

Sytuacja I Korpusu była jednak zupełnie inna. Argument piłsudczyków, jakoby wystąpienie przeciw Niemcom mogło mieć wpływ na położenie sprawy polskiej na Zachodzie, nie ma żadnych podstaw. Innymi słowy, ofiara żołnierzy I Korpusu nie mogła zaważyć na decyzjach dotyczących Polski, które zapadły w czasie konferencji paryskiej, kształtującej powojenny ład europejski. Premier brytyjski nie byłby mniej niechętny Polsce nawet wtedy, gdyby polskie formacje walczyły na froncie zachodnim od początku wojny światowej (niezależnie od bezwartościowych komplementów na temat dzielności Polaków, których być może by nie szczędził).

Arbiter

Słabość militarną korpusu dostrzegali sami piłsudscy. „10 maja podniósł [on] co prawda swój stan liczebny do 23 661 ludzi, lecz stany bagnetów w oddziałach (zwłaszcza pułkach piechoty) nie uległy zmianie na lepsze”, ledwie przekraczając 3,5 tys. W praktyce do walki najbardziej zdolne były nieliczne pułki kawaleryjskie oraz legia oficerska. Trudno sobie wyobrazić, by w takim przypadku można było liczyć na coś więcej niż jedynie zbrojną demonstrację.

Nawet takie wystąpienie musiało doprowadzić do likwidacji I Korpusu przez znacznie przeważające siły niemieckie. To zaś oznaczało rozproszenie żołnierzy na obszarze całkowicie im wrogim. Taki stan rzeczy wynikał zresztą z postępowania samego korpusu. Jak pisał Matuszewski, „rządy Dowbora-Muśnickiego na Białej Rusi pozostaną czarną kartą w historii polskiej. Zwierżęce bicie ludzi, wieszanie, mordowanie winnych i niewinnych, okrucieństwa systematycznie uprawiane przez zwyrodniałe jednostki, wyzysk i lekceważenie ludności miejscowej, zarówno białoruskiej, jak i polskiej, wzięte za zasadę – wszystko to wytrącało grunt spod nóg [...]. Korpus miał pod stopami wrzącą lawę”.

Nietrudno wyobrazić sobie postępowanie mieszkańców tych ziem wobec rozproszonych żołnierzy korpusu. Ich los byłby przesądzony także wtedy, gdyby dostali się w ręce bolszewickie, usiłując przedostać się na Ukrainę lub do Murmańska. Przykładów dostarczają okrutne morderstwa dokonane na żołnierzach polskich, którzy w tym czasie dążyli do polskich formacji przez tereny zajęte przez bolszewików.



Przemysław Barthel de Weydenthal

FOT. WIKIPEDIA



Leopold Lis-Kula

FOT. NAC

Powyższe czynniki – słabe morale znacznej części korpusu, brak środków militarnych umożliwiających prowadzenie walki w dłuższym czasie, a przede wszystkim zdecydowanie wrogie otoczenie – w znacznej mierze uzasadniały decyzję o kapitulacji korpusu. Ratowała ona bowiem ludzi, którzy nie mieli odpowiedniej motywacji do walki na obcym sobie obszarze wiosną 1918 r., ale w przeważającej większości umocnili tę motywację lub wręcz zdobyli, kiedy znaleźli się w szeregach Wojska Polskiego w listopadzie tego samego roku i kiedy dano im możliwość obrony polskiej ziemi. Wkrótce i gen. Dowbor-Muśnicki skrzyżował szablę z Niemcami jako dowódca powstania wielkopolskiego, w znacznie korzystniejszych okolicznościach.

Sam zaś spór o decyzję generała został wkrótce zażegnany (jeżeli nie liczyć późniejszych polemik prasowych). Arbitrem okazał się Józef Piłsudski, który uważał, że powstanie niepodległej Polski musi przerwać tego typu konflikty. Niech słowa Naczelnika Państwa, które cytujemy za jakże cennymi pismami Ignacego Matuszewskiego, opublikowanymi niedawno ze wstępem i w opracowaniu Sławomira Cenckiewiczza, będą puentą rozstrzygającą racje skłóconych stron:

„[...] w końcu 1918 r. lub w styczniu 1919 zameldowaliśmy się, Lis i ja, w Belwederze u Komendanta, aby pozwolił nam ścigać sądownie gen. Dowbora, który uchylił był się od odpowiedzialności honorowej. I po dziś dzień słyszę zniecierpliwiony trochę głos Piłsudskiego, mówiący: »Nie, dzieci, nie«. Czyż nie możecie zrozumieć tego, że w dniu, w którym Polska rodzi się na nowo – muszą się skończyć wszystkie stare spory, grzechy, porachunki. Trzeba zacząć życie na nowo, jeżeli się nie chce go dusić ciężarem przeszłości. Wszyscy muszą wszystkim wszystko darować, jeśli chcemy, żeby to nic, czym jesteśmy, jeszcze rośło i nabierało siły. Zapewne nie potrafią. Ja muszę ten sam zrobić wysiłek. I ja go zrobię. A to już jest połowa tego, co trzeba. Ale moi oficerowie nie mogą mi przeszkadzać. Zabraniam wam wszelkich sądów, pojedynków, szlacheckich dochodzeń. Macie wszyscy zapomnieć o wszystkim, choćby to wam było trudno, choćby piekło do żywego. Idźcie, dzieci”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

Wywiad / Z Andrew Nagorskim, autorem książki



rozmawia Piotr Włoczyk

Scena z bitwy pod Moskwą na
obrazie Michaiła Ananiewicza
Anajewa FOT. ARCHIWUM

Pierwsza

PIOTR WŁOCZYK: Co uratowało Moskwę w 1941 r.?

ANDREW NAGORSKI: Jest taka symboliczna scena na dworcu w Moskwie z 18 października 1941 r. Dwa dni wcześniej w sowieckiej stolicy zaczęła się totalna panika. Jak na warunki komunistycznego państwa anarchia w stolicy była kompletnie niewyobrażalna. Wszystkie raporty mówiły, że Niemcy zaraz wkroczą do Moskwy i Stalin na własne oczy widział, jadąc w kolumnie aut, jak mieszkańcy stolicy wypowiadają mu posłuszeństwo, rabując wszystko, co się tylko dało. Nie mógł w to uwierzyć... Milicja i NKWD były w tych dniach kompletnie niewidoczne. Służby paliły już dokumenty, szykowały się do ucieczki. I właśnie wtedy, 18 października, Stalin miał wsiąść do pociągu, by uciec z upadającej Moskwy.

Co ciekawe, w lipcu 1941 r. z Moskwy wyjechał specjalnym pociągiem pierwszy przywódca ZSRS. Stalin wysłał mumię Lenina daleko od stolicy, by nic jej się przypadkiem nie stało w czasie bombardowań.

(Śmiech) Tak, a teraz stolicę miał opuścić drugi wódz ZSRS. Stalin był już na peronie, ale zamiast wejść prosto do pociągu, chodził wzdłuż niego w tę i w tę. W końcu zawrócił i wyszedł z dworca. Zrobił to wbrew całemu swojemu otoczeniu, które nalegało na niego, by wyjechał do Kujbyszewa, gdzie przenosił się sowiecki rząd. W ostatniej chwili Stalin zmienił decyzję i postanowił bronić Moskwy do upadłego. Nie sposób przecenić znaczenia tego symbolicznego gestu.

Kilka lat temu przeprowadziłem sporo wywiadów z mieszkańcami Moskwy, którzy pamiętali tamte czasy. Usłyszałem od nich, że decyzja Stalina o pozostaniu w Moskwie sprawiła, iż wszyscy odetchnęli: „Skoro nie uciekł, to znaczy, że obronimy Moskwę”. A przypomnę tylko, że bolszewicy byli już gotowi wysadzać najważniejsze budynki w mieście. Jeszcze na początku naszego stulecia w hotelu Moskwa znalezione zostały w piwnicy materiały wybuchowe, o których najwyraźniej zapomniano na ponad 60 lat. Wraz z decyzją o pozostaniu w stolicy, Stalin wprowadził w Moskwie stan wyjątkowy i wziął całe miasto za twarz. W jednej chwili skończyło się rozprężenie.

Niemieccy żołnierze polegli pod Moskwą FOT. ARCHIWUM



Scena na dworcu odegrała w tej historii tylko symboliczną rolę, bo przecież powstrzymanie Niemców było wypadkową kilku decyzji o znaczeniu strategicznym. Co wychodzi tu na pierwszy plan?

W szerszej perspektywie Moskwę uratowały przede wszystkim błędy Hitlera. Oczywiście na początku inwazji błędy Stalina były dużo większe, zaczynając od tego, że dał się w tak absurdalny sposób zaskoczyć.

Był moment, gdy wydawało się, że Niemcy wezmą Moskwę z marszu jeszcze latem 1941 r. Wtedy jednak Hitler nagle zdecydował, że najpierw trzeba uderzyć na Ukrainę i zdobyć Kijów. Niemieccy generałowie uważali, że był to olbrzymi błąd. W ten sposób Kijów uratował Moskwę. Potem, jak wiadomo, aura zrobiła

się wyjątkowo niekorzystna dla Wehrmachtu – błota zamieniły się w lód.

Dodatkowo pod koniec października Stalin mógł przerzucić setki tysięcy żołnierzy z Syberii do obrony Moskwy. Było to możliwe dzięki Richardowi Sorge, świetnemu sowieckiemu szpiegowi działającemu w Tokio, który upewnił sowieckie władze, że Japończycy nie uderzą w plecy ZSRS. To byli żołnierze gotowi na zimę. Widok tych wojsk był dużym ciosem dla żołnierzy Wehrmachtu, którzy i bez tego byli kompletnie wyczerpani, dochodząc do przedmieść Moskwy.

Spekulacje na temat tego, czy przeprowadzka Stalina do Kujbyszewa byłaby dla Moskwy zabójcza, czy nie, trwają od lat. Czy jednak rezultat bitwy o Moskwę był rzeczywiście absolutnie

kluczowy dla losów wojny niemiecko-sowieckiej?

Myślę, że Niemcy na dłuższą metę i tak przegraliby wojnę. Ogrom zaatakowanego przez nich kraju, przewaga ZSRS w ludziach, materiałach wojennych, sprzęcie – to wszystko musiało ich ostatecznie przygnieść. Jeżeli jednak Moskwa wpadłaby w ręce Niemców, to wojna trwałaby po prostu jeszcze dłużej, byłoby jeszcze więcej ofiar, ale chyba trudno byłoby oczekiwać innego rezultatu.

Gdy Niemcy podchodzili pod sowiecką stolicę, Churchill miał powiedzieć do Williama Harrimana, bliskiego współpracownika Roosevelta: „Zmodyfikowany plan Hitlera obecnie brzmi: Polska w trzydziestym dziewiątym, Francja w czterdziestym, Rosja w czterdziestym pierwszym, Anglia w czterdziestym drugim, a w czterdziestym trzecim zapewne Ameryka”.

Na ile było to zagrożenie Ameryki do wejścia do wojny, a na ile Brytyjczycy faktycznie obawiali się, że Hitler za chwilę obali ZSRS i zajmie Wyspy?

Churchill mówił to oczywiście świadomie, żeby zmobilizować sojusznika, ale brytyjskie elity mniej więcej w ten sposób oceniały sytuację. Na początku 1941 r. w Londynie bali się, że Niemcy wrócą do pomysłu inwazji na Wielką Brytanię. Churchill wspominał nawet o konieczności utworzenia rządu na emigracji, być może w Kanadzie...

Na początku „Barbarossy” na Zachodzie powszechna była opinia, że ZSRS padnie. Bardzo niewielu zachodnich komentatorów obstawiało, że Sowietów się obroni. Sytuacja z perspektywy Londynu była po prostu katastrofalna.

Gdyby zrobić na ulicy sondę wśród ludzi minimalnie choćby interesujących się historią, to myślę, że usłyszeliśmyby, iż Niemcy tak naprawdę przegrali wojnę na początku 1943 r. pod Stalingradem. Pan jednak przekonuje, że zdarzyło się to już dwa lata wcześniej, kiedy Niemcy – wydawało się – byli u szczytu potęgi.

Niemcy przegrali wojnę w 1941 r. Rozłożyli to jednak na dwie raty. Najpierw, kiedy zaatakowali ZSRS, a potem, pod koniec roku, kiedy wypowiedzieli wojnę USA. Większość ludzi słyszała o Stalingradzie, ale już bitwę o Moskwę mało kto kojarzy. Mimo że była dwa razy większa, jeżeli chodzi o zaangażowane wojska, i bardziej krwawa. Trwała w zasadzie od końca września 1941 do kwietnia 1942 r.



W sumie 7 mln żołnierzy brało udział w tej operacji, a straty wynosiły 2,5 mln żołnierzy!

To jednak Stalingrad stał się symbolem.

Stało się tak dlatego, ponieważ bitwa o Moskwę pokazała porażki Stalina. Jej pierwsza część to jedna porażka Stalina za drugą. W początkowej fazie żołnierze sowieccy poddawali się masowo, ponieważ myśleli, że los walk o stolicę ich kraju jest już przesądzony. Myśleli, że dzięki temu przeżyją. W Stalingradzie zwycięstwo było zdecydowane, można to było pokazać z dumą. I dlatego propaganda sowiecka eksponowała dużo bardziej walki o Stalingrad niż o Moskwę.

Gdzie Hitler popełnił wtedy największy błąd?

Taktycznym błędem było zignorowanie rad generałów, by iść prosto na Moskwę. Uparł się, że musi najpierw zdobyć Ukrainę. Dużo większym błędem było jednak zaprowadzenie od razu całkowitego terroru. Nie przypadkiem przecież

mieszkańcy Ukrainy i Białorusi witali Niemców niemal chlebem i solą. Przeważnie nie mieli pojęcia, kim jest Hitler, co dokładnie przedstawiała ideologia narodowosocjalistyczna, ale widzieli po prostu w Niemcach kogoś, kto wyłamuje kraty z ich więzienia.

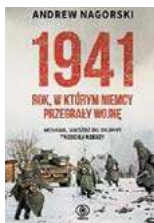
Po terrorze stalinowskim wydawało im się, że ktokolwiek przyjdzie po Stalina, ich życie będzie lepsze. Gdyby Hitler kazał swoim żołnierzom zachowywać się po prostu normalnie, Stalin mógł się znaleźć w potwornych tarapatach. Tymczasem Niemcy od początku rozpoczęli masowe mordy „podludzi” i jeszcze przed inwazją opracowali plan zagłodzenia Rosji. III Rzesza miała się wyżywić kosztem ludów zamieszkujących ZSRS. To byłby głód na niespotykaną skalę. Mieszkańcy Sowietów szybko zorientowali się, że poddanie się Niemcom było równoznaczne z samobójstwem.

Innym problemem – z punktu widzenia skuteczności niemieckiej maszyny wojennej – był chyba „Kommissarbefehl”, czyli „Rozkaz o komisarzach”?

Mieli oni być zabijani na miejscu. Pomyślmy chwilę: jeżeli jesteś komisarzem politycznym w oddziale i wiesz, że w przypadku wzięcia do niewoli zostaniesz od razu zamordowany, to chyba zrobisz wszystko, żeby zmobilizować swoich żołnierzy do walki do upadłego. Przecież i tak nie masz już nic do stracenia.

Od razu wraz z żołnierzami Wehrmachtu na teren ZSRS weszły Einsatzgruppen. Mordowały one już w Polsce, ale nie na taką skalę. O ile w Polsce członkowie Einsatzgruppen zabijali raczej elitę i Żydów, o tyle w ZSRS rozpęтали prawdziwe piekło na masową skalę. Jest to nazywane czasem „Holokaustem od kul”. Obojętne, jaki stosunek miała ludność miejscowa do Żydów – stosy trupów robiły wrażenie i pokazywały, z jakim „wyzwoleniem” przychodzą Niemcy.

Pamiętajmy też, że lotem błyskawicy rozchodziły się wśród żołnierzy Armii Czerwonej wiadomości o głodzeniu na śmierć jeńców sowieckich. Niemcy po prostu zbierali na polu pojmanych żołnierzy, otaczali ich drutem kolczastym, stawiali strażników i czekali... W ten oto sposób szaleńczy fanatyzm zgubił Niemców. Abstrahując od kwestii moralnych, ■



ANDREW NAGORSKI
„1941. ROK, W KTÓRYM
NIEMCY PRZEGRAŁY WOJNĘ”

REBIS

■ z punktu widzenia politycznej skuteczności wszystkie te posunięcia Hitlera były po prostu absurdalne.

Podpisałby się pan pod tezę, że bolszewizm można było obalić tylko z wydatną pomocą ludności ZSRS?

Nie do końca. Myślę, że nawet gdyby Niemcy zachowywali się „normalnie”, to bardzo trudno byłoby im wygrać wojnę z ZSRS. Na pewno mieliby na to większe szanse, ale przecież w Rosji jest długa tradycja obrony ojczyzny za wszelką cenę. Myślę, że znalazłoby się wystarczająco wielu, którzy chcieliby walczyć za Stalina. Przedstawianie alternatywnej wersji historii jest tu jednak o tyle mało sensowne, że terror towarzyszący „Barbarosie” był po prostu nieunikniony. Taki po prostu był narodowy socjalizm. Krótko mówiąc, Hitler musiałby przestać być Hitlerem, żeby Niemcy zachowywali się w czasie wojny z ZSRS „normalnie”.

Dorothy Thompson, amerykańska dziennikarka, która przeprowadziła wywiad z Hitlerem, już w 1931 r. napisała, że bez antysemityzmu, supremacji „rasy aryjskiej” nie ma ideologii nazistowskiej. Miała tu dużo racji. Dlatego wojna z ZSRS po prostu nie mogła wyglądać inaczej.

Cofnijmy się do czerwca 1941 r. Jak wytłumaczyć to, że Stalin zamykał oczy na wszystkie sygnały świadczące o tym, iż Niemcy za moment uderzą? Ostatni pociąg z materiałami wojennymi dla III Rzeszy wyjechał niemal równolegle z przekroczeniem granicy przez Wehrmacht...

Mało tego. Tuż przed inwazją na stronę sowiecką przeszło kilku dezertów, którzy alarmowali, że Niemcy za moment ruszą. Stalin kazał nawet jednego z nich... rozstrzelać. Nie da się utrzymać w tajemnicy zgrupowania 3 mln żołnierzy wzdłuż granicy. Od wielu tygodni dochodziło regularnie do naruszania przez Luftwaffe sowieckiej przestrzeni powietrznej, co nie spotykało się właściwie z żadną reakcją. Dlatego w niektórych miejscach frontu pierwszego dnia wojny sowieccy dowódcy zakazywali strzelać swoim żołnierzom nawet w obliczu oczywistej inwazji. Tyle razy powtarzano im, że mają nie reagować na „niemieckie prowokacje”, że w końcu nie wiedzieli, co robić.



Obrona przeciwlotnicza Moskwy FOT. WIKIPEDIA

„Niespodziewany” atak Niemców pokazuje sposób, w jaki Stalin działał. „Jeżeli wszyscy mnie ostrzegają – Amerykanie, Brytyjczycy, a nawet moi szpiedzy – to znaczy, że to musi być spisek. Staraj się mnie wciągnąć do wojny”. Stalin wiedział zapewne, że ten pakt jest nie do utrzymania na dłuższą metę, ale jego Armia Czerwona nie była gotowa do wojny. Robił więc wszystko, byleby tylko nie dać Hitlerowi powodu do ataku.

Jest jeszcze druga opowieść o „Barbarosie”, którą nagłośnił Wiktor Suworow. Według

niego wszystko wskazuje na to, że Hitler swoim atakiem nieznacznie ubiegł Stalina. Gdyby Niemcy poczekali jeszcze chwilę, Armia Czerwona runęłaby na Europę.

To bardzo efektowna teza, ale nie ma na to przekonujących dowodów. Wszystkie poważne źródła pokazują natomiast, że Stalin nie planował wtedy ataku na Europę, tylko sam bał się, żeby to jego Hitler nie zaatakował.

Stalin był przerażony potęgą Hitlera?

Zajęcie Francji było szokiem dla Kremla... Stalin poważnie osłabił swoją





W 1941 r. Ameryka znacznie wzmocniła wsparcie dla Wielkiej Brytanii. W amerykańskim społeczeństwie panował jednak sceptycyzm wobec przystępowania do wojny, ponieważ Ameryka weszła do pierwszej wojny światowej pod hasłem zrobienia porządku w Europie, który będzie gwarantował, że nie będzie już tam wojny. Tymczasem 20 lat później wybuchł na tym kontynencie kolejny konflikt... Coraz więcej ludzi rozumiało jednak, co oznaczała dominacja III Rzeszy w Europie. Podczas bliznu Wielka Brytania cieszyła się wielką sympatią. Roosevelt poważnie brał nastroje sporej części opinii publicznej, która nie paliła się do wojny, dlatego nie chciał do niej przeć za wszelką cenę. Wiedział jednak, że wojna z Niemcami jest w dłuższej perspektywie nieunikniona. Tymczasem już cztery dni po Pearl Harbor Hitler wypowiada wojnę Ameryce!

Czy to nie jest jeden z najbardziej spektakularnych aktów szaleństwa w historii stosunków międzynarodowych?

Tak, patrząc na to zupełnie trzeźwo, to był akt szaleństwa. Jednakże kompletnym wariactwem – patrząc na to czysto racjonalnie – było też uderzenie na ZSRS. Hitler był jednak hazardzistą. Wygrał Polskę, potem Francję i wszystko postawił na jedną kartę. Zawsze miał ambicję, by opanować wschód, ale przede wszystkim chciał pokonać Wielką Brytanię. Wiedział, że Londyn trzyma w oporze, mając nadzieję, że ZSRS wejdzie do wojny. Hitler chciał odebrać tę nadzieję Churchillowi. Jednak wiedział, że Wielka Brytania jest zależna od pomocy gospodarczej USA. Kiedy więc Japonia zaatakowała Amerykę, pomyślał, że to wspaniała nowina. Miał nadzieję, że USA będą całkowicie zajęte Pacyfikiem i nie będą miały siły na walkę na Atlantyku.

Nie rozumiał, jak prężnym krajem była Ameryka?

On zawsze gardził Ameryką i Amerykanami. Uważał to społeczeństwo za mieszaninę ras niezdolną do pracy i do walki.

Jaki z tego wniosek? Warto podróżować?

Chyba tak (śmiech). Hitler uważał, że zjadł wszystkie mądrości, choć praktycznie w ogóle nie widział świata. Najdalej wybrał się chyba tylko do Francji po podboju tego kraju. Jego współpracowni-

cy próbowali go przekonać, że potencjał Ameryki jest olbrzymi, ale on nie przyjmował tego do wiadomości.

Teraz to rozumią. Z tej perspektywy wypowiedzenie wojny Ameryce było fantastycznym pomysłem.

Tak, Hitler przekonał siebie samego, że atak na ZSRS to superinicjatywa, tak samo jak wypowiedzenie wojny USA. Churchill jednak wiedział, że z Ameryką uwikłaną w wojnę na dłuższą metę nie ma możliwości, by Hitler wygrał. Nowy sojusz brytyjsko-sowiecko-amerykański przeważał nad Ośią 3:1 w liczbie ludności, a gospodarczo 2:1. Matematyki nie da się oszukać.

Niemieccy generałowie nie stawiali Hitlerowi desperackiego oporu w kwestii rzucenia rękawicy USA?

To ciekawa sprawa. Na pewno nie byli zachwyceni, ale pamiętajmy, że to był wciąż dopiero 1941 r. Do tego czasu prawie wszystko Hitlerowi wychodziło. Kiedy w 1938 r. planował zajęcie Czechosłowacji, opór w armii faktycznie był bardzo silny. Kiedy jednak Anglicy i Francuzi ugięli się i appeasement niespodziewanie zadziałał, opozycja wewnętrzna w Niemczech bardzo osłabła. „Skoro dostajemy wszystko bez wysiłku, to może jest w tym metoda?”. Potem przyszły sukcesy w Polsce i we Francji. Generał Erich von Manstein powiedział, że nawet ci, którzy byli sceptyczni, musieli wobec faktów uznać, że Hitler chyba wie, co robi, a oni wszyscy najwidoczniej nie do końca rozumieją, jak działa rzeczywistość. Wraz z 1941 r. ta wiara się skończyła, ponieważ obłąkańcza polityka Hitlera przyniosła swoje opłakane – dla III Rzeszy – efekty.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

armię czystkami, co dało o sobie znać w trakcie ataku na Finlandię. Mógł sobie niemal na bieżąco porównywać osiągnięcia Armii Czerwonej w fińskich lasach i skuteczność Wehrmachtu we Francji... To nie wyglądało najlepiej z jego perspektywy. Dlatego czuł się – delikatnie rzecz ujmując – bardzo niepewnie.

Jego relacja z Hitlerem była nad wyraz skomplikowana. Stalin i Hitler byli zafascynowani sobą nawzajem. Sowiecki dyktator był pełen podziwu za przeprowadzenie przez nazistów nocy długich nocy, natomiast Hitler mawiał, że powinien być zrobić z dowództwem Wehrmachtu to samo, co Stalin zrobił w czasie czystek z Armią Czerwoną. Córka Stalina przywołała w swoich wspomnieniach słowa ojca wypowiedziane już po wojnie – „Gdybyśmy się razem trzymali, to opanowalibyśmy cały świat”. To był przedziwny „związek” z problemami (śmiech).

Pod koniec 1941 r. Hitler jedną, kompletnie niepotrzebną, decyzją wpędził się w potężne kłopoty. Dlaczego III Rzesza wypowiedziała wojnę Ameryce?



Andrew Nagorski

jest amerykańskim dziennikarzem i pisarzem, wieloletnim korespondentem amerykańskiego tygodnika „Newsweek” m.in. w Warszawie, Berlinie i Moskwie. W Polsce ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „1941. Rok, w którym Niemcy przegrali wojnę”.



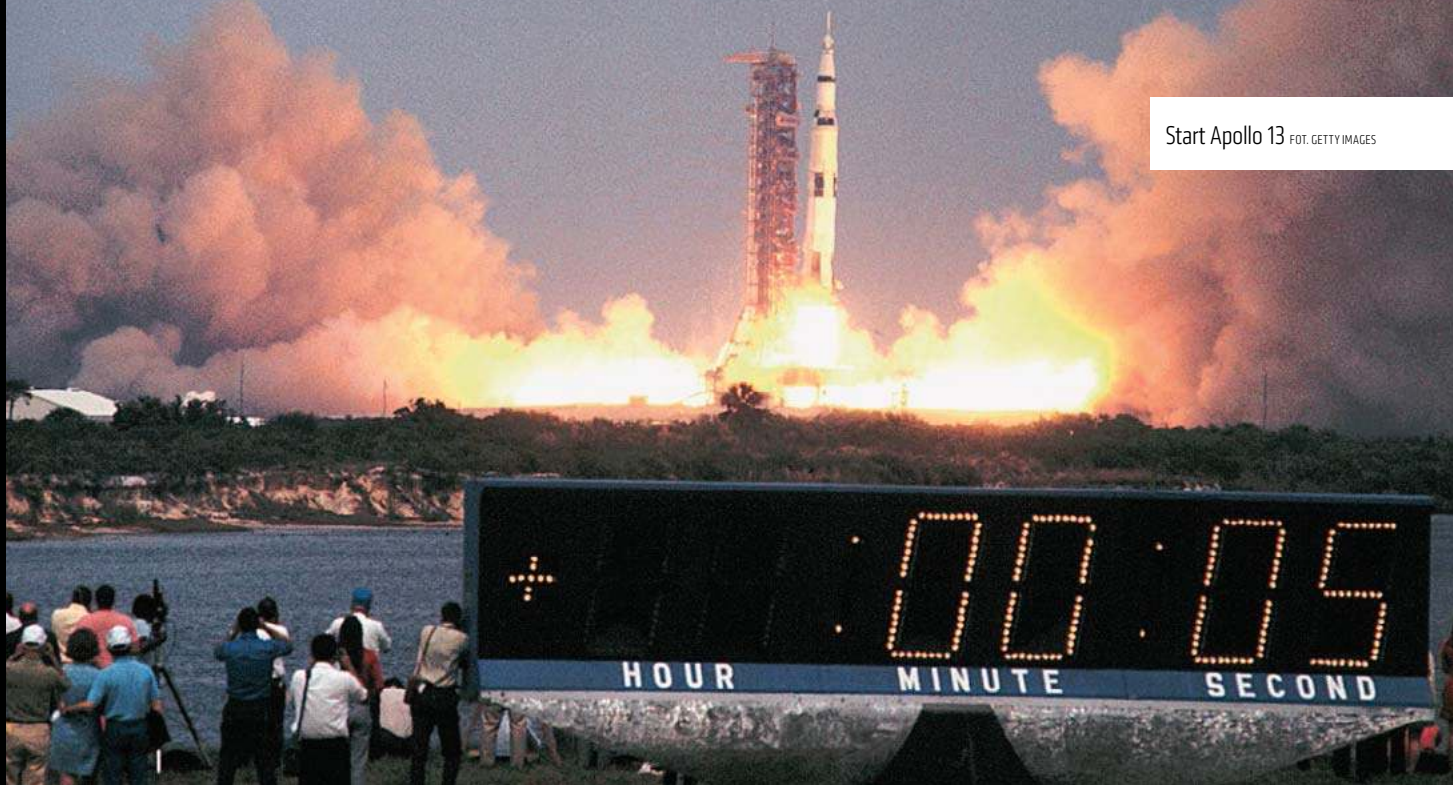
Jakub Ostromecki

Kosmiczna podróż skończyła się katastrofą już w czasie lotu w kierunku Księżyca. Twórcy filmu wiernie odtworzyli dramat amerykańskiej załogi

Kadr z filmu „Apollo 13” FOT. GETTY IMAGES

Prawda czasu, prawda ekranu / „Apollo 13” w reżyserii Rona Howarda

Apollo 13



Pod kątem wierności faktom historycznym „Apollo 13” w reżyserii Rona Howarda jest filmem mistrzowskim. Wkrótce po premierze James Lovell, dowódca statku kosmicznego, w wywiadzie dla „The New York Times” stwierdził: „Film jest naprawdę niesamowity. Wszystko: panele kontrolne, konsole, manetki. To wszystko wygląda tak jak wtedy w środku”. Odniesienia do filmowych wariacji na temat misji zostały opisane w książce „Apollo 13. Utracony Księżyc” napisanej przy współudziale Jamesa Lovella.

Film w pełen hollywoodzkiego rozmachu sposób, a zarazem dość rzetelnie, prezentuje najważniejsze etapy i charakterystyczne momenty misji. Widzimy zatem kawały lodu odpadające od powierzchni startującej rakiety i mające statycznie odchylające się wysięgniki wieży startowej. Potem, w przestrzeni kosmicznej, odrzucanie pozbawionych już paliwa członów statku aż do momentu, w którym z gigantycznej rakiety zostaną jedynie walcowaty moduł serwisowy iłączony z nim mały stożek modułu dowodzenia, przypominające razem zaostrzony silos na paszę. Statek wykonuje skomplikowany manewr w kosmicznej próżni. Musi obrócić się o 180 stopni, połączyć z lądownikiem

księżycowym i wyciągnąć go z odrzucanego uprzednio trzeciego członu rakiety.

Awaria

Wszystko do tej chwili przebiega zgodnie z planem. Centrum Kontroli Misji w Houston każe wówczas Johnowi Swigertowi włączyć mieszacz zbiorników z tlenem. Niespodziewana eksplozja uszkadza moduł serwisowy, a przez iluminator kosmonauci widzą ulatniający się tlen ze zbiorników. Uszkodzony jest też napęd statku. To wtedy pada słynne zdanie: „Houston, mamy problem”, jedno z bardziej znanych w całej historii Hollywood.

W rzeczywistości załoga Apolla 13 w momencie eksplozji zbiornika z tlenem nie była świadoma powagi sytuacji, Lovell zakomunikował więc: „Houston, mieliśmy tutaj problem”. Podobną sławę zyskały słowa kierownika kontroli misji Gene’ Kranza motywującego swoich podwładnych: „Porażka nie wchodzi w grę (Failure is not an option)!”. W rzeczywistości Kranz wypowiedział je w nieco innym kontekście, wiele lat później, w wywiadzie z autorami przygotowującymi scenariusz. Jeden z nich, usłyszawszy ową frazę, wybiegł podniecony z domu inżyniera, mając go-

tową jedną ze słynniejszych filmowych wypowiedzi.

W filmie szybko okazuje się, że o lądowaniu na Księżycu można zapomnieć. Chodzi teraz o bezpieczny powrót kosmonautów na Ziemię. Nie można zwyczajnie zawrócić – wszyscy zgodnie przyznają, że z racji uszkodzeń odpalanie silnika głównego w module serwisowym byłoby skrajnie niebezpieczne. Trzeba zatem lecieć ku Srebrnemu Globowi i – wykorzystując siły grawitacji – wrócić na Ziemię. Jedynym elementem statku, który będzie mógł wejść w atmosferę, jest jednak mały stożkowaty moduł dowodzenia, a w nim zaczyna brakować energii – trzeba wyłączyć wszystkie urządzenia aż do momentu, gdy Ziemia będzie naprawdę blisko. Kosmonauci przechodzą zatem do lądownika księżycowego, traktując go jako kapsułę przetrwania.

Owa maszyna przystosowana jest jednak dla dwóch kosmonautów na dwa dni, nie zaś dla trzech na cztery dni. Zaczyna brakować w niej powietrza, a z racji konieczności oszczędzania energii trzeba wyłączyć również ogrzewanie wnętrza maszyny. Temperatura gwałtownie spada, a Fred Haise na domiar złego dostaje gorączki. Na Ziemi kontrolerzy misji nerwowo zastanawiają się, jak zaadaptować pochłaniacze CO₂ do nowych warunków. Thomas

Mattingly „Ken”, który w ostatnim momencie został wykluczony z lotu z powodu zagrożenia zarażenia się różyczką, okazuje się niezastąpiony. Tylko on z pomocą grupki inżynierów jest w stanie wymyślić procedurę ponownego włączenia urządzeń modułu dowodzenia tak, aby nie spowodować utraty energii i wejść pod odpowiednim kątem w atmosferę. Kasowe dzieło musi mieć happy end, tym bardziej wiarygodny, że zdarzył się też w rzeczywistości – wyczerpana załoga zostaje wyłowiona z Pacyfiku przez helikoptery z lotniskowca „Iwo Jima”.

Ron Howard wiedział, że w scenariuszu i dialogach będzie musiało roić się od określeń ze skomplikowanej terminologii fizycznej. Jednakże chcąc zrobić film kasowy, nie mógł z nią przesadzić – inaczej z komercyjnego dzieła wyszedłby dokument zrozumiały jedynie dla garstki maniaków lotów kosmicznych. Stąd sporo tu kompresji czasowych. Procedury trwające normalnie całymi tygodniami tu odbywają się z dnia na dzień. Inaczej widz usnąłby w kinie z nudy.

Konieczne było również uduktowanie wydarzeń, tak aby tajniki lotu w Kosmos wydały się widzowi czymś fascynującym i zarazem łatwym do zrozumienia. Nie możemy się zatem dziwić, że w filmie znakomicie wykształceni kontrolerzy lotu, z wieloletnią praktyką, podnieconymi głosami łopatologicznie tłumaczą sobie nawzajem prawa, które w prawdziwym świecie są dla nich absolutnie oczywiste i banalne. W centrum kontroli lotów w Houston panuje olbrzymie napięcie, słychać klótnie, krzyki, ktoś kopie z wściekłości w metalową szafkę. Do podobnej klótni dochodzi na pokładzie Apollo 13. Bez tych fikcyjnych elementów film nie osiągnąłby jednak sukcesu.

W rzeczywistości interakcje między uczestnikami misji oraz między kontrolerami były dużo spokojniejsze. Mattingly w wywiadzie umieszczonym na stronie Centrum Kosmicznego w Houston wspomina sytuację panującą na Ziemi: „Obserwowałem to zamieszanie i niepokój i to był chyba jedyny raz w całej historii NASA, gdy w centrum kontroli wybuchło coś takiego”. Dodaje jednak: „To było zamieszanie – ale nie chaos”. Kierownik zespołu kontrolerów Gene Kranz nigdy nie pozwolił sobie na

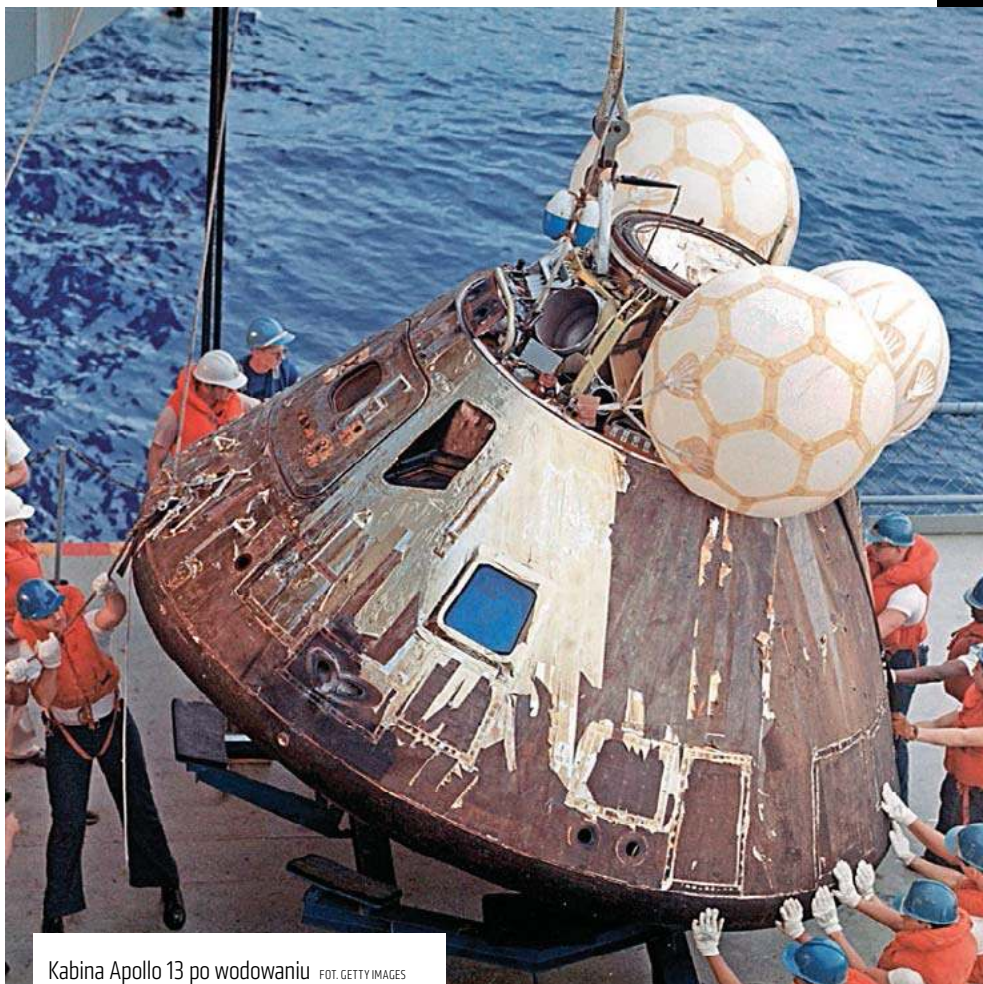
krzyczenie na podwładnych ani kopanie w meble.

Procedury i scenariusz

Howard, najprawdopodobniej nie chcąc zarzucać widzów kolejnymi kwestiami naukowymi, nie wyjaśnił, dlaczego próbujący przetrwać w lądowniku księżycowym astronauta nie

trzeba było na bieżąco zapisywać, co w skafandrze byłoby trudne.

Sceny, w których Houston podpowiada załodze Apollo 13, jak przeżyć podróż powrotną na Ziemię, są również uduktowane. Użycie lądownika księżycowego jako szalupy ratunkowej nie było pomysłem stworzonym ad hoc. Mattingly zaznacza: „Gdzieś na etapie wczesnych symulacji lotu nadarzyła się okazja do przećwiczenia czegoś, co zwało się »szalupa LM«. [...] Pamiętam jak przez mgłę, że było to dość ekscytujące



Kabina Apollo 13 po wodowaniu FOT. GETTY IMAGES

założyli skafandrów kosmicznych, aby chronić się przed niską temperaturą. Przebywając w nich w statku kosmicznym, człowiek pocił się bardzo szybko. To w połączeniu z otaczającym zimnem byłoby zabójcze dla zdrowia astronautów. Pamiętajmy, że Haise już miał gorączkę. Dodatkowo w czasie zbliżania się do Ziemi Centrum Kontroli Misji podawało szczegółowe instrukcje, które

ćwiczenie i każdy mógł potem przypomnieć sobie jego główne założenia”.

Mattingly dodaje: „Film stwarza wrażenie, że myślimy wówczas wymyślnie na bieżąco wszystkie rozwiązania. Tymczasem wszystkie działania, jakie wówczas przeprowadziliśmy, były już gdzieś poprzednio ćwiczone”. „[...] do stymulatora weszli Stafford, Engle i chyba Roosa. Daliśmy im te olbrzymie

■ wydruki procedur i kazaliśmy je przepracować tak, aby w Kosmosie mógł powtórzyć je James Lovell. Mieli sprawdzić przede wszystkim, czy mogą nastąpić jakieś niejasności w terminologii”.

W podobny sposób na wiele miesięcy przed lotem przeciwiczo no procedurę w razie uszkodzenia filtrów dwutlenku węgla. Mattingly wyjaśnia: „Wyjście z tego problemu polegało na tym, że trzeba było okleić kanistry z wodorotlenkiem litu fragmentami torebek plastikowych, a następnie zasysać do nich powietrze odkurzaczem. Po awarii w kontroli lotów ktoś szybko odezwał się: »Hej, pamiętacie, jak ćwiczyliśmy to w czasie symulacji? Kto to wtedy wymyślił?«. Bardzo szybko pojawił się autor wynalazku i poszło jak po maśle”.

Mattingly wspomina również dość nudne i rutynowe fragmenty przygotowań do lotu: „Istotą lotu było to, że pilot modułu dowodzenia miał swój trening, a załoga księżycowa zajmowała się swoimi sprawami. Spotykaliśmy się tylko na śniadaniu i obiedzie lub w przerwach między ćwiczeniami na symulatorze”. Dodajmy, że cały trening trwał około roku. Astronauta wskazywał też na nudzącą rutynę symulacji startu. „Dla załogi nie jest to zbyt podniecające ćwiczenie. Polega na leżeniu godzinami w niewygodnej pozycji i gapieniu się, jak farba schnie”.

Howard puścił wodze fantazji w kilku kwestach związanych z przemieszczaniem się statku w przestrzeni kosmicznej. Apollo 13, okrążając Księżyc, traci łączność z Ziemią i jednocześnie wkracza w strefę księżycowego cienia. Owa artystyczna wizja sugeruje, jakoby dalsza strona Księżyca była zarazem stroną wieczną pograżoną w ciemności. Tak oczywiście nie jest – podczas nowiu zaciéniona jest ta bliższa nam strona. W czasie misji Apollo 13 wszedł w strefę księżycowego cienia, zanim znalazł się po dalszej stronie Księżyca.

Gdy statek zbliża się z powrotem do ziemskiej orbity, okazuje się, że kąt wejścia w atmosferę jest za mały. Obsługa naziemna tłumaczy to tym, że wszystkie obliczenia toru lotu uwzględniały kilogramy skał, które kosmonauci mieli zabrać z Księżyca. Waga nie grała tu jednak żadnej roli – statek poruszał



Tom Hanks w filmie „Apollo 13” FOT. BBC

się przecież w próżni. Kłopotem był lądownik księżycowy, który według oryginalnych planów powinien pozostać daleko na orbicie Księżyca, a będąc teraz złączony z modułem dowodzenia, emitował pewną ilość pary wodnej, co wpływało na kąt wejścia w atmosferę.

Temperatura w lądowniku księżycowym, w którym schroniła się załoga, była niska i rzeczywiście bardzo dawała się we znaki astronautom, ale nie spadała poniżej zera. Naprawde wynosiła ona minimalnie ok. 4 st. C, tak więc widok zamarzającej parówki bujającej się w stanie nieważkości jest reżyserską fantazją. Jednakże w opuszczonym module dowodzenia na ścianach metalowych przyrządów rzeczywiście osadzał się szron. Temperatura podniosła się nieznacznie po powrocie astronautów do owego modułu i wzrosła bardzo po wejściu w atmosferę. Lovell wspominał nawet, że przez chwilę padał na jego głowę prawdziwy deszcz z gwałtownie topniejącego szronu i lodu.

Zbawca „Ken”

W filmie kluczową rolę w uratowaniu astronautów Apolla 13 odgrywa Thomas Mattingly „Ken”. Uziemiony astronauta spędza długie godziny w symulatorze, próbując opracować sposób obudzenia do życia modułu dowodzenia. W rzeczywistości nie odegrał on aż tak istotnej roli w całej akcji. Był oczywiście obecny w Centrum Kontroli Misji

w Houston, ale pracował w wielu podzespołach naraz jako jeden z członków, nie zaś jako niezastąpiony specjalista od pilotowania modułu.

James Lovell wspominał: „Pod koniec filmu wychodzi na to, że »Ken« Mattingly jest osobą, która sprowadziła nas bezpiecznie do domu dzięki temu, że tylko on wiedział, jak uruchomić urządzenia elektryczne. To nie było do końca tak. Pracowało nad tym czterech znakomitych inżynierów plus »Ken«, który wykonywał ich polecenia”.

Sam zainteresowany dodaje aż nadto skromnie: „Nie miałem tam nic do roboty, żadnego przydziału, nie mówiąc już o kierowaniu tym przedsięwzięciem. Czułem się jak piąte koło u wozu. Dostałem

obrotowy fotel, o którym mógłbyś tylko pomarzyć. Miałem prawo wchodzenia, gdzie chcę, przysłuchiwania się i kibicowania”. I dalej: „Wbrew temu, co mówi film, nie rozwiązywaliśmy problemów, siedząc w symulatorze. To był tylko dobry sposób na sprzedanie naszej historii szerszej publiczności”.

Tylko w jednej scenie rzeczywistość okazała się bardziej wartka od filmu. Chodzi o sytuację, w której Mattingly dowiadyuje się o tym, iż z powodu zagrożenia różyczką nie polecą w Kosmos. Astronauta wspomina: „Dwa dni przed startem jadę sobie samochodem, włączam radio, a tutaj przerywają audycję wiadomością, że tego popołudnia NASA ogłosiła, iż zmieniła mnie na Jacka Swigerta. Zjechałem gwałtownie na pobocze i siedziałem tak przez chwilę. Jeśli to miałby być psikus, to całkiem niezły, ale nie pomyślałem, że to jednak żart”.

Wówczas przełożony Mattingly'ego, również astronauta, Deke Slayton, odpowiadający za rekrutację załóg, poradził Kevinowi, aby polecał swoim samolotem do Centrum Kontroli Misji w Houston i stamtąd śledził wojaże swoich kolegów. To tam wykluczony astronauta dowiedział się o wybuchu zbiorników z tlenem. „Dość szybko pozbyłem się mojej wrogości wobec lekarzy. Okazało się, że wyświadczyli mi przysługę (śmiech)”. Nie było zatem sytuacji, w której Kevin topi frustrację w piwie przed telewizorem, wyłączając go akurat na sekundę przed tym, jak podano informację o wypadku na Apollu 13.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Leszek Lubicki

W naszej historii Konrad Mazowiecki znany jest przede wszystkim ze sprowadzenia Krzyżaków. Współcześni kojarzyli go jednak głównie z dwoma wyjątkowo podłymi czynami

Dwa wydarzenia potwierdzają, że książę Konrad Mazowiecki był – jak określił go XIX-wieczny historyk Józef Szujski – człowiekiem „znanym z płochości i nikczemności umysłu”. Co prawda wielu piastowskich książąt wykazywało cechy „nikczemności umysłu” i Konrad zbyt się od nich nie różnił, był prawie typowym księciem dla epoki średniowiecza, jednak owe dwa czyny zasługują na wyjątkowe potępienie i o tym będzie traktował ten szkic. Obydwa wydarzenia zostały uwiecznione na obrazach przez polskich malarzy historycznych. Niestety, dzieł tych w oryginałach nie obejrzymy, uważa się je bowiem za zaginione, ale znamy je z reprodukcji prezentowanych w polskich XIX-wiecznych czasopismach.

Porwanie Henryka Brodatego

W 1874 r. obraz pędzla Adriana Głębockiego został wystawiony w konkursie zorganizowanym przez warszawskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Otrzymał wówczas pierwszą nagrodę. W tym samym roku został reprodukowany przez czasopismo „Kłosy”. Jakie były dalsze losy tego dzieła, nie udało mi się ustalić. Ciekawostką natomiast jest, że na konkurs przesłano dwa obrazy odwołujące się do tego samego wydarzenia historycznego z czasów Piastów (drugi obraz – o bardzo podobnym tytule:



Konrad Mazowiecki na rysunku Jana Matejki FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

XIII w. / Historia ukryta w obrazie

Konrad terrorysta

■ „Św. Jadwiga godzi Konrada Mazowieckiego z Henrykiem Brodatym Szląskim” – przesłał Feliks Sypniewski).

O obrazie Głębockiego pisał krytyk „Tygodnika Ilustrowanego”: „Obraz ten, odznaczający się prostotą i poważnym podjęciem przedmiotu historycznego, podany na konkurs [...], uznany został przez sędziów za najlepszy i otrzymał pierwszą nagrodę, która mu się też, ze względu na istotne jego zalety, słusznie należała”.

Jakiż to „przedmiot historyczny” uwiecznił artysta? Żeby dokładnie wszystko wyjaśnić, musimy zacząć od początku, a właściwie od końca... życia księcia princepsa Leszka Białego (jego skrytobójczą śmierć opisałem w „HDR” nr 7/2019). W czasie tego zajścia Henryk Brodaty został ciężko ranny. Był na tym zjeździe Piastów w Gąsawie także brat Leszka, Konrad Mazowiecki. Jemu się nic dziwnym zbiegiem okoliczności nie stało.

Po zabójstwie brata zamiast starym prawem rodowym pomścić jego śmierć, od razu rzucił się w wir walk, by przejąć spadek po zamordowanym. Chociaż był rodzonym bratem Leszka Białego, to poważnych kandydatów do objęcia krakowskiego stolca było jeszcze dwóch: Władysław Laskonogi, gdyż wcześniej z Leszkiem zawarli układ o wzajemnym dziedziczeniu, a także książę śląski Henryk Brodaty. Działo się tak wówczas dlatego, że – jak twierdzi prof. Wiszewski – „w rodzie Piastów prawo dziedziczenia nie zostało skodyfikowane. Władza była przyrodzona, co oznaczało tylko tyle, że każdy z rodu miał do niej prawo. [...] Piastowie byli panami naturalnymi, nikt nie kwestionował ich praw do tronu, ale już konkretnego przedstawiciela można było wybierać. Albo odrzucić”.

Kończy się rok 1227 i kraj pogrąża się w chaosie. Konrad bardzo chciał przejąć opiekę nad wdową, bratową Grzymisławą i bratankiem Bolesławem (późniejszym Wstydlwym). Był ich najbliższym krewnym wśród Piastów. Panowie małopolscy odrzucili jednak Konrada, obawiając się jego gwałtowności, a obrali księcia wielkopolskiego Władysława Laskonogiego. Grzymisława musiała

tę decyzję uszanować. Wyznaczono jej i synowi dzielnicę sandomierską i tam osiadła. Jednak gdy w Wielkopolsce za sprawą Władysława Odonica wybuchł bunt, Laskonogi natychmiast musiał zająć się swoją dzielnicą. Przekazał Kraków księdzu wrocławskiemu Henrykowi Brodatemu.

Konrad jednak nie odpuścił. Zebrał rycerstwo mazowieckie i ruszył zbrojnie na Małopolskę. I tu się przeliczył, bo Brodaty był na to przygotowany. Rozgromił go w bitwie pod Skałą. Władca Mazowsza wrócił pokonany do siebie, ale knuł dalej. Na początku 1229 r. Brodaty uczestniczył w zjeździe rycerstwa małopolskiego w Spytkowicach. Podczas mszy świętej do kościoła niespodziewanie wpada banda zbirów i porywa księcia Henryka. Wywożą go do Płocka. Konrad dobrze to zaplanował i ma teraz rywala na swoim zamku.

Na wieść o jego uwięzieniu syn, także Henryk, późniejszy Pobożny, zbiera wojsko, aby odbić ojca. W tym czasie żona Brodatego, Jadwiga, przebywa w klasztorze w Trzebnicy. Dwadzieścia lat wcześniej razem z mężem złożyli śluby czystości, jednak wcześniej urodziła siedmioro dzieci. Po tej decyzji oddała się całkowicie Bogu i już za życia uchodziła

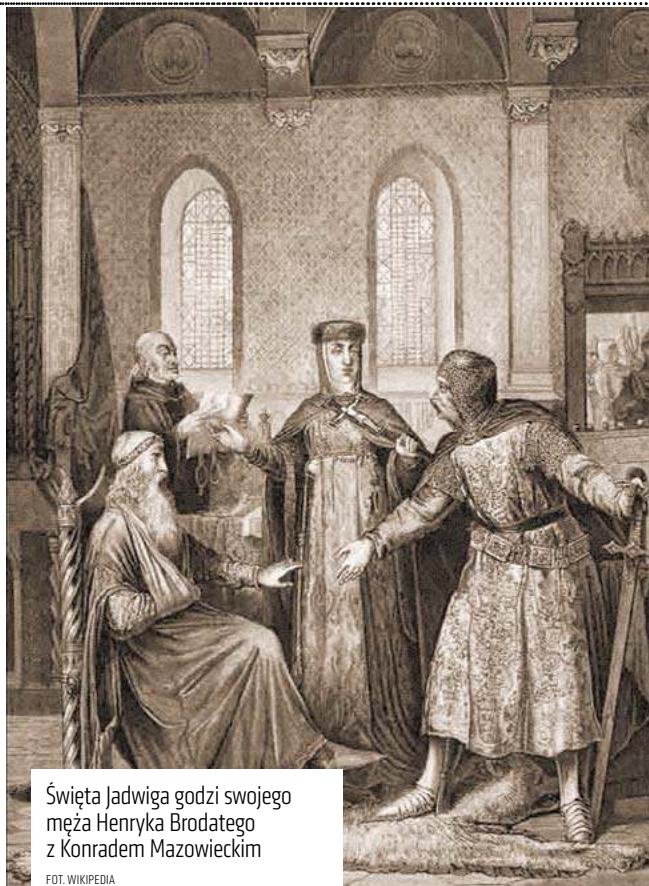
za świętą (została uznana za świętą Kościoła katolickiego i kanonizowana 26 marca 1267 r.). Opuszcza jednak klasztor, ubiega syna i staje osobiście w Płocku przed Konradem. Nawet okrutny książę mazowiecki ulega moralnemu autorytetowi Jadwigi i godzi się na uwolnienie jej męża. Jednak nie czyni tego bezinteresownie. Wymusza zrzeczenie się przez Brodatego pretensji do Krakowa. I tę właśnie chwilę ukazuje na obrazie Głębocki. Widzimy tutaj troje głównych bohaterów wydarzenia oraz na drugim planie skrybę czytającego ustalone punkty ugody.

Co było później? Brodaty opuszcza płockie więzienie, ale nie zamierza dotrzymać danego pod przymusem słowa. Uprasza papieża o zwolnienia go z przysięgi i taką dyspensę otrzymuje. W 1231 r. umiera Laskonogi.

Przed śmiercią przekazuje prawa do Krakowa Henrykowi. Chociaż Konrad walczy dalej o najważniejszy w Polsce gród, to nie udaje mu się go zdobyć. Henryka Brodatego uznano za pana ziemi krakowskiej. Grzymisława wraz z sześciolatnym synem Bolesławem zasiadają na ziemi sandomierskiej pod opieką księcia Henryka. Jednak Konrad pomimo pasma porażek nie odpuszcza.

Uwięzienie bratanka i jego matki

Po zabójstwie Leszka Białego Grzymisława, pragnąc rządzić w imieniu rocznego syna Bolesława, przyjęła tytuł „Księżnej Polski”. Możemy więc przypuszczać, że ta ruska księżniczka musiała być osobą jak na owe czasy niepospolitą. Stała więc wraz z synem na drodze do przejęcia przez Konrada panowania w księstwie krakowsko-sandomierskim. Oddajmy teraz głos Janowi Długoszi: „Konrad, bolejąc ciężko, że bratanek wyrwywa się spod jego opieki i że pozbawia go dochodów, do których przywykł, zaprasza tak księżnę Grzymisławę,



Święta Jadwiga godzi swojego męża Henryka Brodatego z Konradem Mazowieckim

FOT. WIKIPEDIA

jak i bratanka Bolesława Wstydlivego na przyjacielską rozmowę, jakoby dla omówienia spraw publicznych swoich księstw. Więzi ich i sprowadziwszy na Mazowsze, zamyka najpierw w swoim warownym zamku w Czersku, wyrzucając zarówno matce, jak synowi, że zbyt szybko i za wcześniej dążyli do przejęcia władzy książęcej. Następnie przenosi ich do zamku w Sieciechowie. [...] Zabiera bratankowi cały skarbiec i bardzo wytrwale dąży do zagarnięcia jego księstw i do pozbawienia go życia”.

Inne dokumenty wskazują, że oprócz obrabowania krewnych Konrad dodatkowo pobił bratową różgą. Nawet jak na owe czasy to akt zadziwiający, musiał więc się odbić szerokim echem, skoro ten nikczemny czyn pobicia kobiety został opisany w bulli papieża Grzegorza IX. A i w Polsce XIX w. chyba również poruszał, skoro do tego wydarzenia odniósł się nawet swoim pędzlem mistrz Jan Matejko. Maluje on obraz poświęcony temu podłemu postępkowi księcia Konrada. „W dziwnym był w owym czasie Matejko usposobieniu, bo chętnie malował tragiczne wypadki” – zanotował jego sekretarz Marian Gorzkowski. W swoim pamiętniku zawarł ciekawy opis tego dzieła, gdzie czytamy:

„Matejko obrał chwilę, gdy Konrad odwiedzając ich w więzieniu, kusi ich, grozi; pod niskim więziennym sklepieniem, Konrad ubrany na czerwono, z demonicznym wyrazem, patrzy na książęce pachole; matka zasłania go ręką, jakby pragnęła ochronić dziecko od skrytobójczych Konrada zamiarów. Gotyckie łuki

sklepienia, posępna walka ciemności ze światłem; krwawe odbłyśki na szatach Konrada czerwienizny; przerażona twarz księżnej, nadają obrazowi wielką grozę. Za księciem, sługa jakiś, czy strażnik, daje księżnej tajemne jakieś znaki, a wszystko razem przenosi myśl w dzikie, ponure, straszne czasy zamierzchłych wieków...”.

Niestety, tych kolorów czy „krwawych odbłyśków na szatach” nie będziemy mogli już nigdy prawdopodobnie obejrzeć. Losy tego dzieła malarskiego są mało znane. Wiemy od Gorzkowskiego, że obraz od artysty w roku jego powstania zakupił mieszkaniec Wileńszczyzny Konstanty Skirmunt. W 1938 r. Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych pod patronatem honorowym Marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza zorganizowało wielką wystawę prac Matejki, gdzie wystawiono 84 oryginalne obrazy mistrza, a wśród nich również to dzieło. W katalogu widnieje zapisane pod pozycją nr 36 jako własność Bolesława Skirmunta, bodaj syna wcześniejszego właściciela. Po zakończeniu ekspozycji, jak to bywa w zwyczaju, obraz zwraca się posiadaczowi. Co stało się z nim później, możemy próbować się tylko domyślać. Rok 1939 i tamte tereny zajmują Sowieci. Zapewne malowidło podzieliło los wielu tysięcy



zniszczonych wówczas przez bolszewików dzieł, ot, dla zabawy, bądź zostało zagrabione i gdzieś leży w magazynach muzealnych lub w jakimś domu na wschód od Bugu i nikt się nie chce przyznać, że je posiada.

A co stało się z Grzymisławą i Bolesławem

Wstydlivym? Henryk Brodaty po uzyskaniu wsparcia papieża szykował się do ich odbicia. Jednak wyprzedzili go ludzie bliscy małemu księciu i księżnej. Gdy przebywali oni w klasztorze w Sieciechowie, pomoc w ucieczce zainicjował Klemens z Ruszczy, o czym w latach późniejszych Wstydlivy nie zapomnieli i obdarzyli go przywilejami. Pomoc zaofertował również opat sieciechowski Mikołaj z Galli, który według Długosza „przekupiwszy tak pieniędzmi, jak i obietnicami strażników zamku sieciechowskiego i pozostałych dozorców uwięzionego księcia Bolesława, uzyskał uwolnienie Bolesława i Grzymisławę”.

Przemysłne i brawurowe to było uwolnienie, „bowiem jednej nocy strażnicy po ochoczej biesiadzie pijani, zapomniawszy o środkach bezpieczeństwa, zaniechali wystawienia zwykłych straży, książę Bolesław po cichu w czasie ciemnej nocy opuszcza z matką klasztor na przygotowanych potajemnie wózkach”. Zaraz potem Henryk Brodaty dla ich bezpieczeństwa umieszcza uwolnionych na lat pięć w silnej twierdzy w Skale, a nie u siebie we Wrocławiu czy w ich Sandomierzu. Grzymisława i Bolesław zrzekają się wówczas praw do Krakowa. Wyglądałoby na to, że Brodaty, w sumie książę bardzo pozytywnie oceniany przez historyków, robi to dla ich dobra i z miłości do młodego krewnego Piastowicza. Nie wszystko jest tu jednak takie piękne. Można przypuszczać, że książę wrocławski czynił to z wyrachowania, bo już wtedy w jego zamyśle było zjednoczenie Polski pod swoim berłem, której dziedzicem po nim miał zostać jego syn Henryk Pobożny. Niestety, ze szkodą dla Polski tak się nie stało. To już jednak inna historia, której tragiczny finał wymalował także Jan Matejko.



Uprowadzenie Bolesława Wstydlivego i jego matki, drzeworyt według rysunku Jana Matejki FOT. WIKIMEDIA

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

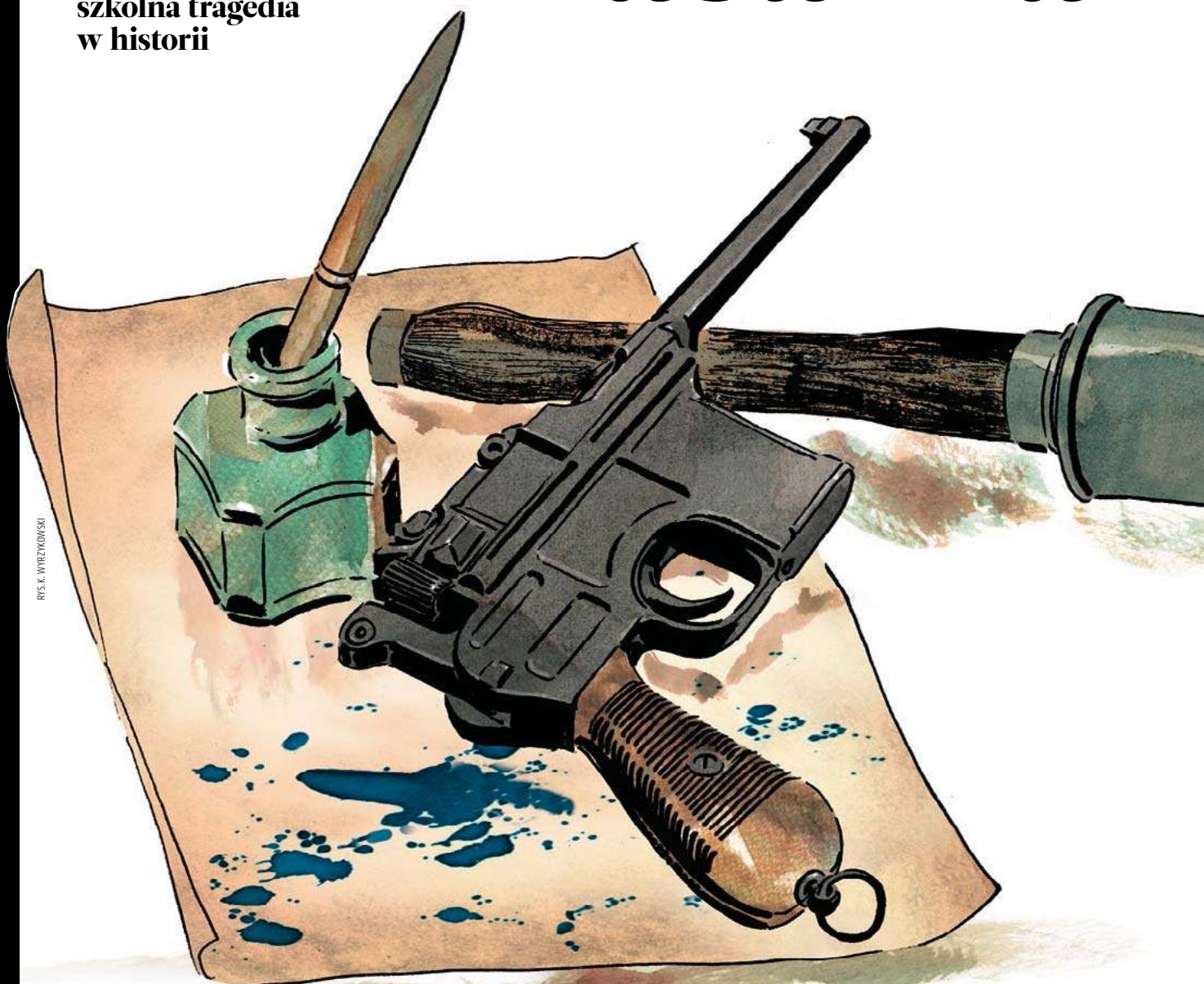
1925 r. / Zabójstwo w państwowym gimnazjum



Sławomir Koper

O wileńskiej strzelaninie podczas matury pisała prasa w Europie oraz w USA. Była to pierwsza taka szkolna tragedia w historii

Wileńska masakra



RYŚ K. WYREZYKOWSKI



Wilno. Ulica Mickiewicza, przy której mieściło się gimnazjum im. Lelewela

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

W międzywojennym Wilnie, tak jak w każdym dużym ośrodku miejskim, radosne czy humorystyczne wydarzenia sąsiadowały z tragediami. Wileńskie Państwowe Gimnazjum im. Joachima Lelewela uchodziło za jedną z najlepszych placówek edukacyjnych w mieście. Powstało w 1918 r. jako druga szkoła średnia dla chłopców w Wilnie, miało profil matematyczno-przyrodniczy. Siedzibą gimnazjum był gmach przy ulicy Mickiewicza (Gedimino prospektas); warto dodać, że w 1921 r. w jego murach maturę zdał Witold Pilecki. W późniejszych latach do grona znanych absolwentów dołączyli: aktor Igor Śmiałowski i prawnik Igor Andrejew. Ten ostatni zapisał się ponuro w dziejach polskiej palestry, gdyż był nie tylko autorem podręczników prawniczych, lecz także jednym z sędziów, którzy zatwierdzili wyrok śmierci na Augusta Fieldorfa („Nila”).

Nic nie zapowiadało tragedii, gdy na początku maja 1925 r. rozpoczęły się egzaminy maturalne. Na wtorek 6 maja

zaplanowano sprawdzenie wiedzy abiturientów z matematyki, jednak nie wszyscy przystępowali do egzaminu w dobrych nastrojach. Należał do nich 23-letni Stanisław Ławrynowicz, który dzień wcześniej „obciął się na egzaminie z fizyki”.

Groźny dyrektor

Na sali byli: 43 uczniów, komisja egzaminacyjna oraz wizytator Zygmunt Fedorowicz. Niestety, powaga dnia nie udzieliła się dyrektorowi placówki, w której odbywał się egzamin, Edwardowi Biegańskiemu. Był on wyjątkowo nie lubiany przez wychowanków ze względu na „szczególniejszy dar podniecania i drażnienia w ogóle wszystkich uczniów”. Podobno zdecydowanie bardziej „dbał o pryncypia” niż o „metodę pedagogiczną”, a teraz swoim zwyczajem „sypał na prawo i lewo dokuczliwymi uwagami” pod adresem abiturientów.

Faktycznie, coś musiało być na rzeczy, skoro władze oświatowe obawiały się wyników matury w gimnazjum im. Lelewela. Tak przynajmniej można sądzić po relacji zamieszczonej następnego dnia w miejscowym „Słowie”: „Delegat kuratorium, dyrektor gimnazjum w Święcianach, pan Czapski wyjaśnia atoli, że znając surowość i bezwzględność dyrektora Biegańskiego, sam umyślnie przygotował na egzamin z algebry zadanie łatwe. Nie wątpiono, że wszyscy abiturienti je rozwiążą”.

Nikt wówczas jeszcze nie myślał jeszcze o realnym zagrożeniu ze strony uczniów, chociaż dopiero niedawno skończyły się wieloletnie wojny i broń palna należała do łatwych oraz dostępnych towarów. Jej obsługa również nie naszczała problemów.

„W wielkiej sali – wspominał Zygmunt Fedorowicz – przy szeroko rozstawionych ławkach siedzieli pojedynczo abiturienti, za stołem na wzniesieniu komisja egzaminacyjna. Biegański, zamiast pozostawać na swym miejscu przewodniczącego, chodził między ławkami, a na koniec stanął przy ścianie, obrawszy najdogodniejsze miejsce obserwacji. [...] Wyczułem w sali napięcie i postanowiłem je rozładować. Korzystając z przywileju wizytato-

ra, któremu wszystko wolno, poszedłem między ławki, zagadując chłopców, których prawie wszystkich znałem, jak im idzie, a nawet tu i ówdzie wskazując jakiś jaskrawy błąd w robocie”.

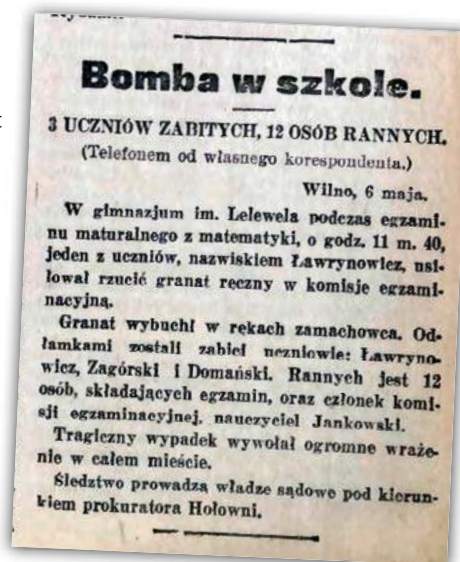
Gdy wizytator przechodził obok Ławrynowicza, zauważył, że chociaż egzamin trwał już blisko godzinę, przed uczniem leżała pusta kartka. W tej sytuacji usiadł obok młodzieńca, a gdy usłyszał, że ten nie rozumie zadania, „wyjaśnił mu, o co idzie, i naszkicował metodę, która miała doprowadzić do rozwiązania”. Chłopak podziękował i zaczął pisać.

Masakra

„Nie miałem już nic do roboty – chciałem odejść. Podeszedłem do stołu komisji, by się pożegnać. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na salę i nagle skamieniałem:

Ławrynowicz nie siedział w ławce, lecz stał w przejściu między ławkami, zwrócony twarzą do dyrektora Biegańskiego, odległego od niego pięć-sześć kroków. W lewej, opuszczonej ku dołowi ręce miał granat ręczny, w prawej podniesiony rewolwer. Mierzył w Biegańskiego i coś mówił”.

Zaraz potem rozległy się strzały, natychmiast poderwało się kilku uczniów,



■ chcąc obezwładnić zamachowca, ale ich reakcja była spóźniona. Ławrynowicz przycisnął bowiem do brzucha granat i wyrwał zawleczkę. Rozległ się „ogłuszający huk, a za nim brzdęk wypadających szyb. Opadł tynk z sufitu i ścian. Dym i kurz zasłoniły pole widzenia”.

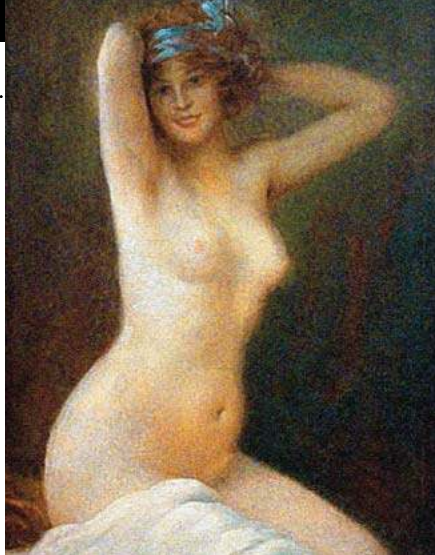
Bilans był tragiczny. Na miejscu poza zamachowcem zginęło dwóch jego kolegów, a nauczyciel Jan Jankowski i uczeń Jerzy Toczyłowski zostali śmiertelnie ranni. Łżej poszkodowani zostali dyrektor Biegański i siedmiu abiturientów. Dwóch z nich: Władysław Bończa-Osmołowski i Władysław (?) Symowicz mieli wręcz nieprawdopodobne szczęście, usiłowali bowiem wyrwać granat z ręki Ławrynowicza i znaleźli się najbliżej wybuchu. Odnieśli jednak tylko lekkie rany.

To jednak nie był koniec, okazało się bowiem, że zamachowiec miał współnika, który również był uzbrojony. Był nim młodszy o dwa lata abiturient Jerzy Obrąpalski.

„W chwili – relacjonowano na łamach »Słowa« – gdy krwawa tragedia rozgrywała się w sali egzaminacyjnej o wysadzonych oknach i zasypanej gruzami oberwanych tynków, rozległy się na przeciwnym korytarzu starzały. [...] Strzelał abiturient Janusz Obrąpalski. Gdy go otoczono i chciano broń odebrać, rzucił granat ręczny, mający kształt jajka – który na szczęście nie eksplodował. Wówczas Obrąpalski, skierowując w skroń rewolwer, targnął się na własne życie. Padł, brocząc krwią, ciężko ranny i godzin parę potem wyzionął ducha”.

Obaj zamachowcy byli nie tylko znacznie starsi od swoich kolegów. Pochodzili z ziemiańskich rodzin mocno doświadczonych przez lata wojen, które w efekcie zmian granic straciły swoje majątki. Jednak żaden z zabójców nie narzekał na problemy finansowe, ojciec pochodzącego ze Żmudzi Ławrynowicza był wyższym urzędnikiem państwowym w Wilnie, natomiast Obrąpalski, którego rodzina wywodziła się z Mińszczyzny, był dyrektorem jednego z „większych warszawskich banków”. Być może to, że ojcowie rodzin nie mieli czasu zajmować się swoimi synami, wpłynęło na ich postępowanie. Nie zmienia to jednak faktu, że obaj zamachowcy byli barwnymi postaciami w gimnazjum im. Lelewela.

„Burzliwego temperamentu i bardzo nerwowo – charakteryzowało Ławrynowicza »Słowo« – był w klasie co się zowie



Leonard Winterowski „Akt Kazimierzy Niewiarowskiej” FOT. ARCHIWUM

personą. Niezrównoważony szalenie, samodzielny, uparty rej wodził jednak pomiędzy kolegami. Był indywidualnością jeżeli nie wybitną, to wyraźnie określoną”.

Od dwóch lat stał na czele gimnazjalnej Bratniej Pomocy i wywiązywał się z obowiązków „z niemałą godnością oraz pilnością wzorową”. Chociaż rok wcześniej nie zdał egzaminu dojrzałości, ponownie został wybrany na to stanowisko. Przy okazji prezentował jednak dość dziwne upodobania, bo kolekcjonował granaty, na co zresztą miał „specjalne zezwolenie policji”.

Obrąpalski był przyjacielem Ławrynowicza, podobno pozostawał pod jego całkowitym wpływem. Uczył się fatalnie, właśnie powtarzał ostatnią klasę gimnazjum. Wraz ze swoim przyjacielem lubili alkoholowe imprezy, tak też spędzili ostatnią noc przed tragedią.

„Około ósmej wieczorem – kontynuował reporter »Słowa« – pojechali obydwa do kuchni Obrąpalskiego, ucznia siódmej klasy, Oskierki. Obrąpalski pożyczł od niego rewolwer. Ławrynowicz [...] miał rewolwer własny”.

Obaj zaplanowali masakrę podczas egzaminu na zimno, Obrąpalski pozostawił nawet list pożegnalny, wiedząc, że nie przeżyje matury.

Media w akcji

Obu zamachowców pochowano dyskretnie, w pogrzebie uczestniczyły tylko ich rodziny. Natomiast pochówek pozostałych ofiar krwawej matury zgromadził ogromne tłumy. Jednocześnie tragedią zajęła się prasa ogólnopolska, a autorzy artykułów mniej przejmowali

się rzeczywistym przebiegiem wypadków i koncentrowali się na załatwianiu porachunków politycznych. I tak endecki „Kurier Poznański” uznał, że „uzbrojeni abiturienti” byli ofiarami „bolszewickich metod wychowawczych”. Sugerowano w ten sposób, że zamachowcy, z których jeden walczył pod dowództwem rtm. Jerzego Dąmbrowskiego („Łupaszki”) z bolszewikami, a drugi poznał sowieckie porządki na Mińszczyźnie, zbuntowali się przeciwko komunistycznym metodom panującym w szkole.

Bardziej stonowana była prasa miejscowa, sugerująca głęboką demoralizację obu zamachowców. Tutaj jednak również pojawiały się elementy polityczne, twierdzono, że ciężkie przeżycia ostatnich lat wpłynęły na psychikę zabójców. W tle pojawił się także temat łatwego dostępu do broni, co było pozostałością burzliwych wydarzeń dziejowych ostatnich lat. W ich efekcie „lada sztubak potrzebuje tylko sięgnąć ręką, aby chwycić rewolwer albo granat ręczny. O i nauczono go się posługiwać i jednym, i drugim z wzorową wprawą”.

Przy okazji dostało się także dyrektorowi Biegańskiemu jako wprowadzającemu w szkole zbyt surowe metody wychowawcze. „Nasuwać się może przypuszczenie, że straciwszy wszelką nadzieję, aby go [Janusza Obrąpalskiego – przyp. S.K.] dyrektor Biegański nie obciął, chciał desperackim czynem życie zakończyć. Ławrynowicz [...] w przeddzień wypadku obciął się był na egzaminie z fizyki. Mógł też być w nastroju desperackim”.

Najwięcej dostało się jednak miejscowym władzom oświatowym i programowi szkolnemu w ogóle. „Na krwawą hekatombę w Gimnazjum imienia Lelewela złożyły się z jednej strony istna demencja, zdemoralizowanie kilku osobników spośród młodzieży naszej, aż nadto, niestety, gęsto zasianej duchem sprawców wczorajszej katastrofy, z drugiej strony fatalna u nas metoda nauczania idąca w parze z nieznaną odpowiedzialnością kuratora okręgu wileńskiego, pod rządami którego zaczynają się dziać rzeczy – coraz dziwniejsze. Dałby Bóg, by tragedia wczorajsza była kryzysem tego opłakanego stanu! Młodzież powinna oprzytomnieć. A pan minister oświecenia publicznego powinien wiedzieć, co ma zrobić”.

Dyrektor Biegański, ranny w rękę i nogę, został ostatecznie przeniesiony

do Łowicza, gdzie kilka lat później został zastrzelony przez złodziei włamujących się do szkoły. Natomiast Władysław Bończa-Osmołowski, który wykazał się taką odwagą podczas strzelaniny, został pilotem. Po ukończeniu „Szkoły Orłąt” w Dęblinie został przydzielony do 4. Pułku Lotniczego w Toruniu. Zginął śmiercią pilota w czerwcu 1930 r. w wypadku lotniczym podczas wykonywania lotu ćwiczebnego. Miał wówczas 26 lat, pochowano go na wileńskiej Rossie.

„Jawnogrzesznica” w płomieniach

Wprawdzie od połowy lat 20. w życiu teatralnym Wilna dominowała Reduta, a lżejszy repertuar muzyczny prezentowała Lutnia, jednak miasto odwiedzały także różnego rodzaju teatralne trupy objazdowe. Jedną z nich był Teatr Messal-Niewiarowskiej oferujący repertuar operetkowy, którego gwiazdami były (jak sama nazwa wskazywała) dwie znakomite śpiewaczki: Lucyna Messal i Kazimiera Niewiarowska. Pierwsza z nich była największą legendą teatru muzycznego Warszawy, a do historii polskiej sceny przeszła, gdy na rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej wraz z Józefem Redo po raz pierwszy wykonała podczas przedstawienia tango, uważane wówczas za wyjątkowo bezwstydną i wyuzdaną taniec. Jej koleżanka, Niewiarowska, kilka lat później poszła znacznie dalej, gdyż w 1924 r. jako pierwsza polska śpiewaczka wystąpiła na scenie topless. Wzbudziło to oczywiście dużą sensację, „bezbożnicę” odsądzono od czci i wiary, ale męska część widowni była zachwycona.

Wspólne przedsięwzięcie obu gwiazd nie przyniosło jednak oczekiwanych zysków, gdyż najwyraźniej zabrakło mu rasowego menedżera, który zająłby się organizacyjną stroną przedsięwzięcia. Obie artystki nie miały na to czasu, toteż nawet dobre pomysły kończyły się fiaskiem z powodu niedopracowania

szczegółów. Wyjazd do Pragi przyniósł klęskę, gdyż zapomniano rozkleić afisze reklamujące przedstawienia. W efekcie zespołowi zabrakło pieniędzy na powrót i Niewiarowska musiała sprzedać swoją biżuterię. To jednak nie wystarczyło i konieczna była pomoc polskiej ambasady.

Aby uratować scenę przed bankructwem, udali się w trasę po Polsce. Z powodu braku pieniędzy artyści nocowali w wynajętych wagonach kolejowych, a jedyny wyjątek uczyniono dla Messalki, która zatrzymywała się w dobrych hotelach. Pod koniec czerwca 1927 r. zespół dotarł do Wilna i tam wydarzyła się tragedia, której przyczyną były oszczędności przy obsłudze tournée.

„Niewiarowska w koszuli tylko – wspominał Ludwik Sempoliński – prała przy zamkniętych drzwiach w benzynie

Nie tracąc przytomności, otworzyła okno i wyszła z niej przez nie, zostawiając na ramie płat skóry z poparzonego brzucha. Jak płonąca pochodnia leciała naga w kierunku dworca. Po drodze jakiś kolejarz pompujący wodę wylał na nią cały kubeł, ognia nie ugasił, sprawę pogorszył. Dopiero ktoś przytomniejszy nakrył ją płaszczem i zadzwonił po pogotowie. Zanim nadjechało, zażądała lusterka, aby zobaczyć, czy ma poparzoną twarz. Nie miała, tylko podbródek”.

Lekarze nie dawali jej szans na przeżycie, bo miała poparzenia trzeciego stopnia na trzech czwartych powierzchni ciała. Pomimo straszliwych cierpień nie traciła jednak opanowania. Do matki kazała wysłać telegram: „Nie wierz gazetom, czuję się dobrze”, a zespołowi nakazała normalny wieczorny występ.

W szpitalu „męczyła się 12 godzin z zaciśniętymi ustami”, aż wreszcie odurzona morfiną zasnęła, aby więcej się już nie obudzić.

W tych dniach w Wilnie odbywały się uroczystości związane z koronacją cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, co natychmiast wykorzystwały miejscowe dewotki. Na widok trumny niesionej przez aktorów wykrzykiwano, że właśnie „spłonęła jawnogrzesznica”, zwłoki Niewiarowskiej dostarczono na dworzec bocznymi ulicami. W Warszawie nie było zresztą lepiej.

„Tragiczna śmierć i pogrzeb Niewiarowskiej – wspominał z żałowaniem Sempoliński – stał się smutną sceną dla żądnej sensacji gawiedzi. Od chwili wstawienia trumny do kościoła Świętego Krzyża waliły tam nieprzerwanie żądne wrażeń tłumy. Jakiś fotograf, korzystając z sytuacji, postawił koło kościoła budkę i sprzedawał fotostaty Niewiarowskiej z gołymi

piersiami. Pełno bigotek starało się nie dopuścić do pogrzebu »jawnogrzesznicy«. Dopiero interwencja policji przywróciła porządek”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Kazimiera Niewiarowska (z prawej), Kazimierz Dembowski i Lucyna Messal

FOT. NAC

nad miednicą na podłodze [...] suknię i po upraniu zawołała garderobianą, aby ją od niej przyjęła. Na korytarzu stała paląca się maszynka spirytusowa. Po uchyleniu drzwi płomień z »prymusa« spowodował wybuch rozpylonej w powietrzu benzyny. Na podłodze i pod wagonem zapaliła się spływająca benzyna i Niewiarowska w jednej chwili stanęła w płomieniach.

Korzystałem z: Zygmunt Fedorowicz, „Trzydzieści lat mego pobytu w Wilnie 1914–1944”, Bydgoszcz 2010; Ludwik Sempoliński, „Wielcy artyści małych scen”, Warszawa 1968, „Słowo”, maj 1925.

Z Serhiiem Plokhym / Autorem książki „Czarnobyl. Historia nuklearnej katastrofy”



rozmawia Piotr Włoczyk

Tajemnice Czarnobyla

/ Katastrofa w Czarnobylu mogła się przerodzić w prawdziwy ogólnoswiatowy kataklizm. W powietrze mogły wylecieć pozostałe trzy reaktory. Jak udało się uniknąć atomowej apokalipsy?

PIOTR WŁOCZYK: Kilka dni po wybuchu w reaktorze nr 4 elektrowni czarnobylskiej naukowcy pracujący na miejscu tragedii podejrzewali, że niedługo może się stać coś o wiele gorszego. Co najbardziej ich niepokoiło?

SERHII PLOKH: Naukowcy nie rozumieli jeszcze dokładnie, co wydarzyło się w elektrowni 26 kwietnia. Wydawało im się wówczas, że może dojść do kolejnych eksplozji, które będą dużo bardziej katastrofalne w skutkach. Władze w Kijowie zaczęły nawet potajemnie przygotowywać się do ewakuacji stolicy Ukrainy. Co ciekawe, wtedy jeszcze uważano, że tylko 5 proc. paliwa jądrowego wydostało się na zewnątrz reaktora. W rzeczywistości było go dużo więcej. Właśnie z uwagi na strach przed jeszcze gorszym kataklizmem wywołanym kolejnymi wybuchami zdecydowano się na ewakuację miasta Prypieć, leżącego zaledwie kilka kilometrów od elektrowni.

Czyli nie ewakuowano Prypieci dlatego, że mieszkańcom tego miasta groziło promieniowanie?

Nie, chociaż poziom promieniowania był tam oczywiście o wiele wyższy, niż

wynosiły normy. Do ewakuacji Prypieci doszło, ponieważ naukowcy nie byli pewni, czy nie dojdzie do kolejnych eksplozji w elektrowni. Pamiętajmy, że w Czarnobylu były jeszcze trzy inne reaktory. Nie dziwny się więc, że w pierwszej fazie akcji ratunkowej specjaliści od energii atomowej byli przerażeni. Istniała olbrzymia obawa, że ogień, który wybuchł w reaktorze nr 4, przeniesie się do reszty reaktorów.

Jak? Wydawałoby się, że elektrownie atomowe budowane są w taki sposób, żeby zabezpieczyć się właśnie przed takimi sytuacjami.

Wszystkie cztery reaktory w Czarnobylu dzieliły ze sobą wspólną halę maszynową. Ta hala była wypełniona materiałami palnymi, m.in. olejami. Elektrowni

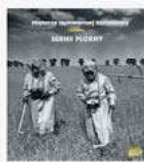
groziła utrata zasilania. A bez prądu woda do chłodzenia nie jest pompowana. Bez tego reaktory mogą ulec stopieniu. Bardzo szybkie powstrzymanie pożaru było olbrzymim sukcesem w całej tej potwornej historii i powinniśmy pamiętać o poświęceniu strażaków. Najgorszy scenariusz zakładał bowiem zniszczenie wszystkich czterech reaktorów. Skutki takiej katastrofy byłyby trudne do wyobrażenia.

To znaczy?

Zniszczenie jednego reaktora skutkowało tym, że połowa powierzchni Europy została pokryta radioaktywnym opadem. Eksplozja w Czarnobylu sprawiła, że uwolnione zostało promieniowanie równe wybuchowi 500 bomb zrzuconych nad Hiroszimą. Nie chcę spekulować na ten temat, ale gdyby zniszczone zostały wszystkie cztery reaktory, to skutki byłyby dla naszej planety po prostu katastrofalne. Zamiast jednego Czarnobyla mogliśmy mieć cztery Czarnobyle...

Nawiasem mówiąc, zrzucanie z powietrza gliny na odsłonięty reaktor nie było wówczas konieczne, ale wręcz mogło

Czarnobyl



**SERHII PLOKH
„CZARNOBYL. HISTORIA
NUKLEARNEJ KATASTROFY”**

ZNAK



„Likwidatorzy” nie wiedzieli, jaką dawkę promieniowania przyjmują FOT. ARCHIWUM

2 mln ludzi. Najpewniej jednak Moskwa nie wyraziłaby na to zgody. Gorbaczow stał wtedy na stanowisku, że trzeba pokazać całemu światu, iż wszystko jest w jak najlepszym porządku, że imperium sowieckie trzyma się mocno. Stąd rozkaz Kremla zorganizowania wielkiej parady w Kijowie 1 maja, choć lokalne struktury partii były temu bardzo niechętnie.

Poziom promieniowania bardzo szybko wzrastał i mieszkańcy Kijowa byli w realnym niebezpieczeństwie, szczególnie zaś dzieci. Tymczasem na paradę ściągnięto masę maluchów! Plan był taki, że specjalne mundurki, w których pokazały się dzieci, zostaną zniszczone po paradzie. W tym roku upubliczniony został raport KGB, z którego wynika jednak, że w jednej z dzielnic Kijowa władze nawet tego – absolutnego minimum – nie zrobiły. To się po prostu nie mieści w głowie. Ciężko jednak powiedzieć, jak bardzo ukrywanie zagrożenie zaszkodziło kijowianom i mieszkańcom sąsiednich terenów, ponieważ nikt tego nie badał.

Gorbaczow ma świetny image na Zachodzie, ale naświetlenie jego roli w tuszowaniu skutków katastrofy jasno pokazuje, jakim „demokratą” był „Gorbi”.

To prawda, że Gorbaczow bardzo dobrze się koił przed przedstawicielom zachodnich elit. Tymczasem ponad dwa – kluczowe – tygodnie zajęło mu dojście do wniosku, że ludziom należą się podstawowe informacje na ten temat. Więcej nawet – aż trzy lata zajęło mu pojawienie się na miejscu katastrofy...

Żył pan wtedy na Ukrainie.

Tak. Mieszkaliśmy w centralnej części Ukrainy. Moje miasto nazywało się wtedy Dniepropietrowsk, ale od niedawna nazywa się Dniepr [w 2016 r. ukraińskie władze zdekomunizowały Dniepropietrowsk. Poprzednia nazwa nawiązywała bowiem do działacza komunistycznego Hryhoriya Petrowskiego, który był związany z tym miastem – przyp. red.]. Dniepr leży nad rzeką o tej samej nazwie, ok. 500 km w dół Dniepru od Czarnobyla. Główną obawą było to, że materiał promieniotwórczy, poprzez wody gruntowe i za pomocą deszczu, przedostanie się do Dniepru. Życie 30 mln ludzi zależało od tej rzeki... Na szczęście nie doszło do tego.

Jak pan wspomina pierwsze dni po pojawieniu się pierwszych pogłosek o katastrofie w Czarnobylu? ■



Dyrekcja elektrowni w Czarnobylu na ławie oskarżonych FOT. ARCHIWUM

pogorszyć sytuację, wywołując nawet 9 maja małą eksplozję. Cały ten piekielny żar został przykryty i nie miał gdzie uciec. Doszło wówczas do niewielkiego wybuchu, ale i tak wszyscy pracujący na miejscu katastrofy byli przerażeni.

Kiedy Kreml doskonale zdawał sobie już sprawę z rozmiarów katastrofy, 1 maja 1986 r. zorganizowa-

na została w Kijowie wielka parada. Jak przyjęły to miejscowe struktury partii?

Władze sowieckiej Ukrainy dysktowały nawet na temat ewentualnej ewakuacji Kijowa, ale były to tylko wstępne przemyślenia – nie zachował się żaden dokument z takim planem. Ciężko powiedzieć, czy ewakuacja na taką skalę była w ogóle wykonalna. Kijów to prawie

■ Tak jak większość ludzi na Ukrainie i w ogóle w całym ZSRS nie pamiętam w ogóle pierwszych dni po katastrofie, bo nikt nie miał o tym informacji. Władze ukrywały to skrzętnie. Kiedy jednak w końcu powiedzieli nam, że jest problem z Czarnobyłem, zaczęliśmy nasłuchiwać przekazów z Zachodu – z Voice of America, z „Deutsche Welle” etc. Ludzie byli naprawdę przerażeni. Pamiętam plotkę, że skażona woda z Czarnobyli zbliza się do mojego miasta, że będzie u nas już następnego dnia... Coś strasznego.

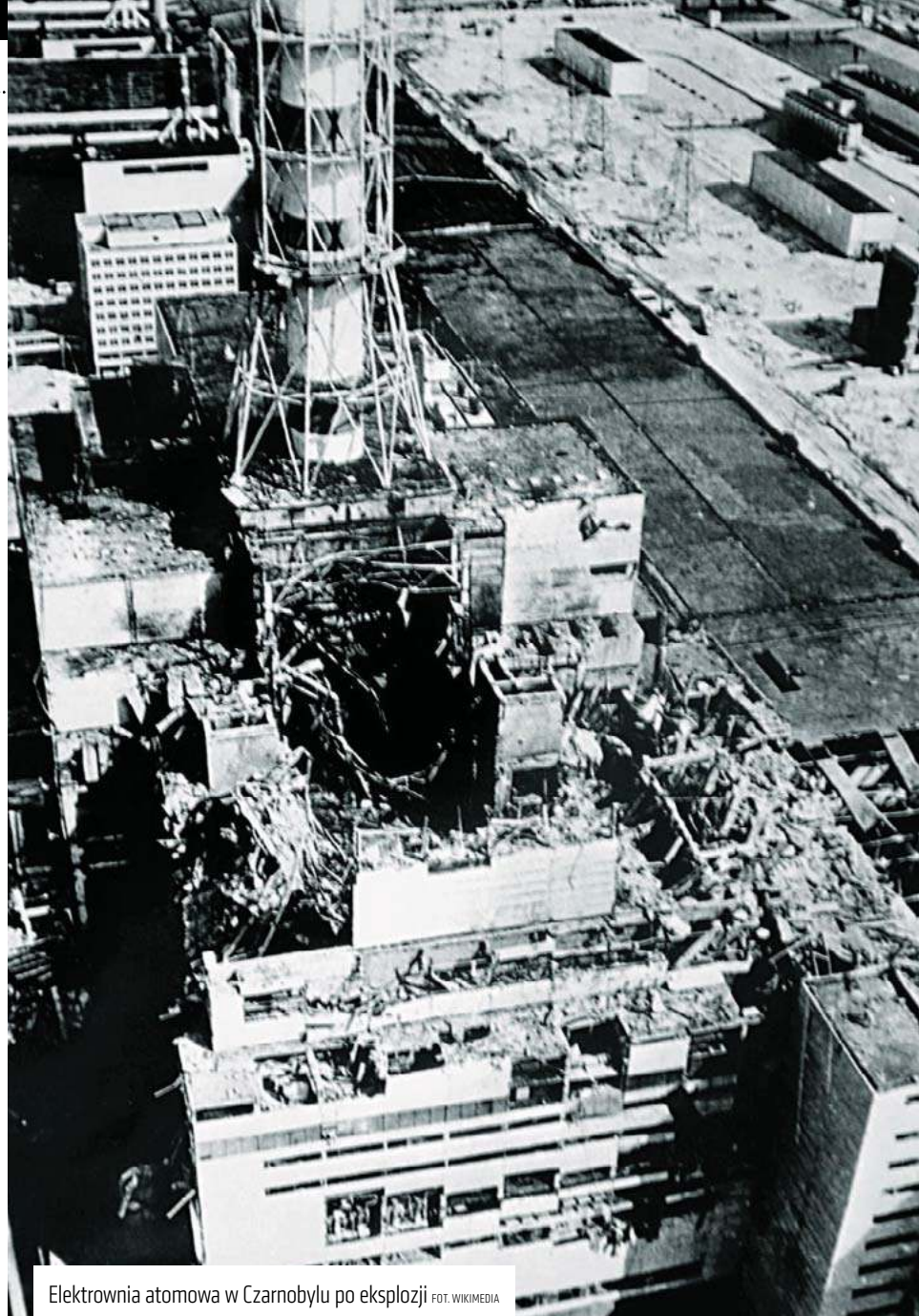
Miałem wtedy dwoje małych dzieci, więc latem 1986 r. trzymaliśmy je zamknięte w mieszkaniu. Żadnych zabaw na dworze, bo nie było pewności, jak wygląda prawda na temat skażenia. Brak informacji był największą zbrodnią reżimu sowieckiego w kontekście Czarnobyli.

Skoro Kreml nie za bardzo przejmował się losem dzieci w Kijowie, to łatwo sobie wyobrazić, jak podchodzono wówczas do ludzi, którzy na miejscu usuwali skutki katastrofy. W znanym serialu HBO na temat tego wypadku jeden z głównych bohaterów wpada na pomysł użycia „biorobotów”, czyli po prostu ludzi z łopatami do sprzątania radioaktywnego grafitu. Jak to wyglądało w rzeczywistości?

Władze od razu podniosły dopuszczalną dawkę promieniowania dla ludzi pracujących na miejscu katastrofy. Jeżeli jednak ktoś uważa to za typowo sowiecką metodę, to muszę go rozczarować. W czasie kryzysu w Fukushima Japończycy zrobili dokładnie to samo...

Po wszystkich okazało się, że wysyłanie części ratowników do epicentrum katastrofy nie miało sensu. Na przykład piloci helikopterów, którzy zrzucaли na reaktor worki z piachem i zostali napromieniowani, nie pomogli w ratowaniu sytuacji. To samo z górnikami, którzy kopali tunel. Wtedy jednak ludzie kierujący akcją nie wiedzieli o tym i starali się zapobiec jeszcze większej katastrofie, która – jak wtedy uważano – nadciągała nad Czarnobyl.

Inna sprawa to siły, których użyto w następnej kolejności. Po zażegnaniu największego zagrożenia, na miejsce wysłano ok. 600 tys. tzw. likwidatorów. Nie da się usprawiedliwić tego, że ściągnięto ich w takiej liczbie i trzymano ich na miejscu tak długo. Sowieci wysyłali tam młodych żołnierzy z poboru albo wzywali rezerwistów. Przed armią Kreml postawił zadanie stoczenia „bitwy o Czarnobyl”. Wielu spośród „likwidatorów” nie



Elektrownia atomowa w Czarnobyli po eksplozji FOT. WIKIMEDIA

miało nawet odpowiednich urządzeń do pomiaru promieniowania, więc nie wiedzieli, jakie dawki przyjmują. Efekty napromieniowania odbijają się po dziś dzień na zdrowiu wielu z nich. ZSRS miał wówczas w nadmiarze tylko jeden zasób: ludzi. Niestety, w przypadku katastrofy w Czarnobyli korzystał z niego bardzo rozrzutnie, nie licząc się z ludzkim życiem.

Czyli powinniśmy rozróżnić dwie rzeczy: ratowanie elektrowni przed jeszcze większą katastrofą i późniejsze czyszczenie terenu.

Tak. Myślę, że każdy kraj – demokratyczny czy nie – rzuciłby na miejsce katastrofy ludzi, których zadaniem byłoby odsunięcie bezpośredniego zagrożenia

atomową apokalipsą. W takich przypadkach nie ma innego wyjścia. Zupełnie inna sprawa to sposób, w jaki wysłano tam „likwidatorów”. Dla potwierdzenia tezy, że nawet demokracje łamią w takich sytuacjach normy, przypomnę tylko, że po awarii w elektrowni w Fukushima Japończycy nie mogli wykorzystać z powodów prawnych armii. Znaleźli jednak wyjście z tej sytuacji. Media ujawniły potem bardzo niepokojące historie o rekrutacji ludzi spoza Japonii, m.in. Wietnamczyków, którzy „sprząтали” teren wokół elektrowni, ponieważ sami Japończycy nie chcieli tego robić.

W katastrofach tego typu rozróżnienie na dobrych kapitalistów i złych

komunistów traci trochę na ostrości. Myślę, że „typowo sowieckie” było w historii Czarnobyla co innego: ukrywanie prawdziwych informacji o skali tej katastrofy. To odróżniało Sowietów od reszty świata.

Wydaje się, że ciężko zniszczyć reaktor jądrowy. Jak w skrócie wyglądał przepis na tragedię w Czarnobylu?

Ta katastrofa była możliwa z dwóch głównych powodów. Po pierwsze, ten typ reaktora był źle zaprojektowany. Był on niebezpieczny z powodu użycia grafitu. Już na początku ery atomu, w 1957 r., doszło do pożaru grafitu w reaktorze w Windscale w Wielkiej Brytanii. Od tego czasu cały świat wiedział, że użycie tego materiału jest złym pomysłem. ZSRS produkował dużo bezpieczniejsze reaktory, ale RBMK były po prostu potężniejsze. W związku z ich wielkością nie można ich było obudować specjalną osłoną bezpieczeństwa, co okazało się tragiczne w skutkach.

Drugim elementem, którego zaistnienie było konieczne, by doszło do tego wypadku, był personel elektrowni pracujący w bardzo specyficznych warunkach. Z jednej strony ludzie obsługujący RBMK nie wiedzieli do końca, jak niebezpieczne są te reaktory, a z drugiej mieli olbrzymią swobodę, jeżeli chodzi o gwałcenie wszelkich norm bezpieczeństwa. Te dwie rzeczy sprawiły, że katastrofa była możliwa.

Nawiasem jednak mówiąc, nawet najlepszy reaktor łatwo zniszczyć. Pokazała to Fukushima. Wystarczy po prostu przerwa w dostawie prądu do pomp, co skutkuje topieniem reaktora. Taką awarię może spowodować – tak jak w przypadku Japonii – tsunami, ale może za nią odpowiadać również zwykły wirus komputerowy. Czarnobyl to bardzo sowiecka historia, ale w pewnych aspektach to też uniwersalna historia.

Od dawna trwa spór o to, w jakim stopniu ta katastrofa przyspieszyła upadek ZSRS. Spory fragment pańskiej książki poświęcony jest właśnie temu tematowi.

Tak, chciałem pokazać w mojej pracy, jak konkretnie zadziałał ten mechanizm. Nie tylko chodzi tu o straty gospodarcze, które były rzecz jasna gigantyczne. Odcięcie ludności od informacji o promieniowaniu wstrząsnęło społeczeństwem ZSRS. Kiedy Gorbaczow zaczął niedługo potem

politykę głośności, sprowadzającą się do tego, że niektóre rzeczy można było omawiać publicznie, katastrofa w Czarnobylu i w ogóle zagrożenia związane z energią atomową wypłynęły na pierwszy plan.

Z tej atmosfery sprzeciwu wobec atomu narodziły się w Związku Sowieckim dwa bardzo ważne ruchy. Pierwszym był litewski Sąjūdis, a drugim ukraiński Ludowy Ruch Ukrainy. Dlaczego było to ważne? Ponieważ Litwa była pierwszą republiką, która ogłosiła niepodległość (w marcu 1990 r.). Z kolei deklaracja niepodległości Ukrainy oznaczała już rozpad ZSRS.

Zaryzykowałby pan tezę, że katastrofa w Czarnobylu przyspieszyła upadek żelaznej kurtyny o dekadę?

To bardzo trudne pytanie. W mojej książce staram się pokazać, że cała opowieść o upadku Związku Sowieckiego jest trudna do zrozumienia bez poznania wątku katastrofy w Czarnobylu. Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że kłamstwa czarnobylskie przyspieszyły upadek komunistycznego imperium.



Jeden z opuszczonych budynków w skażonej strefie

FOT. WIKIMEDIA

Trudno się dziwić, że „Czarnobyl” tak bardzo działa na ludzką wyobraźnię. Ta katastrofa obrosła przez ostatnie 30 lat bardzo wieloma mitami...

Jedna z najpopularniejszych teorii spiskowych łączy wybuch w reaktorze z tajną sowiecką instalacją wojskową położoną bardzo blisko elektrowni. Był to wielki system radarowy potrzebujący mnóstwa taniej elektryczności. Miał on ostrzegać Kreml przed amerykańskim atakiem rakietowym. Wyznawcy tej teorii łączą wypadek w Czarnobylu z awarią w bazie wojskowej. To oczywiście kompletna niedorzeczność.

Inna z często rozpowszechnianych teorii spiskowych mówi o udziale CIA. W Rosji powstaje właśnie film o Czarnobylu, który ma być odpowiedzią na wspomniany przez pana, szalenie popularny na świecie serial HBO. Według scenariusza rosyjskiego filmu agenci CIA mieli maczać w tym palce, natomiast dzielny oficer KGB starał się ich powstrzymać.

Ktokolwiek w to uwierzy w Rosji?

Obawiam się, że tak, ale nie tylko w Rosji nie brak ludzi skłonnych uwierzyć w największą nawet bzdurę, która będzie pasowała do ich wizji świata. Internet i media społecznościowe bardzo ułatwiły życie ludziom, którzy lubują się w teoriach spiskowych.

Dlaczego napisał pan tę książkę?

Czarnobyl to część mojego życia. Przez długi czas cierpiełem na głód informacji w tej sprawie. Kiedy po Euro-majdanie otwarte zostało na Ukrainie mnóstwo archiwów KGB, pojawiła się szansa, żeby jeszcze dokładniej opowie-

dzieć tę historię. Wcześniej wiedzieliśmy, jak KGB ostrzegało przed zagrożeniem awarią w tego typu reaktorze. Teraz wiemy też jednak, jak dokładnie KGB wykonywało zgoła inną robotę... Upublicznione niedawno dokumenty pokazują, jak konkretnie sowiecka bezpieka zamykała sprawę pod dywan, jak osłaniała „recykling” skażonego mleka czy mięsa – mieszano je z towarami zdatnymi do użytku i rozsyłano po całym Sojuszu. Ludzie domyślali się, że ich państwo robiło takie rzeczy, ale teraz mamy już na ten temat konkretną wiedzę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Zychowicz

**/ Ignacy Matuszewski
niezłomnie protestował
przeciwko sprzedaniu
Polski bolszewikom.
Usta próbowali mu
zamknąć komuniści,
FBI i premier Sikorski**

W 1939 r. Rzeczpospolita została napadnięta przez Niemcy i Związek Sowiecki. Jeden napastnik zagarnął połowę Polski, drugi napastnik zagarnął drugą połowę Polski. Jeden napastnik dokonał straszliwych zbrodni na Polakach i drugi napastnik dokonał straszliwych zbrodni na Polakach. Obaj agresorzy – nieludzkie totalitarne reżimy – odmawiali Polsce prawa do suwerennego bytu.

Każdy człowiek, który potrafi wyciągnąć logiczne wnioski, założyłby więc w ciemno, że skoro Polska miała dwóch wrogów, to traktowała ich jednakowo. Nie, tak niestety nie było. Przywódcy polscy agresję niemiecką i sowiecką potraktowali inaczej. Prawdziwą walkę podjęli tylko przeciwko jednemu wrogowi. Przeciwko Niemcom. Z Sowiecami zaś szukali kompromisu, próbowali się dogadać. Niektórzy nawet – piszę to z przykrością – przed Sowiecami się płaszczyli.

Zaczęło się już 17 września. Gdy Armia Czerwona zaatakowała Polskę, nasz Naczelný Wódz marszałek Edward Śmigły-Rydz wydał słynny rozkaz: „Z Sowiecami nie walczyć”. W efekcie armia polska na poważnie broniła swojej ojczyzny tylko przed Niemcami, a opór wobec Sowieców był symboliczny. Stawiały go jednostki, do których albo nie dotarł rozkaz Rydza, albo te, które potraktowały go jako bolszewicką prowokację.

Potem było jeszcze gorzej. Polska nawet nie wypowiedziała Związkowi Sowieckiemu wojny. Mimo że bezprawnie wcielił do swojego terytorium połowę ziem Rzeczypospolitej. Mimo że wywioził na Syberię i do Kazachstanu setki tysięcy Polaków, a kolejne tysiące bestialsko zgładził... Uciemniżył miliony. Sterro-

FOT. WAC

1941 r. / W obronie niepodległości i granic

Powrót Matuszewskiego



ryzował, zastraszył, zepchnął na dno kołchozowej nędzy. Odebrał im wolność myśli.

Aż wreszcie przyszedł pamiętny czerwiec roku 1941. Okupanci wzięli się za łby. Hitler zaatakował Stalina. Jak zareagował na to polski rząd? Jak zareagował premier Władysław Sikorski? Natychmiast sprzymierzył się z jednym z wrogów. Sprzymierzył się z najpotworniejszym dyktatorem, jakiego znał ówczesny świat, katem narodu polskiego, na którego dłoniach znajdowała się krew milionów niewinnych. Sprzymierzył się z Józefem Stalinem. Porozumienie zawarte zostało 30 lipca 1941 r. w Londynie. I od nazwisk swoich sygnatariuszy przeszło do historii jako układ Sikorski-Majski.

Układ ten nie tylko ustawił Polaków u boku sowieckich ludobójców, lecz także pozostawił otwartą kwestię przyszłej wschodniej granicy Polski. Mimo że bici na całej długości frontu przez Wehrmacht bolszewicy znajdowali się w rozpaczliwej sytuacji, Sikorskiemu nie udało się skłonić ich do wyrzeczenia się połowy Polski. Terenów, które zaledwie dwa lata wcześniej zagrabili na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow.

Wszystko to wywołało szok w polskim obozie niepodległościowym. Tym bardziej że układ zawarty został z naruszeniem prawa – bez zgody prezydenta Władysława Raczkiewicza. W akcie protestu do dymisji podali się gen. Kazimierz Sosnkowski i dwaj inni ministrowie polskiego rządu. Poparcie dla gabinetu Sikorskiego wycofało Stronnictwo Narodowe. Układowi sprzeciwili się konserwatyści ze Stanisławem Catem-Mackiewiczem na czele.

Zły pakt

Wśród przeciwników paktu wyjątkową rolę odegrał płk Ignacy Matuszewski. Oficer, który w trakcie wojny stanął na czele Polaków mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Przedwojenny minister, piłsudczyk, znakomity publicysta. Niezlomny obrońca polskiej idei niepodległościowej. Dzielny oficer, którego imię osławiła brawurowa – i przede wszystkim skuteczna! – akcja ratowania złota Banku Polskiego w 1939 r.

Dla Matuszewskiego układ z bolszewikami był aberracją, która mogła mieć

dramatyczne konsekwencje. Pułkownik opublikował szereg artykułów na łamach polonijnej prasy, w których na poparcie swojej tezy wysunął wiele niepodważalnych argumentów. Teraz, po 78 latach, możemy zapoznać się z nimi dzięki monumentalnemu wydaniu pism Matuszewskiego, które przygotował do druku prof. Sławomir Cenckiewicz.

„W redakcji paktu – pisał Matuszewski na początku 1942 r. na łamach nowojorskiego »Nowego Świata« – nie umieszczono uznania granic polsko-rosyjskich, ustalonego traktatem ryskim. W redakcji paktu nie umieszczono tego uznania, choć w swoim przemówieniu z 23 czerwca 1941 roku gen. Sikorski czynił to uznanie wstępnym warunkiem porozumienia. Strona polska zadowoliliła się oświadczeniem, że Sowiety uznają za nieważne swoje umowy z Niemcami z września 1939 r.

Urzędowi komentatorzy tłumaczyli kilkakrotnie, że »skoro Sowiety przekreślają umowę podziałową zawartą z Niemcami, to tym samym wracają do granicy traktatu ryskiego«. Rozumowanie takie mogło się rodzić tylko z nieznamości znaczenia i charakteru aktów dyplomatycznych. Już stary Talleyrand powiedział kiedyś wykrętnym kontrahentom: »Twierdzenie, że to się rozumie samo przez się? No, to w takim razie, napiszemy to«. Tylko niedoświadczeni politycy mogą przypuszczać, że jeśli przeciwnik nie chce czegoś jasno napisać – to nie ma po temu ważnych powodów”.

Matuszewski wskazywał na trzy zasadnicze słabości układu polsko-bolszewickiego, które w przyszłości mogły przynieść opłakane skutki:

1. Sowiety nie rzekły się zaboru połowy Rzeczypospolitej.

2. Polska, podpisując pakt ze Stalinem, w oczach opinii światowej rozgrzeszyła

go z agresji 17 września i jego licznych zbrodni.

3. Układ pozwalał Brytyjczykom umyć ręce i zwolnić ich z obietnicy obrotu integralności terytorialnej II RP. Skoro Polska podpisała pakt z Sowietami – rozumowali Anglicy – przyszły przebieg granic między tymi państwami stał się kwestią, którą muszą rozstrzygnąć między sobą. To już nie jest nasz problem!

Tak, to nie przypadek, że Winston Churchill i Anthony Eden tak silnie naciskali na Sikorskiego, żeby podpisał pakt z bolszewikami w zaproponowanym przez Moskwę brzmieniu. Generał Sikorski w swojej dziecięcej prostoduszności nie dostrzegał, że godząc się na to, wprowadza Polskę w śmiertelną pułapkę. Był święcie przekonany, że zawarty przez niego układ będzie miał epokowe znaczenie – stanie się podstawą do trwałej przyjaźni polsko-sowieckiej opartej na obopólnym zaufaniu...

Ignacy Matuszewski, czytając podobne deklaracje Sikorskiego, łapał się za głowę. Dowodził, że przeciwnicy układu z Sowietami reprezentują realistyczny sposób myślenia („realistic thinking”), a jego zwolennicy sposób myślenia oparty na pobożnych życzeniach („wishful-thinking”). Wiara w „dobrą wolę” Sowietów, w to, że po wojnie Stalin grzecznie odda Polsce jej ziemie wschodnie, była, zdaniem Matuszewskiego, naiwnością.

Matuszewski nie negował oczywiście jedyne go pozytywnego skutku, który odniósł układ Sikorski-Majski. Czyli zwolnienia z łagrów i sowieckich więzień tysięcy Polaków. Jednocześnie nie mógł zrozumieć, dlaczego Sikorski zgodził się na zaproponowaną przez Sowietów upokarzającą formułę. Czyli ogłoszenie przez władze bolszewickie „amnestii” dla polskich obywateli. Przecież ci ludzie



■ niczego złego nie zrobili. A amnestionuje się pospolicich przestępców.

W artykule „Pakt” z 25 marca 1942 r. Matuszewski wskazywał na bardzo niepokojące zachowania Sowietów, które potwierdzały jego najgorsze obawy. Potwierdzały, że Sowiety nie są żadnym „przyjacielem” Polski – jak dowodzili to zwolennicy Sikorskiego – ale jej śmiertelnym wrogiem. Chodziło przede wszystkim o odmowę wyjaśnienia losu tysięcy polskich oficerów, policjantów i urzędników, którzy nie zgłosili się do tworzonyj w Bolszewii armii gen. Władysława Andersa.

„Zaginięcie obozu z 7 tysiącami ludzi nie jest anegdotą – pisał proroczo Matuszewski – jest ponurą, krwawą, sowiecką rzeczywistością. Władze sowieckie nie mogą odszukać szeregu więźniów politycznych, którzy, oby nie dosłownie, zapadli się pod ziemię”.

Niestety, jak miało się okazać w kwietniu 1943 r., gdy Niemcy rozkopali katyńskie mogiły, nasi oficerowie zapadli się pod ziemię dosłownie. Matuszewskiego instynkt nie zawiódł.

Pułkownik wskazywał również, że w oficjalnych enuncjacjach sowieckich władz wschodnie tereny Rzeczypospolitej określane są jako terytorium ZSRS. A Polacy z tych ziem uznawani są za sowieckich obywateli. Mało tego, bolszewicy ostro protestowali, gdy polski rząd ośmielał się choćby wspomnieć o ziemiach wschodnich. Na przykład ambasador sowiecki zrobił dziką awanturę, gdy w oficjalnym polskim kalendarzu na rok 1942 znalazły się widoki Wilna i Lwowa. To przecież miasta sowieckie!

„W lipcu 1941 roku – pisał Matuszewski – mogliśmy domagać się ponownego uznania przez Sowiety granicy traktatu ryskiego. Wszystkie atuty były w naszym ręku. W lipcu mogliśmy zatem żądać od Sowietów przywrócenia ważności podpisowi Sowietów. Mogliśmy żądać od Stalina, aby więcej szacunku okazał podpisowi Lenina niż podpisowi Ribbentropa. Sowiety doskonale rozumiały sytuację ówczesną. Generał Sikorski przyczynił się do tej paradoksalnej sytuacji, że mamy stosunki dyplomatyczne z krajem domagającym się połowy ziem naszych, że mamy sojusz z tym, kto proponuje nam poćwiartowanie jako dowód prawdziwej przyjaźni. Poza triumfu i zadowolenia, jaką przybrał rząd polski po układzie lipcowym, oficjalne obwiesz-



Podpisanie układu polsko-sowieckiego w 1941 r. FOT. NAC

czenie świata, że Stalin pragnie »Polski potężnej i wielkiej«, nagonka na każdego, kto ostrzegał przed niebezpieczeństwem, i denuncjowanie go sojusznikom jako przeciwnika zwycięstwa, to właśnie stworzyło sytuację, w której szeroka opinia na świecie może już nie rozróżniać, kiedy objęcie, jakim Sowiety Polskę otaczają, jest uściskiem przyjaźni, a kiedy uściskiem śmierci. Pakt był zły”.

Gebert i FBI

Jaką nagonkę miał na myśli Matuszewski? Nagonkę na siebie. O sprawie tej pisze w obszernym wstępie do pism Sławomir Cenckiewicz. I jest to sprawa szokująca. Otóż gen. Sikorski wyjątkowo źle znośił krytykę swoich poczynąń, którą na łamach prasy za oceanem prowadził Matuszewski. I postanowił niezłomnemu polskiemu patriocie zamknąć usta za pomocą niegodnej intrygi. Otóż Sikorski zwrócił się o pomoc w zneutralizowaniu swojego rodaka do... amerykańskich tajnych służb.

Brudną misję wziął na siebie specjalista od takich operacji, czyli Józef Retinger. Tajemniczy człowiek, który konsekwentnie wypychał Sikorskiego – a wraz z nim Polskę – w objęcia Moskwy. Retinger w Waszyngtonie spotkał się z przedstawicielami Departamentu Sprawiedliwości. Przedstawił Matu-

szewskiego i jego politycznych przyjaciół jako groźnych proniemieckich „faszystów”, którzy wywołują tarcia w koalicji antyhitlerowskiej. Retinger zażądał, żeby Amerykanie ukrócić tę działalność.

W efekcie Matuszewski został objęty ścisłą inwigilacją ze strony FBI na mocy Foreign Agent Registration Act. A więc de facto polski publicysta został uznany za człowieka działającego na szkodę interesów USA.

Jednocześnie niezwykle agresywną, plugawą kampanię oszczerstw rozpętali

Sikorski miał również zaapelować do komunistów, żeby z Matuszewskim „zrobili porządek”. Bolszewikom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać

przeciwko Matuszewskiemu amerykańscy komuniści. W licznych prasowych napaściach nazywali pułkownika „nazistą”, „ślugusem Hitlera”, „obszarnikiem” i... „antysemity”. To ostatnie było o tyle absurdalne, że Matuszewski miał korzenie żydowskie. Całą akcją kierował Bolesław

Gebert, sowiecki agent o pseudonimie Ataman, szef Biura Polskiego przy Komitecie Centralnym Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych.

Sławomir Cenckiewicz ujawnia fakty jeszcze bardziej szokujące. Podczas swojej wizyty w Stanach Zjednoczonych w grudniu 1942 r. gen. Sikorski nawiązał bliski kontakt z polskimi komunistami, m.in. ze wspomnianym Gebertem. To bolszewicy organizowali masowe wiece poparcia polskiego premiera, to oni wynosili go pod niebiosa w swojej prasie.

20 grudnia podczas komunistycznej masówki w Detroit premier polskiego rządu ostro zaatakował Matuszewskiego i wspierających go antysowieckich niepodległościowców. „Kto krytykuje moje porozumienie z Rosją – grzmiał z trybuny Sikorski – jest agentem Goebbelsa i winien dostać Żelazny Krzyż”. Zebrani na sali komuniści oczywiście zgotowali mu owację na stojąco.

Według jednej z wersji Sikorski miał również zaapelować do komunistów, żeby z Matuszewskim „zrobili porządek”. Bolszewikom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. W 1943 r. zintensyfikowali oni ataki prasowe na Matuszewskiego, pisali na niego donosy do amerykańskich władz, w których domagali się niezwłocznego aresztowania „polskiego nazisty”. Czerwoni rozrzucaли również w skupiskach Polonii amerykańskiej i w fabrykach zniesławiające Matuszewskiego ulotki.

„Co zacc ten pan? – czytamy w jednej z nich. – Jest on najkrzykliwszym adwokatem krzyżactwa. Ten pułkownik nie tylko pijał i polował z Göringami. Jego reżym naśladował każdą hitlerowską metodę gwałtu i terroru. Na rękach pułkowników Matuszewskich jest jeszcze krew polskich robotników i chłopów. Matuszewski chce Polski nazistowskiej, ponieważ wolna, demokratyczna Polska by nie przyjęła służalców hitlerowskich. Każdy, kto bierze udział w wiecu Matuszewskiego, daje mu hałę, pomaga Hitlerowi, zagraża życiu naszych dzieci, bezpieczeństwu naszych domów, uwolnieniu Polski. Bojkotujcie te zmięje!”.

Ulotka ta wydana została, gdy Matuszewski był już rozpracowywany i szykanowany przez FBI. Na cel wzięty go również służyły polskie i sowieckie. Wszystkie te siły i środki zostały zaangażowane tylko po to, żeby zatrzymać skromnego polskiego emigranta.

Człowieka zasad, który swoim piórem próbował zaprotestować przeciwko oddaniu swojej ojczyzny na pastwę tyranii. Oficera, którego redutą były biurko i maszyna do pisania.

Tak, to bardzo smutna historia.

O podłości komunistów, którzy bezpardonowo niszczyli każdego obrońcę niepodległej Polski.

O cynizmie Amerykanów, którzy bez mrugnięcia okiem godzili się na oddanie Rzeczypospolitej do sowieckiej strefy wpływów. Na pastwę „sympatycznego” wujka Joe.

A wreszcie o małości polskiego premiera, który gotów był szukać pomocy u obcych, aby zwalczać swojego rodaka.

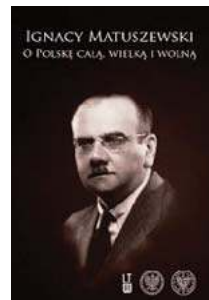
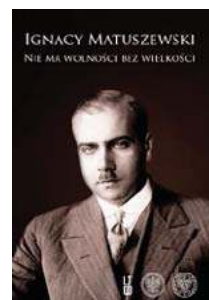
Tak, świat to wyjątkowo paskudne miejsce. Miejsce, w którym ludzie prawi, ludzie, którzy mają odwagę wyrażać niezależne sądy i bronić dobrej sprawy, nie są mile widziani. Tacy ludzie są wdeptywani w ziemię.

Ignacy Matuszewski głęboko przeżył haniebne ataki, których padł ofiarą. Represje ze strony amerykańskich „sojuszników” i kalumnie, które rzucał na niego własny rząd. Potwornym ciosem była dla niego wiadomość o śmierci ukochanej córki Ewy, która walczyła jako sanitariuszka w powstaniu warszawskim i została zamordowana przez Niemców. Na dno rozpacz zawiódła go apokaliptyczna katastrofa, która spadła na Polskę w roku 1945.

Ignacy Matuszewski był patriotą absolutnym. Żył Polską i dla Polski. Gdy jej los został przypieczętowany, jego życie utraciło sens. Zmarł 3 sierpnia 1946 r. w Nowym Jorku. Nagle, niespodziewanie. W kwiecie wieku.

Misja Cenckiewicza

Z biegiem lat pamięć o Ignacym Matuszewskim uległa zatarciu. Kiedy gen. Sikorskiemu stawiano pomniki, pamięć o pułkowniku kultywowała garstka badaczy i pasjonatów historii. Teraz zmieniło się to dzięki prof. Sławomirowi Cenckiewiczowi. Matuszewski miał szczęście, że wiele lat po jego śmierci pojawił się badacz, który za swoją życiową misję uznał przywrócenie pułkownika Polakom.



**IGNACY MATUSZEWSKI,
SŁAWOMIR CENCKIEWICZ (RED.)
„NIE MA WOLNOŚCI BEZ WIELKOŚCI”,
„O POLSKĘ WIELKĄ I WOLNĄ”**

LTW/WBH/IPN

W 2016 r. prof. Cenckiewicz doprowadził do sprowadzenia do Polski prochów Ignacego Matuszewskiego. A teraz zebrał i wydał jego pisma, opatrując je aparatem naukowym i poprzedzając wstępem, w którym polityka i historia przeplatają się z poezją. Najbliższymi przyjaciółmi pułkownika byli bowiem Kazimierz Wierzyński i Jan Lechoń.

Imponująca edycja pism Ignacego Matuszewskiego składa się z dwóch obszernych tomów. „Nie ma wolności bez wielkości” i „O Polskę wielką i wolną”. W sumie ponad 1850 stron! Na kartach tych znalazły się niemal wszystkie teksty Matuszewskiego wydane w latach 1912–1946. Najciekawsze pochodzą z okresu drugiej wojny światowej, gdy pułkownik – jako jeden z niewielu Polaków – miał odwagę ostrzegać, że polityka polskich władz prowadzi Rzeczpospolitą wprost ku przepaści.

Matuszewski był zdeklarowanym przeciwnikiem Stanisława Mikołajczyka, którego uważał za zdrajcę sprawy polskiej. A akcję „Burza” – w ramach której żołnierzom AK kazano ujawnić się przed bolszewikami i pomagać Armii Czerwonej – uważał za fatalnie chybione. Za wyrok śmierci wydany na własnych żołnierzach przez kierownictwo Polskiego Państwa Podziemnego.

Mimo upływu kilkunastu lat teksty Ignacego Matuszewskiego porażają trafnością sądów i przewidywań. Siłą argumentów i odwagą cywilną pułkownika. Człowieka, który walczył z rządem polskim o ratowanie Polski.

Chylę przed panem czoła, panie pułkowniku.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Przegląd
holenderskiego
oddziału Waffen-SS
FOT. ALAMY/BEGW

1931–1945

/ Nationaal-Socialistische Beweging der Nederlanden

Holendrzy w służbie Hitlera



Arkadiusz Karbowski

Po klęsce Holandii miejscowi narodowi socjaliści podjęli współpracę z Niemcami. Wielu z nich walczyło na froncie wschodnim

W grudniu 1931 r. na mapie politycznej Holandii pojawił się Narodowo-socjalistyczny Ruch Holenderski – NSB (Nationaal-Socialistische Beweging der Nederlanden). Organizacji przewodził od początku istnienia urzędnik państwowy, pracujący w prowincji Utrecht Anton Mussert (urodzony w 1894 r.). Wzrost znaczenia partii nastąpił w 1935 r., kiedy to podczas wyborów samorządo-

wych otrzymała ona 295 tys. głosów. Niestety, wkrótce po nich NSB zaczął ewoluować w stronę pozycji radykalnych. Procesy hitleryzacji NSB spowodowały, że w programie partii pojawiły się praktycznie nieobecne do tamtej pory rasizm i antysemityzm. Te tendencje pogłębiły się wraz z pojawieniem się w strukturach NSB osób o skrajnych poglądach w rodzaju Rosta van Tonningena, zwolennika bliskich relacji z hitlerowskimi Niemcami. Radykalizacja NSB została dostrzeżona przez wyborców, którzy dali wyraz swej krytycznej ocenie tego procesu, oddając na NSB w wyborach parlamentarnych w 1937 r. tylko 171 tys. głosów.

Po wybuchu II wojny światowej partia stała się obiektem niezbyt dolegliwych represji ze strony rządu holenderskiego. W reakcji na niemiecką inwazję Danii i Norwegii władze w Amsterdamie podjęły kroki zmierzające do internowania przywódców i działaczy NSB. Przeciw takiemu rozwiązaniu zaoponował przewodniczący armii gen. Henri Winkelman. Ostatecznie liczbę osób, których poddano internowaniu, zredukowano do 31, ograniczając się tylko do zatrzymania

najbardziej filoniemieckich polityków NSB z Rostem Tonningem na czele.

Po inwazji

Co ciekawe, decyzją o internowaniu nie został objęty Anton Mussert, choć on sam – będąc przekonany o tym, że to nastąpi – zaczął się ukrywać. Jakkolwiek by oceniać działalność NSB, a proniemieckie nastawienie partii było faktem, nie ulega wątpliwości, że jej członkowie chcieli w poczuciu patriotyzmu walczyć za swój kraj i daleko im było z pewnością do przyjęcia postawy renegackiej. Dbałość o holenderskie interesy narodowe była nie do pogodzenia z jakimikolwiek próbami nawiązywania kontaktów z państwem, które dokonało inwazji na Holandię. Stąd NSB nie stała się niemiecką piątą kolumną.

Ta konstatacja nie oznacza, że nie było pewnych indywidualnych przypadków zdrady. Do tego rodzaju działań należy z pewnością zaliczyć udzielenie pomocy przez członków organizacji Sport en Spel, zrzeszającej Holendrów mieszkających

w Niemczech i posiadających także członkostwo w NSB, niemieckim spadochroniarzom w opanowaniu holenderskich mostów. Znany jest co najmniej jeden taki przypadek, związany z zajęciem mostu w miejscowości Gennep. Anton Mussert, uznając uczestnictwo w tym przedsięwzięciu za haniebne, pozbawił uczestników tej eskapady członkostwa w partii.

Kłeska poniesiona w wyniku niemieckiego ataku spowodowała, że rząd królewski wraz z królową Wilhelminą opuścili Holandię, udając się na emigrację do Wielkiej Brytanii. W okupowanym kraju wytworzył się stan swoistej politycznej pustki, którą zamierzała wypełnić NSB, licząc na to, że otrzyma od Niemców możliwość utworzenia rządu, który akceptując niemiecką hegemonię w Europie, mógłby sprawować władzę w kraju. Tymczasem Berlin takiego kroku – jak się okazało – wykonać nie zamierzał.

18 maja 1940 r. kanclerz Hitler powołał na stanowisko Reichskommissar Rzeszy w Holandii Artura Seyss-Inquarta, austriackiego narodowego socjalistę. Jego rządy w Kraju Tulipanów miały, jak się wydaje, przygotować Holandię do integracji z III Rzeszą w ramach tworu, który planowano powołać w postaci Wielkogermańskiej Rzeszy. Holendrzy uznawani byli za rasowo bliskich Niemcom Germanów, godnych do zamieszkiwania we wspólnym państwie.

Bez wątpienia takiego zaszczytu nie zamierzał dostąpić Anton Mussert. Zdecydowanie negatywnie wyrażał się on o owej koncepcji. Chęć obrony holenderskich interesów narodowych nakazywała mu odrzucić niemieckie dążenia integracyjne. Leider (Wódz) NSB widział Holandię jako odrębny kraj, choć podporządkowany Niemcom. Prawdopodobnie dlatego Niemcy nie chcieli przekazać mu nawet tej części władzy, jaką posiadał w Norwegii premier Vidkun Quisling.

Ludzie stojący na czele aparatu SS, tacy jak SS-Reichsführer Heinrich Himmler czy SS-Obergruppenführer Gottlob Berger, wspierali będących zwolennikami integracji z Rzeszą przeciwników Musserta w partii. Organizacje Nederlandse SS (potem Germanse SS) czy Weer Afdeling (Od-

ziały Obrony będące odpowiednikiem niemieckiej SA) zaczęły przekształcać się w struktury autonomiczne, nad którymi lider NSB utracił kontrolę. Rywalizacja między „niepodległościowym” a wielkogermańskim skrzydłem NSB doprowadziła partię na skraj rozłamu. Dopiero interwencja komisarza Rzeszy wspierającego Musserta uratowała jej formalną jedność. O przekazaniu władzy w jego ręce nie było jednak mowy. Jedyne, na co się Hitler zdecydował, to uznanie szefa NSB za wodza narodu holenderskiego (Leider van het Nederlandse Volk).

SS-Division „Wiking”

Ważnym ideowym komponentem NSB Musserta był antykomunizm. Uwidocznił się w momencie inwazji III Rzeszy na

ZSRS. Już w lipcu 1940 r. Hauptamt SS (Urząd SS) rozpoczął na terenie Holandii rekrutację Holendrów do oddziałów Waffen-SS. Zgłaszających się ochotników (ok. 80 proc. stanowili członkowie NSB) przyjmowano do pułków SS-Westland i SS-Nodrwest (został rozwiązany), z których ten pierwszy włączony został później do 5. Dywizji Pancerniej SS „Wiking”. Anton Mussert nie był z faktu rozpoczęcia rekrutacji zadowolony, czego wyrazem był wydany przez niego zakaz wstępowania do tej jednostki. Dopiero nacisk niemiecki zmusił go do zmiany decyzji w tej sprawie.

22 czerwca 1941 r. rozpoczęła się operacja „Barbarossa”. W składzie sił inwazyjnych znalazła się Dywizja Pancerna „Wiking”. Liczebność dywizji wynosiła 19 377 żołnierzy i oficerów, z których 631 było Holendrami. Trzy miesiące później ich liczba wzrosła do 821. Dywizja uczestniczyła w ciężkich walkach z Armią Czerwoną na Ukrainie. Brutalne realia wojny

na wschodzie i bezwzględny sposób postępowania z partyzantami i cywilami, w czym brali udział holenderscy esesmani, ukazuje fragment prywatnego dziennika jednego z nich. Pod datą 4 lipca pisał:

„Zasadzka urządzona przez Rosjan, także Rosjan przebranych jak cywile. Zostaliśmy ostrzelani z okienka w piwnicy. Wrzuciliśmy dwadzieścia litrów benzyny do dziury i dwa ręczne granaty. Wielki huk i płomień. W ciągu kilku minut wyszło dwunastu cywilów, w tym siedmioro Żydów, a ośmiu zostało zabitych przez granaty ręczne. Żydzi musieli najpierw wykopać swój grób, zanim ich zastrzeliliśmy. Wśród wyżej wspomnianych dwunastu były trzy kobiety, jeśliby można je było w ogóle nazwać kobietami. Jeden żydowski komisarz sam musiał wykonać stryczek, na którym został powieszony”.

Wybuch wojny z ZSRS wywołał w wielu krajach próby powołania do życia narodowych legionów złożonych z ochotników mających zamiar wziąć udział w anty bolszewickiej krucjacie na wschodzie Europy. W Holandii pomysł utworzenia legionu





■ zgłosił 28 czerwca 1941 r. lider Frontu Narodowego Arnold Meijer. Tę inicjatywę wsparł również Mussert. Obaj politycy wyobrażali sobie, że legion będzie załącznikiem holenderskiej armii narodowej. Inaczej postrzegały tę kwestię władze niemieckie.

Legion Niederlande

10 lipca 1941 r. Reichskommissar Arthur Seyss-Inquart ogłosił oficjalnie powstanie Ochotniczego Legionu Holenderskiego – Vrijwilligerslegioen Nederland. Wbrew oczekiwaniom holenderskich polityków legion został włączony do Waffen-SS. Mundury, komenda i regulaminy miały być niemieckie. Jedynym ustępstwem, na które wyrażono zgodę, to posiadanie przez ochotników odznaki identyfikującej ich narodowość w postaci trójkolorowej flagi pomarańczowo-biało-niebieskiej oraz opaski Freiwilligen Legion Niederlande. Zamiast standardowych run SS na kołnierzach mundurów miał znaleźć się wilczy hak (Wolfsangel) – symbol NSB. Przysięgę składano na wierność Adolfowi Hitlerowi, ale również holenderskiej fladze.

Posunięcia niemieckie spowodowały rezygnację z poparcia dla idei legionu Meijera. Natomiast w postanowieniu wspierania werbunku do legionu trwał Mussert, wzywając 11 lipca członków NSB do zaciągania się do jednostki. Lider holenderski miał nadzieję, że uda się utworzyć przynajmniej jedną holenderską dywizję. Nadzieje te okazały się płonne, choć trzeba przyznać, że działacze NSB stanowili 40 proc. żołnierzy pierwszego legionowego kontyngentu. Na dowódcę jednostki wyznaczono cieszącego się powszechnym autorytetem gen. Hendrika A. Seyffardta. W rzeczywistości ze względu na wiek 69 lat generał był tylko nominalnym dowódcą, pełniąc funkcję osoby odpowiedzialnej za rekrutację i pomoc społeczną dla członków rodzin.

Faktycznym dowódcą legionu został SS-Standartenführer Otto Reich. Generał Seyffert ukończył Królewską Akademię Wojskową w Bredzie. Pnąc się po szczeblach kariery zawodowej, otrzymał awans na generała, pełniąc w latach 1929–1934 funkcję szefa sztabu general-

nego armii holenderskiej. Po przejściu na emeryturę, będąc osobą o poglądach narodowo-konserwatywnych, związał się z NSB. Poparł powstanie legionu antybolszewickiego pod warunkiem, że będzie to stricte holenderska jednostka. Jak wiadomo, tak się nie stało. Generał podał się dymisji. Nie została ona przyjęta i był szef sztabu pozostał na swym stanowisku. W 1943 r. otrzymał nawet nominację na mającego odpowiadać za służby specjalne członka holenderskiego gabinetu cieni mającego doradzać komisarzowi Seyssowi-Inquartowi.

Proces szkolenia legionistów przechodzili na poligonie w Arys (Orzysz) w Prusach Wschodnich, skąd w styczniu 1942 r. przerzucono ich na Front Wołchowski. Zgodnie z raportem z 9 stycznia w jednostce służyło 2937 żołnierzy, wśród nich 26 Flamandów, 700 Niemców i 2207 Holendrów. Legioniści zajęli pozycje między miejscowościami Czudowo i Nowogródek, luzując 90. Pułk Piechoty z 20. Dywizji Piechoty. Ich zadaniem była obrona zachodniego brzegu rzeki Wołchow, gdzie czerwonoarmiści zamierzali utworzyć przyczółek. Pierwszymi ofiarami walk na froncie wschodnim było sześciu żołnierzy kolumny transportowej, która wpadła w zasadzkę w okolicy wsi Gusi. Teren, na którym operowali legioniści, był bardzo zalesiony i najeżony licznymi sowieckimi bunkrami. Holendrzy z mozołem systematycznie je niszczyli, budując przy okazji własne. Poważnym problemem była także działalność partyzantów, których po ujęciu i przesłuchaniu z zasady rozstrzeliwano.

11 lutego 1942 r. legion stoczył pierwszą walkę o drogę w miejscowości Gusi Gora. Podczas walk zginęło sześciu Sowietów, a trzech wzięto do niewoli, z których jeden – pochodzenia żydowskiego, jak zapisano w dzienniku bojo-

wym – został zabity podczas ucieczki. Zacięte walki w okresie luty–marzec kosztowały Holendrów spore straty. Podawane w raporcie z 27 marca stany osobowe legionu wynosiły 50 oficerów (było 65), 243 podoficerów (było 290) i 1566 żołnierzy (było 2418). 4 marca w oficjalnym „Biuletynie Wehrmachtu” legioniści zostali wyróżnieni pochwałą za udział w walkach wokół jeziora Ilmeń.

W kwietniu na holenderskie pozycje obronne w okolicach spadło uderzenie dwóch bolszewickich jednostek: 366. Dywizji Strzeleckiej i 305. Dywizji Syberyjskiej. Falowe ataki czerwonoarmistów udało się odeprzeć. Ogółem podczas operacji bojowych na Froncie Wołchowskim legioniści wzięli do niewoli 3,5 tys. sowieckich jeńców. W uznaniu zasług odznaczono 32 z nich Krzyżami Żelaznymi I klasy i 158 Krzyżami Żelaznymi II klasy. 28 czerwca w specjalnym rozkazie podziękował holenderskim ochotnikom za poświęcenie i bohaterską postawę wykazaną w walkach na Froncie Wołchowskim gen. Georg Lindemann, dowódca 18. Armii.

Latem legionistów podporządkowano 2. Zmotoryzowanej Brygadzie SS (SS-Brigade 2) i przerzucono na front w okolice Leningradu. Otrzymali rozkaz ochrony linii kolejowej między Leningradem a Nowogrodem wraz z 285. Dywizją Zabezpieczenia. Nieco wcześniej – 1 kwietnia – z funkcji dowódcy odwodzony został, nie lubiany przez żołnierzy, dotychczasowy dowódca SS-Oberführer Otto Reich. Zastąpił go na tym stanowisku początkowo SS-Obersturmbannführer Arved Theuermann, a od 15 lipca 1942 r. SS-Obersturmbannführer Josef Fitzthum. Na skutek strat siła bojowa legionu zmniejszyła się do 16 oficerów, 79 podoficerów, 478 żołnierzy (dane dotyczą żołnierzy przebywających na pierwszej linii).

W odwrocie

W sierpniu Legion Nederland przeznaczono do udziału w operacji „Nordlicht”, mającej na celu ostateczne zdobycie Leningradu. Zanim doszło do jej rozpoczęcia na południe od jeziora Ładoga, do ofensywy przystąpiła Armia Czerwona. Holendrów skierowano do miejscowości Krasnoje Sieło. Tam walczyli w składzie utworzonej Kampfgruppe Fitzthum zło-



U góry: aresztowanie Antona Musserta, przywódcy Narodowo-Socjalistycznego Ruchu Holenderskiego FOT. ARCHIWUM



zonej z Norwegów i Holendrów oraz Łoty-
szy 19. i 20. batalionów Schuma. 4 grudnia
1942 r. odcinek zajmowany przez Grupę
Bojową zaatakowała sowiecka jednostka
karna. W ogniu zaciętych walk zabito
350 Sowieców, a 42 wzięto do niewoli,
tracąc 30 zabitych, 66 rannych i trzech
zaginionych. W styczniu 1943 r. Sowieci
rozpoczęli działania ofensywne nazy-
wane tzw. drugą bitwą o jezioro Ładoga.
Holendrzy i tym razem mężnie stawiali
opór atakującym sowieckim oddziałom.

Podczas walk wyróżnił się 19-letni
SS-Sturmmann Gerardus Mooyman

z 14. Kompanii Przeciwpancernej. Ów
ochotnik urodził się 23 września 1923 r.
w miejscowości Apeldoorn. Wiosną
1942 r. zaciągnął się do Waffen-SS.
Początkowo był łącznikiem. Jego prośby
kierowane do dowódcy o przeniesienie do
obsługi baterii nie znalazły zrozumienia,
dopiero straty spowodowały, że życzeniu
młodego wolontariusza stało się zadość.
Była to, jak się okazało, bardzo trafna
decyzja. Mooyman zasłynął podczas starć
toczonych w lutym 1943 r. jako strzelec
75 mm armaty PAK 97/38, kiedy udało
mu się wyeliminować z walki 13 czołgów

sowieckich. W uznaniu zasług został on
odznaczony Krzyżem Rycerskim, który
wręczył mu 26 lutego 1943 r. generał
artylerii Johann Sinnhuber, dowódca
28. Dywizji Strzelców (28. Jäger-Division).
Mooyman był pierwszym Holendrem,
który otrzymał tak wysokie odznacze-
nie. Te dokonania młodego ochotnika
wymagały z pewnością dużej odwagi. On
sam tak opowiadał o tym, co wtedy czuł,
w wywiadzie udzielonym w 1967 r.:

„Wielu moich towarzyszy broni i prze-
łożonych uznawało mnie za nieustras-
zonego, tymczasem podczas każdego
ataku strasznie bałem się śmierci. Bałem
się zginąć, ale większe przerażenie
wzbudzała we mnie wizja dostania się
w ręce Rosjan. Każdy wyczyn, które-
go dokonałem, zawdzięczam dużemu
szczęściu. Podczas kampanii rosyjskiej
zniszczyłem łącznie 23 czołgi nieprzyja-
ciela, część z nich przy użyciu granatnika
Panzerfaust. Moi towarzysze mieli mnie
za bohatera”.

Mooyman latem 1943 r. skierowany
został na kurs podoficerski, a potem do
szkoły oficerskiej w Bad Tölz. 21 czerwca
1944 r. uzyskał awans na SS-Untersturm-
führera. 4 maja 1945 r. dostał się do
niewoli amerykańskiej, z której uciekł.
Aresztowany przez władze holenderskie,
znowu podjął udaną próbę ucieczki. Aresz-
towany po raz kolejny, skazany został za
służbę w Waffen-SS na karę sześciu lat
więzienia, które po trzech latach opuścił.
Jednostkę, w której służył, 27 kwietnia
1943 r. wycofano z linii frontu do obozu
Grafenwöhr, gdzie 22 maja 1943 r. ją
rozwiązano.

Zanim doszło do tego, 5 lutego 1943 r.
zamachowiec student Jan Verleun z komu-
nistycznej grupy CS-6, kierowanej przez
neurologa dr. Gerrita Kasteina, ciężko ra-
nił generała, oddając do niego dwa strzały
z pistoletu. W następstwie odniesionych
ran generał dzień później zmarł w szpi-
talu. Bezpośredni zabójca poniósł za ten
czyn zasłużoną karę. Aresztowany przez
Niemców i skazany na śmierć, został
7 stycznia 1944 r. rozstrzelany. Natomiast
Kastein, również aresztowany, popeł-
nił samobójstwo. Na frontach II wojny
w szeregach Waffen-SS służyło 25 tys.
holenderskich ochotników. Po wojnie
wielu poddano represjom. Nie uniknął ich
również Anton Mussert. Lidera NSB po
dwutygodniowym procesie rozstrzelano
7 maja 1946 r. w Waalsdorpervlakte.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Mikołaj Iwanow

Szmidt powiedział Stalinowi:
„Jak nie przestaniesz
niszczyć partii, to tymi
moimi rękami osobiście
odkroję tobie uszy”

Sowiety / Komdiw Dawid Gutman (Dmitrij Szmidt)

Człowiek, który nie bał się Stalina

Wielki terror w Związku Sowieckim rozpętany na rozkaz Stalina przez NKWD w latach 1937-1938 to jedna z najstraszliwszych

tragedii w historii ludzkości. Do najbardziej ohydnych jego stron należało powszechne zakłamanie. Setki tysięcy ludzi oskarżano o wymyślone przestępstwa, które nigdy nie były dokonane ani nigdy nie były planowane. Jeszcze bar-

dziej ohydne było to, że ludzie zmuszano, by przyznali się do tych bzdurnych win i występowali jako samooskarżyciele.

Nawet poplecznicy Lenina, starzy bolszewicy, którzy początkowo byli ostoją nowej władzy komunistycznej i uosabiali

niezlomność i ofiarność w walce o nowy „wspaniały” ustrój komunistyczny, w okresie wielkiego terroru przekształcili się w symbole tchórzostwa i zdrady, „wściekłych psów kapitalistycznych”, których należało bezwzględnie zniszczyć. Lew Kamieniew, Grigorij Zinowjew, Nikołaj Bucharin, Gienrich Jagoda i wielu, wielu innych działaczy partyjnych, uosabiających sobą leninizm, w procesach pokazowych przyznawali się do bycia polskimi, angielskimi lub japońskimi szpiegami, do planowania masowego otrucia ludzi sowieckich, do chęci zgładzenia samego Stalina i do wielu innych bzdurnych zbrodni...

Kłamstwo i terror

Niemiecki system narodowosocjalistyczny pod tym względem był jasny i przejrzysty. Tutaj też rządzi terror, ale terror jasno określony, mający wyraźnych wrogów: Żydów, homoseksualistów, Romów i innych. Tu były jasne reguły gry: przynależność do narodu niemieckiego już otwierała drogę do robienia kariery politycznej czy wojskowej. Nie-Aryjczyk pod żadnym pozorem nie mógł być przyjęty do ekipy rządzących. Żyd to wróg odwieczny skazany na zagładę. Hitlerizm wcale nie ukrywa swego zbrodniczego oblicza. Norymberskie prawa rasowe, stanowiące podstawę polityki państwa, traktuje się w III Rzeszy jak świętość, prawie jak namiastkę konstytucji.

Wielki terror stalinowski to zjawisko unikatowe w historii ludzkości. Był to terror masowy zarówno od strony milionów jego ofiar, jak i oprawców. Komuniści w celu umocnienia swej władzy musieli ciągle prowokować zaostrezenie konfliktów klasowych w społeczeństwie sowieckim, podsycać wrogość i nienawiść jednych do drugich. U szczytu wielkiego terroru miliony wiernych „stalinowców” – święcie wierzących w terror jako narzędzie zbudowania komunizmu – pilnowały milionów domniemych i prawdziwych wrogów ustroju zamkniętych w obozach koncentracyjnych. Podziały między wrogami a zwolennikami ustroju były bardzo luźne. Przejście z kategorii przeciwników ustroju do kategorii jego zwolenników było dość łatwe, a jeszcze prostsza była droga z kręgu wczorajszych oprawców

do kręgu „wrogów ludu”. To wszystko podtrzymywało w społeczeństwie potężne poczucie strachu, które w zamyśle Stalina i jego biura politycznego miało w zarodku sparaliżować każdą próbę oporu.

Czy w tych wyjątkowych warunkach było możliwe stawianie oporu potężnej maszynie stalinowskiego terroru? Historia zna zaledwie kilka przypadków podjęcia autentycznej, nierównej, walki przez przeciwników Stalina. Jeden z nich – otwarta konfrontacja ze Stalinem – ma znaczenie symboliczne. Świadczy o tym,



Dawid Gutman (Dmitrij Szmidt)

FOT. DOMENA PUBLICZNA

że nawet w sytuacji totalnego strachu, ogarniającego prawie wszystkich, można było odważyć się na samobójcze bohaterstwo...

Był rok 1927. W przerwie obrad partii komunistycznej do Stalina podszedł jego stary znajomy z czasów wojny domowej, dowódca jednej z dywizji kawaleryjskich Armii Czerwonej komdiw (generał) Dmitrij Szmidt. Niespodziewanie zamiast ciepłego przywitania z sekretarzem generalnym partii Szmidt rzucił się na Stalina z ostrymi oskarżeniami w grubańskiej formie. Nie przebiegając w słowach, zagroził mu fizyczną rozprawą. Jak później opowiadali świadkowie tego zdarzenia, Szmidt powiedział literalnie następujące słowa: „Jak nie przestaniesz niszczyć partii, to tymi moimi rękami osobiście odkroję tobie uszy”.

Stalin zbłądł, wysłuchał oskarżenia z kamienną twarzą, ale nie zareagował. Znał doskonale tego dowódcę „czerwonych kozaków”, wiedział, że jest zdolny

do wszystkiego. Na dodatek Szmidt zrobił ruch ręką, jakby wyjmował szablę z pochwy. Przyszły dyktator rozumiał, że z tym szalonym kozakiem nie ma żartów.

Człowiek, który w ten obraźliwy sposób pozwolił sobie rozmawiać ze Stalinem, w rzeczywistości nazywał się Dawid Gutman, a nazwisko Szmidt wziął sobie jako partyjny pseudonim na cześć słynnego oficera carskiej marynarki Piotra Szmida, przywódcy powstania marynarzy Floty Czarnomorskiej w czasie pierwszej rewolucji rosyjskiej, rozstrzelanego na podstawie wyroku trybunału wojennego w 1905 r. Dawid Gutman urodził się w 1896 r. na Podolu w rodzinie żydowskiej. Swą błyskotliwą karierę wojskową rozpoczął w armii carskiej w czasie pierwszej wojny światowej. Był niezwykle dzielny i odważny żołnierzem. Za swe czyny czterokrotnie nagrodzony został Krzyżem Świętego Jerzego, najwyższym odznaczeniem dla szeregowych i podoficerów w armii rosyjskiej. Otrzymał ten order wszystkich czterech stopni, co dla Żyda w armii rosyjskiej było czymś niezwykle.

2 x Czerwony Sztandar

Od 1915 r. Gutman należał do partii bolszewickiej. Rok 1917 miał dla niego znaczenie szczególne. Najpierw otrzymał pierwszy stopień oficerski – podporucznika, a wkrótce potem porwał go wir wydarzeń rewolucyjnych. Młodego oficera wybrano na sekretarza organizacji bolszewickiej w jednej z dywizji 12. Korpusu Armijnego. Do Armii Czerwonej zgłosił się na ochotnika jako jeden z pierwszych już w styczniu 1918 r. Chrząst bojowy w nowym bolszewickim wojsku zakończył się dla niego prawie tragicznie. Ranny, trafił do niewoli austriackiej i sąd polowy skazał go na śmierć za ignorowanie ustaleń pokojowych tzw. pokoju brzeskiego. Na szczęście dla niego egzekucja skończyła się jedynie zranieniem. Wyostał się spod trupów zabitych towarzyszy broni i znów stanął do walki.

Na jesieni 1918 r. 23-letni Dmitrij Szmidt (Dawid Gutman) już dowodzi pułkiem w Armii Czerwonej. Rok później pod jego dowództwem walczył już dywizja. W rejonie Carycyna (Stalingrad, Wołgograd) jego dywizja



Moskiewski Kreml FOT. WIKIWAND

■ walczy pod politycznym zwierzchnictwem Stalina. Przyszły wódz Związku Sowieckiego poznał wtedy Gutmana jako niezwykle odważnego dowódcę, ale jednocześnie wyjątkowo swawolnego, niezdyktynowanego, który dość często wdaje się w konflikt z dowództwem. Jednocześnie Stalin już wtedy odnotował dość nieprzyjemną dla siebie okoliczność. W Armii Czerwonej dla Gutmana był jeden absolutnie bezdyskusyjny autorytet – Lew Trocki (głównodowodzący Armii Czerwonej). W razie jakichkolwiek konfliktów z Gutmanem jedynie Trocki mógł go przywołać do porządku.

Jeszcze jeden bardzo znamieny fakt w biografii Gutmana – pierwszy Order Czerwonego Sztandaru (najwyższe odznaczenie w Armii Czerwonej w okresie wojny domowej) otrzymał on na podstawie rekomendacji Stalina za udział w obronie Carycyna. Do końca wojny domowej został on odznaczony tym orderem po raz drugi. O niezwyklej postawie młodego dowódcy dywizji świadczy również dziewięć odniesionych ran w walkach na prawie wszystkich frontach.

Lenin i jego partia nie bez podstaw uważali, że rewolucja bolszewicka w Rosji stanowi jedynie początek rewolucji światowej. Byli przekonani, że bez poparcia proletariatu krajów zachodnich

ich władza sowiecka jest skazana na porażkę. Dlatego, kiedy w Bawarii, Berlinie i na Węgrzech miejscowi zwolennicy komunizmu na zgłiszczach austro-węgierskiego i niemieckiego imperium próbowali zakładać republiki komunistyczne, w Moskwie rozpatrywano te próby jako zarodki ogarniającej cały świat rewolucji. Planowano nawiązać ścisłą współpracę z komunistami na Węgrzech i w Niemczech, aby wystąpić wspólnym frontem przeciwko burżuazji światowej.

Pod koniec maja 1919 r. do Moskwy przyleciał wojskowym samolotem jeden z przywódców komunistów węgierskich, organizator czerwonego terroru w tym kraju Tibor Szamuely. Na jego prośbę Armia Czerwona miała przeprowadzić natarcie w celu nawiązania bezpośredniego kontaktu z węgierską Armią Czerwoną. W awangardzie nacierających wojsk miała iść doborowa dywizja „czerwonych kozaków” pod dowództwem Dmitrija Szmidta, którego w związku z tym natychmiast ściągnięto do Moskwy. Odkryło się kilka spotkań Szamuelya i Szmidta. Uzgodniono detale przyszłej wspólnej walki dwóch Armii Czerwonych. Do pochodu na Węgry jednak nie doszło. Bolszewicy sami musieli prowadzić ciężką walkę o przetrwanie z nacierającymi ze wszystkich stron armiami białych.

Dywizja „czerwonych kozaków” pod dowództwem Dmitrija Szmidta należała w okresie wojny domowej do tzw. doborowych jednostek Armii Czerwonej, którym powierzano najtrudniejsze zadania. W ich szeregach znajdowali się przeważnie Kozacy ukraińscy, a także liczni Kozacy dońscy, kubańscy, uralscy i inni, którzy przyjęli władzę bolszewicką i w większości byli świadomymi komunistami. Ich wiara w bolszewizm była spotęgowana tym, że przeważająca większość Kozaków walczyła po stronie białych i uważała „czerwonych kozaków” za zdrajców. Nie mieli dla nich żadnej litości w walce. Ta nienawiść do ziomków w służbie Sowietów była spotęgowana tym, że dowodził nimi Żyd.

Miedzy Trockim a Stalinem

Już wtedy, w czasie wojny domowej, w partii bolszewickiej ukształtowały się dwa obozy: jeden aspirujący do miana „pogromców białych” i drugi będący swoistą gwardią Lenina. Jeden sformował się wokół faktycznego głównodowodzącego Armii Czerwonej Lwa Trockiego, drugi – wokół komisarza ludowego do spraw narodowości i od 1922 r. sekretarza generalnego partii



kozaków”. Mamy liczne świadectwa współczesnych o tym, że wiele genialnych opowiadań Babla, wydanych dopiero po śmierci Stalina pod tytułem „Konarmia”, opartych jest na wspomnieniach i ustnych opowieściach Szmida. Był niepowtarzalnym gawędziarzem, nazywanym wśród swoich „mit’ka” – dowcipiarz. Uwielbiał opowiadać kawały, nie stronił od wyśmiewania samego Stalina. W kręgu przyjaciół przyznawał się, że w dzieciństwie chciał zostać klaunem cyrkowym. Teraz niestety miał występować w zupełnie innym cyrku.

Nie rezygnował z kozackiego zachowania w życiu codziennym. Mógł np. wjechać na pierwsze piętro budynku swego mieszkania służbowego na koniu. Nie stronił od alkoholu. Z ludowym komisarzem obrony Klimientem Woroszyłowem zachowywał się jak ze starym przyjacielem, co „pierwszego sowieckiego marszałka” często bardzo irytowało. Sam Woroszyłow oceniał Szmida po jego aresztowaniu w sposób następujący: „Dlaczego trzymaliśmy w wojsku tego chuligana Szmida? Dlatego, że to był człowiek bojowy, który wcześniej był niezwykle dzielnym żołnierzem. Myśmy chcieli przepuścić go przez system wychowania wojskowego i zrobić z niego dowódcę z prawdziwego zdarzenia. Okazał się jednak wielkim łajdakiem”.

W otoczeniu Szmida, mimo powolnego umacniania kontroli Stalina nad partią, panował duch wojny domowej. Dla żołnierzy swej brygady był Szmida legendą, ojczulkiem, dobrym towarzy-

oczywiście nie tylko o byłych walkach na frontach wojny domowej. Czy jednak w otoczeniu Szmida rzeczywiście dojrzewał trockistowski spisek przeciwko Stalinowi? Czy wszystko, co ujawniono w śledztwie, było jedynie wymyślone na użytek propagandowy w celu rozpętania wielkiego terroru?

Dzisiaj wiadomo, że wielki terror był potrzebny Stalinowi nie w celu zniszczenia rzeczywistych wrogów, lecz w celu zniszczenia wrogów potencjalnych i wymyślonych. Stalin chciał w ten sposób zastraszyć cały naród i sprawić, by był jeszcze bardziej posłuszny w toku budowy komunistycznego systemu totalitarnego. Czy sprawa Szmida stanowiła wyjątek w tej ogromnej liczbie falsyfikatów? Czy rzeczywiście ten szalony „czerwony kozak” planował bunt przeciwko Stalinowi w Armii Czerwonej? Na te pytania dziś jeszcze nie ma odpowiedzi. Możemy jedynie snuć przypuszczenia.

Do wielkiego terroru Dmitrij Szmida nie dożył. Aresztowano go latem 1936 r. W czasie prawie 10-miesięcznego śledztwa ujawniono trockistowski spisek w Armii Czerwonej, na którego czele stał właśnie Szmida. Oprócz niego do spisku należeć mieli inni dowódcy „czerwonych kozaków” z czasów wojny domowej: Witalij Primakow, Witowt Putna, Siemion Turowski, Aleksiej Gorbatow, Ilja Dubiński, Borys Kuzmiczow i inni. Gwoli sprawiedliwości musimy przyznać, że wszyscy ci wojskowi w latach 20. należeli do zwolenników Trockiego i mieli obiektywne podstawy być niezadowoleni ze swych karier wojskowych. Uprzywilejowanymi w Armii Czerwonej byli tzw. budionowcy, walczący w czasie wojny w Pierwszej Armii Konnej pod dowództwem Siemiona Budionnego i Klimienta Woroszyłowa.

Areszt i śledztwo w sprawie Dmitrija Szmida stały się swoistą zapowiedzią wielkiego terroru i krwawej czystki w Armii Czerwonej. Śledczy według wskazówek Stalina połączyli sprawę Szmida ze sprawą marszałka Tuchaczewskiego, później marszałka Jegorowa i marszałka Bluchera. Stalin dobrze pamiętał groźbę Szmida, że „poobcina mu uszy...”. Za tę groźbę miało zapłacić również całe dowództwo Armii Czerwonej.

Józefa Stalina. Początkowo wyglądało na to, że Stalin nie ma żadnych szans w rywalizacji o przywództwo z bohaterem rewolucji i wojny domowej Trockim. Stanowisko sekretarza generalnego miało na początku charakter jedynie formalny, jednak Stalin niezwykle umiejętnie wykorzystał je do stopniowego powiększania zakresu swej władzy. Zyskał również duże wpływy w służbach specjalnych kraju (OGPU), które powoli zaczął wykorzystywać do walki z przeciwnikami politycznymi, skupionymi wokół Trockiego.

Dmitrij Szmida był jednym z niewielu bolszewików, którzy próbowali pozostać wierni swemu dowódcy – Trockiemu – do końca. Ściągał przez to na siebie gniew Stalina, który w końcu doprowadził go przed „pluton egzekucyjny”. Kariery w Armii Czerwonej już nie zrobił. Mimo że na początku lat 30. ukończył Akademię Sztabu Generalnego, przed aresztowaniem dowodził jedynie brygadą.

Próbował odnaleźć siebie w twórczości literackiej. Napisał kilka scenariuszy operowych i filmowych, blisko zaprzyjaźnił się z wybitnym pisarzem Isaakiem Bablem. Wiele opowiadał mu o wojnie domowej, o życiu i walce „czerwonych

Rewolwer
Nagant
FOT. ARCHIWUM



szem broni. Wokół niego uformował się ścisły krąg dowódców Armii Czerwonej, wywodzących się przeważnie z jednostek „czerwonych kozaków”. Spotykali się w mieszkaniu Szmida. Rozmawiali

Kalendarz / Nie tylko Bitwa Warszawska

Obraz Wojciecha Kossaka
„Zaślubiny Polski
z morzem” FOT. WIKIPEDIA

Ów rok 1920

Akurat mija stulecie od początku tego niezwykłego roku w naszych dziejach. Zdominowała go oczywiście wojna z bolszewikami, z decydującą o przyszłości Polski i Europy Bitwą Warszawską. Gdy się zaczynał, przyszłość granic wschodnich była niejasna. Rozstrzygnięcia miały się jednak także doczekać kwestie przynależności Warmii i Mazur, Górnego Śląska oraz Śląska Cieszyńskiego. Bieda, głód i chłód zaglądały w oczy mieszkańcom miast i wsi. Chłopi czekali na reformę rolną, robotnicy żądali pracy i godziwej zapłaty, mniejszości etniczne Żydów i Ukraińców domagały się autonomii, a komuniści – przyłączenia Polski do Sowietów. Brakowało fachowych, wykształconych kadr, aby uruchamiać fabryki, łączyć dawne rozbiory wspólnymi: prawem, administracją, kolejami i drogami.

Na te kłopoty nakładały się podziały polityczne i coraz ostrzejsze spory niechętnych sobie obozów. W takich okolicznościach Ignacy Jan Paderewski złożył urząd premiera, a od 13 grudnia 1919 do 9 czerwca 1920 r. premierem był Leopold Skulski, prezes klubu włościańskich



Maciej Rosalak

/ Był to rok przełomowy. Czas walki o wszystko – niezawisłość, granice i szanse rozwoju wracającej do życia Rzeczypospolitej. Co się działo w Polsce 100 lat temu

narodowców w Sejmie Ustawodawczym. Po nim 13 dni sprawował tę funkcję ludowiec Wincenty Witos (do 23 czerwca), potem polityk narodowej demokracji Władysław Grabski (27 czerwca–24 lipca) i znów Wincenty Witos, który ustąpił 13 września 1921 r. Cały czas pracował Sejm, a Naczelnikiem Państwa oraz Naczelnym Dowódcą WP był Józef Piłsudski, od 19 marca – także marszałek Polski.

Styczeń

3 stycznia – wojska polsko-łotewskie zajęły Dyneburg. Na froncie północno-wschodnim od roku toczyliśmy walki z bolszewikami, wiosną 1919 r. zajmując Wilno, Mińsk i dochodząc następnie do

rubieży I Rzeczypospolitej nad Dźwiną. Rozmowy pokojowe z bolszewikami, prowadzone jesienią 1919 r., nic nie dały i zostały zerwane. Ofensywę styczeniową gen. Edward Śmigły-Rydz przeprowadził w porozumieniu z Łotyszami na czele swojej 30-tysięcznej Grupy Operacyjnej (1. i 3. Dywizja Piechoty Legionów oraz kompania 25 czołgów) wraz z 3. Dywizją łotewską. Miasto zajęto przy 25-stopniowym mrozie, przechodząc po lodzie zamarzniętą Dźwinę. Po pobiciu i odepchnięciu 15. Armii bolszewickiej, Dyneburg i całe przedrozbiorowe Inflanty polskie przekazaliśmy Łotwie, z którą mieliśmy odtąd jak najlepsze, przyjazne stosunki.

17 stycznia – Polska wraca na Pomorze. Niemcy ratyfikowały – podpisany

28 czerwca poprzedniego roku – traktat wersalski dopiero 10 stycznia 1920 r. Do zajęcia Pomorza Gdańskiego (zwanego przez Niemców Prusami Zachodnimi) oraz Powiśla parę miesięcy wcześniej sformowano Front Pomorski pod wodzą gen. Józefa Hallera, złożony z trzech dywizji piechoty i brygady kawalerii. 17 stycznia polscy żołnierze przekroczyli dawny kordon rozbiorowy. Jedno uderzenie Pomorskiej Dywizji Strzelców złamało opór niemieckiej straży granicznej pod Gniewkowem, Wygodą i Branem. W styczniu zajęto kolejno: Toruń (17–18 stycznia), Bydgoszcz, Grudziądz, Chełmno, Chojnice, Starogard Gdański... 11 lutego ostatni żołnierze niemieccy wyszli z Gdańska, który miał stać się Wolnym Miastem.

Luty

10 lutego – zaślubin Polski z morzem dokonał gen. Józef Haller. Działo się to w Pucku, w asyście szwadronu 1. Pułku Ułanów Krechowieckich i batalionu morskowego, miejscowej ludności i władz województwa pomorskiego oraz delegacji Sejmu. Rząd reprezentował minister spraw wewnętrznych Stanisław Wojciechowski (późniejszy prezydent RP). Po mszy św. do częściowo zamarzniętej wody wjechał konno w towarzystwie kpt. Władysława Zakrzewskiego gen. Haller, który wrzucił w fale platynowy pierścień. Powiedział: „Dzisiaj od wiernego Kaszubia strażnika tego Bałtyku odbiera morską straż polski marynarz. Na znak ślubu Bałtyku z Rzeczpospolitą wrzucam jeden z pierścieni dany mi przez polską ludność Gdańska w nurty Bałtyku”. Mówił też, nawiązując do słów „Warszawianki” z 1830 r.: „Oto dziś dzień krwi i chwały. Jest on dniem wolności, bo rozpostarł skrzydła Orzeł Biały nie tylko nad ziemią polską, ale i nad morzem polskim... zawdzięczamy to przede wszystkim Miłosierdziu Bożemu, a potem wszystkim, którzy w walce nie ustawali...”.

11 lutego – uroczystość związaną z powrotem Polski nad Bałtyk urządzono we Władysławowie, gdzie w XVII w. ostatnią bazę polskiej eskadry wojennej założył Władysław IV. Tutaj gen. Haller wypłynął na morze i podziękował kaszubskim rybakom za półtorawiekowe trwanie przy ich mowie i polskich tradycjach. Łódzie rybaków otoczyły kuter generała, czemu

towarzyszyły powszechne wzruszenie i entuzjazm.

Marzec

19 marca – Józef Piłsudski Marszałkiem Polski. Z inicjatywą nadania Piłsudskiemu – „najdostojniejszemu żołnierzowi Rzeczypospolitej” – stopnia marszałka WP wystąpił do Sejmu latem 1919 r. gen. Józef Leśniewski, minister spraw wojskowych. Sejm jednak wniosek ten odrzucił. Dowódca I Brygady Legionów podczas I wojny nazywany był przez legionistów „komendantem”, a przez Austriaków „brygadierem”. Obie te nazwy nie oznaczały jednak stopnia wojskowego, tylko funkcję, którą pełnił. Tymczasem kończyły się akurat w Wojsku Polskim prace Ogólnej Komisji Weryfikacyjnej, która dokonywała przeglądu polskich kadr oficerów z dawnych armii zaborczych oraz z zaciągu patriotycznego, ustalając ich stopnie i zaszerogowanie. A tu Naczelny Dowódca WP nie tylko nie miał żadnego stopnia, lecz także wyznaczenie mu zwykłej drogi awansu,

Pierwszego Marszałka Polski przyjmując i zatwierdzając”. Formalnie i urzędowo to Naczelnik Państwa nadał ów stopień Naczelnemu Dowódcy WP. Fizycznie Józef Piłsudski mianował sam siebie, zarazem nie łamiąc obowiązujących przepisów, tylko tworząc nowe.

Kwiecień

25 kwietnia – ruszyła polsko-ukraińska wyprawa kijowska. Poprzedziły ją układ polityczny (21 kwietnia) i sojusz wojskowy (24 kwietnia) z Ukraińską Republiką Ludową Symona Petlury. Nie rozbicie Rosji sowieckiej, ale powstanie i umocnienie niepodległej, przyjaznej Polsce Ukrainy nadnieprzańskiej było celem ofensywy zbrojnej.

Armia URL złożona była wiosną z niespełna 5 tys. jeźdźców i piechurów. Miała bitnych oficerów i żołnierzy, ale stanowiących zaledwie odpowiednik jednej polskiej dywizji piechoty i brygady kawalerii. Wojska polskie na ziemiach ukraińskich liczyły wiosną ok. 60 tys. jazdy i piechoty. Od północy na południe siły



Oficerowie polscy i ukraińscy na mszy św. przed wyruszeniem na front. W środku: Piłsudski i Petlura FOT. BEGW

nawet do stopnia generała, oznaczałoby despekt nie do przyjęcia. Dlatego delegacji komisji, którzy w imieniu Józefa – 19 marca – przyszli złożyć życzenia wodzowi, poprosili go o przyjęcie stopnia... marszałka. A Piłsudski na stosownym dokumencie złożył podpis: „Stopień

te podzielono między: grupę operacyjną gen. Józefa Rybaka (od Mozyrza na Polesiu do wołyńskiego Olewska); 3. Armie gen. Edwarda Śmigłego-Rydza (główną siłę uderzeniową, faktycznie dowodzoną przez samego Piłsudskiego) na Wołyniu od Olewska do Połonnego; 2. Armie gen. ■

■ Antoniego Listowskiego od Połonnego do Płoskirowa, 6. Armii gen. Wacława Iwaszkiewicza-Rudoszańskiego od Płoskirowa do granicy rumuńskiej.

Przeciw nam stał na Ukrainie Front Południowo-Zachodni Armii Czerwonej pod dowództwem Aleksandra Jegorowa. Składał się z 12. i 14. Armii, a każda obejmowała po cztery dywizje piechoty i jedną kawalerii. Liczebnie siły polskie i sowieckie były wyrównane. Jegorow miał jeszcze pod komendą 13. Armii, ale ta znajdowała się daleko na południu, blokując Armię Ochotniczą gen. Piotra Wrangla na Krymie.

Nocą z **24 na 25 kwietnia** Piłsudski odprawiał przy moście na Słuczy 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich, złożony z synów ziemiańskich niesprzyjających dotychczas „czerwonemu” obozowi piłsudczyków. Coś takiego było w postawie i słowach Marszałka, że – jak wspominał ówczesny dowódca plutonu w 1. Szwadronie Franciszek Skibiński – odtąd „pułk pokochał go miłością absolutną”.

25 i 26 kwietnia – 3. Armia przeprowadziła udany zagon na Żytomierz. W ciągu 32 godzin pułki legionowe – w części zmotoryzowane – zajęły ważny węzeł kolejowy odległy o 80 km od linii frontu. Rozbiły 58. Dywizję Strzelców – w szeregach jej pułków zostało po kilkudziesięciu żołnierzy. Polacy stracili trzech poległych i 48 rannych, wzięli do niewoli kilkuset jeńców, zdobyli 10 dział, kilkadziesiąt ckm-ów, samochód pancerny, 12 samochodów i 280 wagonów ze sprzętem wojskowym.

27 kwietnia – pełny sukces zagonu na Koziatyn. Wykonała go 1. Dywizja Jazdy, mająca w składzie pułki o wspaniałych tradycjach bitew pod Krechowcami, Jazłowcem i Rokitną. Opanowanie Żytomierza oraz zdobycie Koziatyna, a później Malina, zachwiało frontem bolszewickim na Ukrainie. 12. Armia straciła wartość bojową, ale nie udało się jej całkowicie wyeliminować z walki, co było celem dowództwa polskiego. Pobita wycofała się za Dniepr i po miesiącu odzyskała siły...

27 kwietnia – zwycięstwo Floty Pińskiej. Polski oddział wydzielony z 9. Dywizji Piechoty gen. Władysława Sikorskiego uderzył z północy na Czarnobyl leżący u ujścia rzeki Uż do Prypeci. Zdobyl ten ważny punkt strategiczny, a Flota Pińska (okręt „Pancerny 1” i cztery motorówki) zwyciężyła znacznie silniejszą Flotyllę

Flagowy okręt Flotylli Pińskiej na Prypeci – „Pancerny 1” FOT. ARCHIWUM



Dnieprzańską. „Pancerny 1” trafił pociskiem w komorę amunicyjną kanonierki „Gubitielnyj” i zatopił ją wraz z załogą, a następnie uszkodził dwie inne. Reszta flotylli sowieckiej uciekła Prypecią na Dniepr, a nasi marynarze zdobyli w porcie czarnobylskim kanonierkę i siedem mniejszych jednostek.

28 kwietnia – pod Kijów dotarła w pościgu 3. Armia, zdobywając Stawyszczę, a następnie Fastów. 6. Armia zdobyła na południu Winnicę, Bar i Żmerynkę. Armie sowieckie nie przyjęły dalszej walki, a w polskich zarządzono kilkudniowy odpoczynek.

Maj

4 maja – z przemówienia marszałka Sejmu Wojciecha Trąpczyńskiego: „Więć o świetnym zwycięstwie, jakie odnosi żołnierz polski pod Twoim, Naczelniku, dowództwem, napawa radosną dumą cały naród polski. Za ten znoyny i krwawy bohaterski trud Wasz, który zbliża nas do upragnionego pokoju i kładzie nowe podwaliny pod potęgę Państwa Polskiego, Sejm w imieniu wdzięcznej Ojczyzny śle Tobie, Wodzu Naczelnym, i bohaterskiej armii serdeczną podziękę” (brawa, okrzyki: „Niech żyje Piłsudski!”). „Oklaski Panów dowodzą mi, że wysyłając ten telegram, czynię to w imieniu i według życzenia całego Sejmu” (brawa).

7 maja – zajęcie Kijowa przez oddziały 3. Armii. Już 3 maja do miasta wjechał

tramwajem patrol zwiadowczy i porwał z ulicy oficera, co dla bolszewików stało się sygnałem do... wycofywania się z Kijowa niemal bez walki.

9 maja – odbyła się wspólna polsko-ukraińska defilada na głównej ulicy – Chreszczatiku – niedekorowanej polskimi flagami. Wynikało to z obaw naszego dowództwa, aby mieszkańcy nie odebrali obecności wojsk polskich jako okupacji. Tego dnia Polacy opanowali przyczółki po obu stronach Dniepru.

Zajęcie Kijowa nie wywołało wśród mieszkańców Ukrainy spodziewanego przez Petlurę i Piłsudskiego entuzjazmu. Armia URL wzrosła latem 1920 r. zaledwie do kilkunastu tysięcy, ale jej oddziały po rozpoczęciu kontrofensywy sowieckiej były istotnym wsparciem dla południowej flanki frontu.

14 maja – nieudana próba sowieckiej ofensywy na froncie zachodnim, którym dowodził Michaił Tuchaczewski.

18 maja – przyszedł na świat w Wadowicach Karol Wojtyła, późniejszy papież Jan Paweł II, którego pontyfikat (1978–2005) „zmienił oblicze ziemi”: przyczynił się do upadku komunizmu w Polsce i rozpadu imperium sowieckiego. Kanonizowany 27 kwietnia 2014 r. w Niedzielę Miłosierdzia Bożego.

25 maja – nasi lotnicy dostrzegli 1. Armię Konną Siemiona Budionnego zbliżającą się do polskich wojsk w rejonie Humania. Byli to – niezależnie od siebie – Tomasz Turbiak z 5. Eskadry oraz George Crawford z 7. Eskadry Kościusz-

kowskiej, w której pod dowództwem Cedrica Fauntleroya oraz Meriana Coopera walczyło ok. 20 pilotów amerykańskich. 10 maja Crawford zatopił statek bolszewicki na Dnieprze. Fauntleroy 31 maja dostrzegł Rosjan minujących tory kolejowe na drodze polskiego pociągu pancernego. Za pomocą akrobacji lotniczych przed lokomotywą zatrzymał skład i poinformował o zasadzce. Ogółem w 1920 r. eskadra ta wykonała 462 loty bojowe, spędzając w powietrzu 682 godziny.

Podczas wojny z bolszewikami całe nasze lotnictwo miało 20 eskadr (po kilkanaście samolotów) – 15 wywiadowczych, cztery myśliwskie i jedną niszczycielską. Liczyły się głównie rozpoznanie i zwalczanie sił naziemnych. Do walk i w ogóle spotkań powietrznych dochodziło rzadko, bo bolszewicy mieli tylko cztery eskadry. Polscy lotnicy zestrzelili dwa samoloty bolszewickie.

27 maja – reorganizacja wojsk polskich na froncie ukraińskim. Rozformowano 2. Armię. Od tego czasu 3. Armia obejmowała 1. Dywizję Piechoty Legionów, 7. Dywizję Piechoty, 7. Brygadę Jazdy, 7. Dywizję Ukraińską oraz GO gen. Rybaka. W skład 6. Armii wchodziły: 12., 13. i 18. dywizje piechoty. Liczebność naszych sił nie wzrosła, natomiast bolszewicy wysłali na Naddnieprze 120 tys. żołnierzy, reanimując 12. Armię, wzmacniając 14. Armię oraz kierując tu 1. Armię Konną oraz Grupę Jakira.

Czerwiec

Nocą z **31 maja** na 1 czerwca na naszą stronę przeszła 3. Brygada Jazdy złożona z Kozaków – byłych żołnierzy Armii Ochotniczej Denikina, siłą wcielonych do Armii Czerwonej.

5 czerwca – Budionnemu udało się przeobrazić polski front pod Samhorodkiem – po 10-dniowych atakach 12. Armii, Grupy Jakira oraz 1. Armii Konnej, która w następnych dniach zajęła Żytomierz i Berdyczów, mordując, gwałcąc i grabiąc.

8 czerwca – Naczelne Dowództwo nakazało odwrót z Ukrainy. Nasze wojska cofały się bez paniki, w sposób zorganizowany, z częstymi kontratakami. W następnych tygodniach broniły kolejno linii Zbrucza, Seretu i Dniestru, natomiast zatrzymały się za Styrem i utrzymały Lwów. Pod Beresteczkiem i Brodami dojdzie do próby osaczenia 1. Armii Konnej

na przełomie lipca i sierpnia. Zadane jej straty czasowo wyeliminują ją z walki oraz umożliwią przerzucenie znacznych sił na front północny.

Lipiec

1 lipca – powołano Radę Obrony Państwa złożoną z przedstawicieli Sejmu, wojska i Naczelnika Państwa, a od 3 lipca organizowano Armię Ochotniczą pod dowództwem gen. Józefa Hallera.

4 lipca – rozpoczęła się wielka ofensywa sowieckiego frontu zachodniego pod dowództwem Michaiła Tuchaczewskiego. Zmuszony w maju do odwrotu, zebrał siły i 4 lipca rozpoczął ogromną ofensywę po hasłem: „Przez trupa białej Polski prowadzi droga do zarzewia światowego pożaru”. Niekorzystny obrót sytuacji wojennej spowodował w Polsce zaniepokojenie, a z upływem czasu trwogę, ale i determinację.

10 lipca – premier Władysław Grabski zgodził się oddać Czechom Śląsk Cieszyński podczas międzynarodowej konferencji w Spa. Pod tym warunkiem mocarstwa zachodnie obiecały pomoc – i to tylko, jeśli bolszewicy nie przyjmą oferty poko-

bolszewicka, która potwierdzała tezę niemieckiej propagandy o polskim „państwie sezonowym” oraz wybór między „Prusami Wschodnimi”, w których rozdziły się kolejne pokolenia mieszkańców, oraz „Rzeczpospolitą Polską”, której nikt z nich nie pamiętał.

12 lipca – bolszewicy zajęli Wilno, 23 lipca – Pińsk, 29 lipca – Łomżę, Białystok i Bielsk Podlaski. Siły Tuchaczewskiego tworzące front zachodni – 3., 4., 15. i 16. Armia, 3. Korpus Kawalerii Gaj-chana (właśc. Hajk Bożyszian, z pochodzenia Ormianin) i Grupę Mozyrską – liczyły na początku sierpnia 558 tys. żołnierzy, z których 136 tys. służyło w linii. Polski Front Litewsko-Białoruski gen. Stanisława Szeptyckiego miał w linii 110 tys. żołnierzy. Niewiele mniej, a jednak polskie jednostki oddawały bolszewikom kolejne miasta, nie potrafiąc skutecznie kontratakować z kolejnych rubieży, a w końcu też znad Bugu – ostatniej naturalnej przeszkody na drodze do Warszawy.

Broni brakowało, była zużyta, pochodziła z różnych arsenałów – dawnych armii zaborczych i demobilu francuskiego – a nowi poborowi i ochotnicy nie potrafili się nią posługiwać. Piłsudski zauważył, że na rozciągniętym froncie nacierający ma przewagę siłą bezwładu. Generał Tadeusz Kutrzeba wspominał: „Łatwiej było w tak mało skutecznym ogniu nacierać w lokalnej przewadze, niż niedoskonale strzelając, bronić się na miejscu słabymi siłami”.

15 lipca – Sejm uchwalił ustawę o reformie rolnej prawnie rozpoczynającej proces reformy. Ustawa przewidywała m.in. parcelację całej ziemi państwowej oraz parcelację ziemi wykupywanej przez państwo od właścicieli ziemskich.

24 lipca – utworzono Rząd Obrony Narodowej z przywódcą ludowców Wincentym Witosem jako premierem oraz socjalistą Ignacym Daszyńskim jako wicepremierem. Odniosło to pożądany skutek: do wojska zgłosiło się niemal 100 tys. ochotników. Do ostatecznego rozstrzygnięcia Wojsko Polskie przystępowało z prawie 1 mln żołnierzy, z których połowa służyła w linii. Siły Armii Czerwonej w Polsce były podobne, ale rezerwy nieporównanie większe.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Dokończenie w następnym numerze.



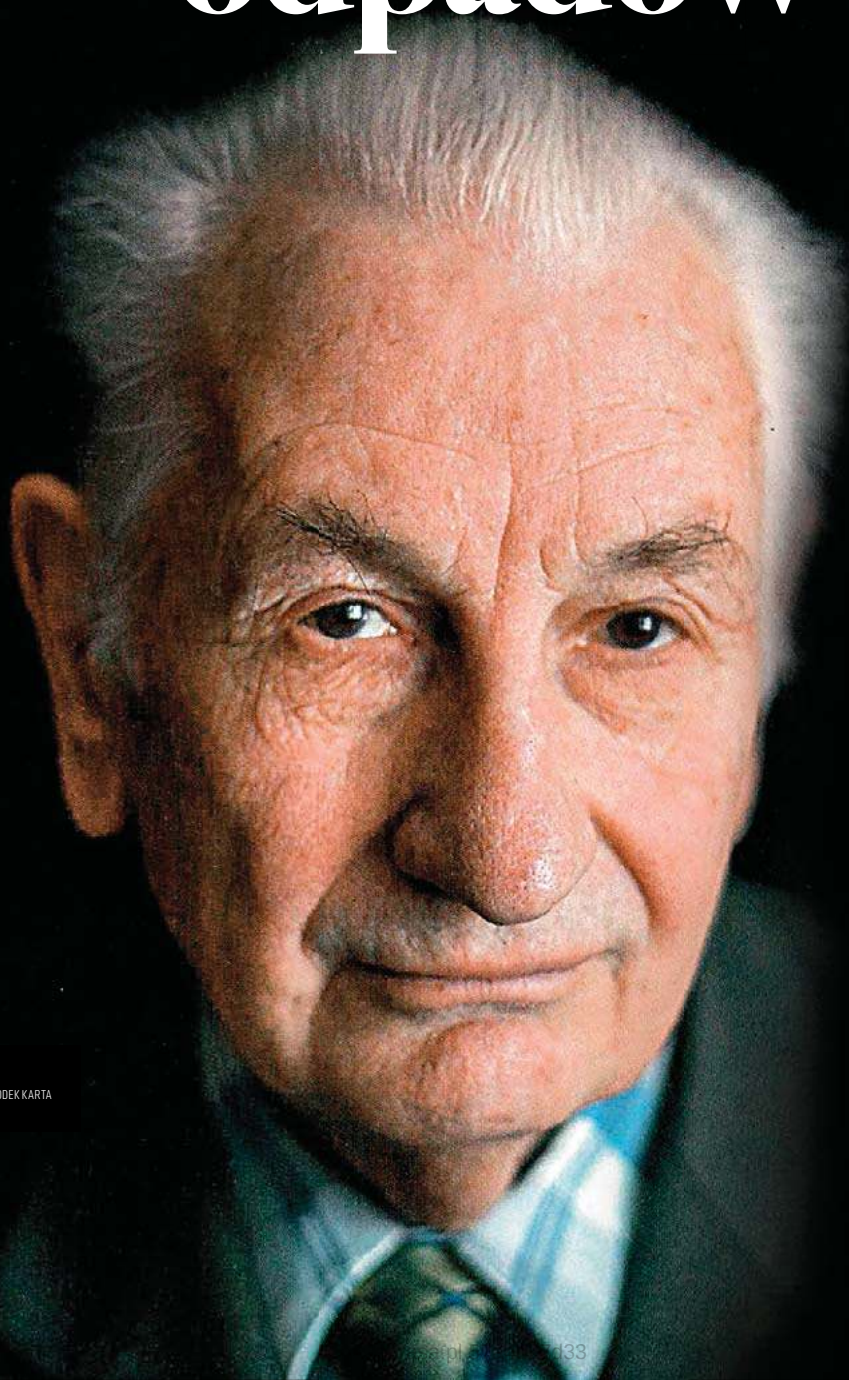
Piloci, samolot oraz odznaka 7. Eskadry Myśliwskiej im. Tadeusza Kościuszki FOT. WIKIPEDIA

jowej wystosowanej przez lorda George'a Curzona. Choć ten proponował im za zawarcie rozejmu oddanie naszych kresów, to jego oferta została odrzucona. Bolszewicy zażądali rozbrojenia i sowietywizacji Polski, czyli owoców zwycięstwa bez walki o nie.

11 lipca – odbył się plebiscyt na części Warmii, Mazur i Powiśla – obejmujące łącznie 15 powiatów; m.in. nie dotyczył północnej Warmii ani Elbląga, należących przed 1772 r. do Królestwa Polskiego. Uzyskaliśmy zaledwie osiem gmin, co oznaczało dotkliwą klęskę. Na wyniki głosowania wpłynęła m.in. ofensywa

Sowieckie zbrodnie / Wstrząsające relacje świadków GUŁagu

Nadzorcy ludzkich odpadów



Wiktor Czulin FOT. OŚRODEK KARTA



Piotr Zychowicz

Po raz pierwszy o sowieckich łagrach opowiadają byli strażnicy i oficerowie NKWD. Ich relacje mrozą krew w żyłach

Obozy koncentracyjne były nieodłącznym elementem sowieckiego systemu władzy. To w nich dziesiątki milionów ludzi, uznanych za niezdolnych do życia w bolszewickim „raju”, miały przejść proces reedukacji. Dzięki ciężkiej pracy fizycznej mieli oczyścić się moralnie z lepkiego brudu kontrrewolucyjnych poglądów. I po odbyciu wyroku powrócić na łono bezklasowego, proletariackiego społeczeństwa. Tyle teoria.

A praktyka? W praktyce było to piekło na ziemi. Miejsce niewyobrażalnego wręcz cierpienia zeków – tak nazywano ludzi, nad których życiem zatrasnęło się wieko lodowych trumien archipelagu GUŁag. Drający trzewia, doprowadzający do obłądłu głód. Temperatury sięgające 50 st. poniżej zera. Katorżnicza praca przy wyrębie tajgi. Żle opalane, nędzne baraki, w których roilo się od pluskiew i wszy. Odmrożenia, choroby i epidemie.

I jeszcze, jakby tego było mało, najgorsze z najgorszych – ludzie. Urkowie. Bez względu na więźniowie-kryminaliści terroryzujący i okradający politycznych, nieszczęślików skazanych ze słynnego paragrafu „58”. Dla urka dżgnięcie współwięźnia nożem pod żebra było niczym splunięcie. Podobnie jak odebranie mu ostatniej kromki chleba. W jego świecie przetrwać mógł tylko najsilniejszy.

Jeszcze gorsi byli strażnicy. Zdemoralizowani do szpiku kości, skłonni do stosowania brutalnej przemocy. Upokarzający i gnębiący więźniów. Katowanie, karcery, rozstrzelania... Spuszczane ze

smyczy rozwścieczone psy wartownicze szarpiące wychudzone ciała wycieńczonych zeków...

Wiemy o tym wszystkim ze wspomnień ocalałych. Literatura łagrowa liczy setki, jeśli nie tysiące tomów. Warłam Szałamow, Aleksandr Sołżenicyn, Iwan Sołoniewicz, Jewgienija Ginsburg, Gustaw Herling-Gruziński. Wymieniać by tak można jeszcze długo. Wszyscy oni przeżyli łagry i już wiele lat temu opisali GUŁag od środka. Dali świadectwo. Dzięki nim świat mógł dowiedzieć się, co TAM się działo.

Czy zatem warto sięgnąć po wydany właśnie w Polsce zbiór łagrowych opowieści „Niezarekwirowane”? Czy dowiemy się z tej książki czegoś nowego? Tak! Jak najbardziej tak! Autorki, dziennikarki opozycyjnej „Nowej Gazety”, Anna Artemjewa i Jelena Raczewa, przedstawiły bowiem nie tylko wiele wstrząsających relacji byłych zeków. Ta książka pozwala spojrzeć na GUŁag również z drugiej strony. Nie tylko oczami ofiar, lecz także oczami katów.

Dzięki pomocy głównego kustosa Centralnego Muzeum Federalnej Służby Karnej płk. Nikołaja Susłowa rosyjskim dziennikarom udało się również dotrzeć do byłych łagrowych strażników. Obecnie 80-, 90-letnich resortowych emerytów.

„Wiedzieliśmy już, że nie możemy mówić tylko o tych, którzy siedzieli – autorki napisały we wstępie. – Śledczy, konwojenci, nadzorcy, cenzorzy listów, strażnicy na wieżyczkach, opiekunowie psów gończych, lekarze obozowi... Co działo się z nimi? Co myśleli o swojej pracy, o kraju i o tych, których pilnowali? Przychodziliśmy do nich tak samo jak do więźniów. Nie po to, by ich oceniać i piętnować, ale żeby wysłuchać i zrozumieć”.

Posłuchajmy zatem opowieści oprawców. Zrozumieć jednak będzie trudno.

Pies i ludzie

Dobrze się służyło – wspominał Iwan Sawielejewicz Gajduk, opiekun psa używanego do tropienia zbiegłych zeków. – Idę do więźniów.

– Dzień dobry, chłopcy!

– O, pan naczelnik, prosimy! – wszyscy grzeczni byli. Do mnie nie można było niegrzecznie, bo się ładowało w karczerze.

Jak jeden więzień bije drugiego, to ich rozdzielasz, o tym, co zawinił, piszesz raport i wysyłają go nie do

domu, tylko do karceru. I tam go kładą na gołej pryczy, tam sobie podje i się uspokoi.

W opowieści Gajduka uderza różnica, z jaką opowiada o więźniach i swoim owczarku, którego nazwał... Synek. O zekach mówi z niechęcią, lekceważeniem, w najlepszym razie z obojętnością. Jak o zwierzętach. O nim, o psie, jak o swoim dziecku. Czule, z miłością, tkliwością. Opowiada, jak przynosił go na rękach przez lodowate strumienie, żeby piesek przypadkiem nie odmroził sobie łapek. Cóż za kontrast.

Przemoc, mordy, upokorzenia? Skądże znowu! Nic takiego się nie wydarzało. Gajduk nic takiego nie robił, nic takiego nie widział. To wszystko wraza, podła propaganda, która ma na celu skompromitowanie Związku Sowieckiego i jego wymiaru sprawiedliwości. Skompromitowanie Gajduka i jego towarzyszy. Całego pokolenia budowniczych socjalizmu.

Z bandytami zarząd i dozorczy prowadzili rozmowy wychowawcze – mówi Gajduk. – Jak on chojraczył, to zarząd inaczej to załatwiał: wysyłali do obozu karnego. Tam już z nim robili porządek! Ale żeby bili, tłukli, wodę oblewali i potem na mroź, jak w literaturze piszą, to nie, tak nie było. I też nie było tak, że nienawidzili więźniów. Ale i nie uważali się nad nimi. Ja tam nad nimi... też się nie uważałem. Jak wpadłeś za politykę, to była twoja wina. Było głupoty gadać?

I dalej:

Pierestrojka... To wszystko były kłamstwa, brednie i prowokacja. Czytałem wszystkie te broszury, tam takie rzeczy piszą, o! Same tylko bzdury i gadanie na władzę sowiecką. Mówią, że ludzie rozstrzelali, do głębokich dołów wrzucali, potem się ziemia ruszała. Że to czekisci robili. Ja jestem czekistą, miałem mundur czekisty i ja w to nie wierzę. Jak służyłem, to nigdy do nikogo nie strzelaliśmy. Z głodu też nikt nie umierał. Może tak w Workucie było, ale nie w Peczorlagu. I żeby więźniom ręce wykrecali, bili ich albo katowali... Nie, niczego takiego nie było. Może gdzieś tam się zdarzało, że rozstrzelali. O, Polacy się na nas burzą za ten... Kato... jak? Katyń, właśnie. Że tam wystrzelali oficerów ichnich, Polaków. Ale to nie my, tylko Niemcy!

Tak, to naprawdę jest frapujące. Związek Sowiecki runął 30 lat temu, władza sowiecka poszła do diabła. Gajduk jest już u kresu życia, niewiele mu już dni zostało. Nic nie ma do stracenia. Nikt go przecież nie będzie ciągał po sądach. Na pewno nie w Rosji. On jednak nadal uważa, że musi tak mówić...

Jednakże co ma powiedzieć? Że bił, strzelał, upokarzał. Może nawet zabijał. Nie, tego od człowieka wymagać nie można. Człowiek czegoś takiego nie powie. Przynajmniej nie publicznie ani nie na

■ trzeźwo. To przecież kiedyś będą czytać jego dzieci, wnuki. Niech wierzą, że dziadek był bohaterem, że te błyszczące, czerwone ordery, które wiszą na ścianie, to za walkę z wrogiem. Za coś dobrego.

Podobne nastawienie znajdujemy niemal we wszystkich opowieściach strażników.

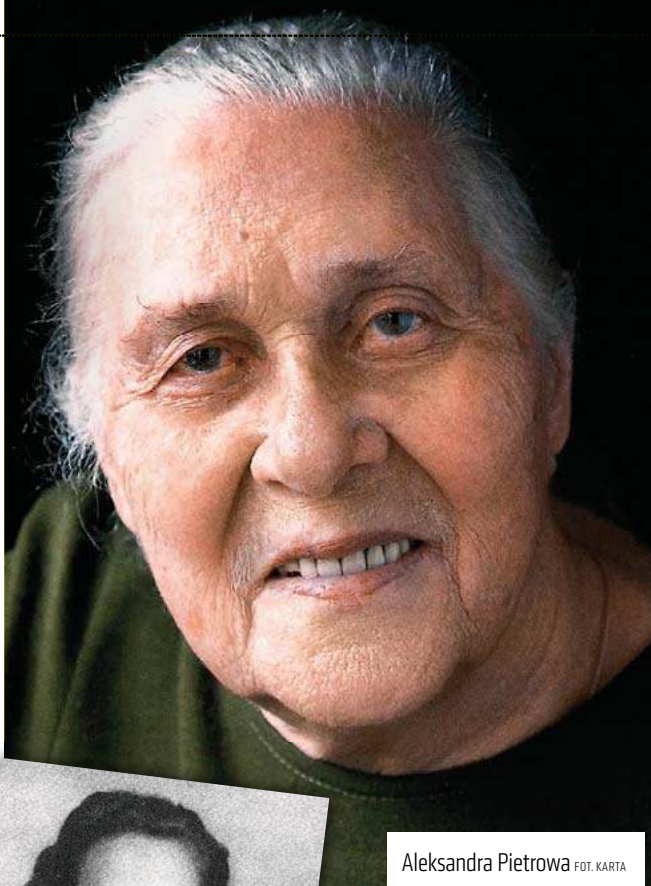
Oj, co też pani opowiada... – żył się Wiktor Iwanowicz Czudin. – Do karceru raz na trzy dni? Za naszych czasów czegoś takiego nie było. Dużo jest w tych historiach przesady, bardzo dużo. Może doszło do takich przypadków raz czy dwa... Potem to rozdmuchali do niewiarygodnych rozmiarów... Może czasem strażnik uderzył więźnia, tak się zdarza. W końcu więzieli go obraża, przeklina, na różne sposoby ubliża. Ale masowe pobicia... Nie, tego nigdy nie było.

Stosunek do Stalina mam dwojaki – dodaje Czudin. – Niby to był despota, miliony zamykał, likwidował. Ale z drugiej strony cenił go jako gospodarza kraju. Rozwój przemysłu, samochody, lotnictwo. Tego nikt mu nie odbierze. Kiedy umarł, wszyscy płakali, zekowie również. Dlaczego mamy to kwestionować?

Byli strażnicy wyraźnie się pilnują, żeby – broń Boże! – nie puścić pary z ust. Dochowywanie tajemnic firmy to przecież podstawowa zasada czekisty. Czasami jednak, półgębkiem, coś jednak im się wymysknie. O tak, w ramach kombatanckich wspomnień z – jakkolwiek by było – najlepszego czasu w życiu. Z czasu służby dla ojczyzny, gdy byli młodzi i potrzebni.

Jak więźniom się wyjaśnia, że trzeba pracować? – tłumaczy Wiktor Czudin. – Przychodzi się i rozmawia. Po dobroci. A jak ktoś nie chce po dobroci, to wobec takiego delikwenta stosuje się środki dyscyplinujące. Pamiętam, jak jeden skazany zupełnie nie wyrabiał normy. Przychodzę do zakładu, mówię co i jak. Brygadzysta podchodzi: „Muszę z nim sam na sam pogadać”. Wracam po 10 minutach, patrzę, a tamten już stoi przy maszynach i zasuwa jak mrówka. Brygadzysta mu powiedział: „Jak nie będziesz pracować... to my cię... tak, że będziesz w ciemnej... [śmiech].

Dobrze, że to książka, a nie film dokumentalny lub słuchowisko. Nie chciałbym usłyszeć tego śmiechu. Czasami jednak, tak jak w przypadku Rodiona



Aleksandra Pietrowa FOT. KARTA



Titkowicza Mamczura, u byłych strażników pojawi się cień refleksji, cień współczucia. Prawdy.

Jak nikt się nie burzył, to było dobrze, jak się ktoś stawiał, trzeba było siły użyć – relacjonuje. – To znaczy do karceru wysłać. Ale to rzadko. Najczęściej było spokojnie.

Choć jedna zona była cha-

rakterna, że hej. Sam nie widziałem, ale wiem, że tam wzywali żołnierzy i strzelali. Kogoś zabił, kogoś do karceru. Także tego...

Jak zek uciekł, ale się nie stawiał, no to go nikt nie bił. A jak się z nim naganiałem z 50 kilometrów w pełnym rynsztunku, to się na niego wnerwiałem. Z raz takiego zdzieli i koniec. Mocno bić nie wolno było, za to mogliśmy odpowiedzieć. No i chuliganem też nie jestem.

Ja też widziałem, że zamykają niesprawiedliwie. Jak człowieka zamknęli sprawiedliwie, to on o tym wie i dobrze to przyjmuje. Ale jak niesłusznie, to się człowiek robi bardzo zły. No, co zrobić... Ja wszystkich tak samo traktowałem. W lesie wszyscy są jednakowi. Wszyscy mają piłować, rąbać, pracować...

Mnie się to wszystko też nie podobało. Potem mnie nawet wzywali, to już było 3 lata, jak z wojska wyszedłem: „Słuchaj, chodź do nas do obozu do roboty”. Mieszkanie dawali! Żonie pracę dawali! Ja im mówię: „Nie, kochani. Starczy, już się na to napatrzyłem”.

Niestety, podobne wypowiedzi należą do rzadkości.

Donosy i jesiotry

Aleksandr Iljicz Sorokin był czekistą, który odgrywał w obozie wyjątkowo paskudną rolę. Był „kumem”. Czyli człowiekiem, który werbował wśród więźniów agentów bezpieczeństwa. Ludzi, którzy strzygli uszami, aby wychwycić strzępy „kontrrewolucyjnych rozmów” i donieść na swoich towarzyszy w niedoli. A często nawet sami prowokowali ich do „antyrządowych” wypowiedzi.

Aby dostać kolejny wieloletni wyrok, wystarczyło w prywatnej rozmowie z innym więźniem skrytykować panujące w obozie warunki.

Tak, władzy sowieckiej nie wystarczyło to, że pozbawiała ludzi wolności i wtrącała ich do łagrowego piekła. To dla władzy sowieckiej było za mało. Zekowie musieli jeszcze chwalać swój los, dziękować partii za to, że dla ich własnego dobra poddała ich procesowi reedukacji. Całować z wdzięcznością rękę, która zaciskała się wokół gardła...

W jednym z obozów pod Permem czuwali nad tym Aleksandr Sorokin i jego agenci. Jak ich werbował? Różnie. Zależy od człowieka. Raz po dobroci, raz szantażem. Z reguły jednak wystarczył dodatkowy talerz zupy lub inny „prezent”.

Proszę nie wierzyć w te bajki – poucza Sorokin. – Mówią, że na Kołymie były trudne warunki. Takie tam gadanie! My tu mamy las, a tam jest morze! Ryby można łowić do woli i ludzie tam mieszkają. Ludzie nigdzie nie umierają. I tu jest na swój sposób pięknie, i tam też. Bajki! Tak samo z bredniami, że więźniowie niby głodowali. My, strażnicy, żeśmy jadaliby gorzej niż więźniowie. Nam zepsutą rybę wozili, a im i jesiotra dawali, i śledzie z Pacyfiku.

A niezliczone dokumenty, relacje ocalałych, tysiące książek i artykułów naukowych. A groby? Setki, tysiące, miliony bezimiennych mogił rozsianych wszędzie, gdzie niegdyś znajdowały się ośrodki GUŁagu? Wszystko to brednie! Bzdury! Kalumnie rzucane na organy i ich dzielnych pracowników.

Absolutnie nie mogę się zgodzić z tymi obrońcami praw, którzy mówią o Systemie – mówi czekista. – Klepią tylko formułki. „Represje” – to niby znaczy, że była jakaś siła, która zmuszała do czegoś niedobrego. Ale przecież stosowanie przymusu w interesach państwa to właśnie są represje. Bez represji państwo nie przetrwa. Tak, represje były. Ale wiemy jedno – że były zgodne z prawem. Jak by to paniom dokładniej wytłumaczyć... Podczas każdej misji, która ma szlachetne cele, osoba odpowiedzialna za wykonanie może czasem pójść w nieodpowiednim kierunku. Wykonawcy-trochci czasem łamali prawo. Straszna rzecz i nikt tego nie kwestionuje. Ale, ale! To przecież nie znaczy, że Josif Wissarionowicz był terminatorem, nienawidził gatunku ludzkiego i tak dalej. Wcale tak nie było.

Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą! Zresztą, co go mógł ich obchodzić los jakichś wrogów ludu? Wrogów władzy sowieckiej. Przecież dla niego ta sama władza była wspaniałomyślna. Jemu było dobrze. Musiał więc jej bronić.

Kiedy szedłem do tej pracy, miałem w sobie zapal – deklaruje Sorokin. – Bardzo chciałem dobrze zarabiać. Nam dawali ze zniżką samochody, ubrania... z Jugosławii zamawiali! I złota, i meble, wszystko mieliśmy, pięknie żyliśmy, znajomości szerokie. Dużo się koło mnie Żydów kręciło... I dawali nam mieszkania.

Ja paniom powiem, że podczas służby całą Europę zwiedziłem. To wam, młodym, wmawiają, że była żelazna kurtyna. A to był stalinowski filtr przed zachodnią zarazą. Ja byłem człowiekiem sprawdzonym, pewnym i mogłem pojechać na wycieczkę po Europie. Dwa razy! Mi pomagało państwo sowieckie, wszystko zapewniali, od stóp do głów. Mundur, mieszkanie, płacili nieźle. Proszę sobie zapamiętać: od roku 1917 aż do naszych dni nie było w miejscach pozbawienia wolności okresu bardziej humanitarnego, obiektywnego i sprawiedliwego niż ten, kiedy ja pracowałem. Ja paniom powiem jako ktoś, kto przez 40 lat bez dwóch miesięcy pracował z tą hołotą, z tymi odpadami ludzkimi: dla nas najważniejszy był człowiek. Myśmy musieli go przerobić i zwrócić normalnemu społeczeństwu. Takie było nasze zadanie. I jeszcze zachowanie socjalistycznej praworządności. Myśmy pracowali wtedy, kiedy działało socjalistyczne prawodawstwo. I przysięgam, że ten czas jeszcze kiedyś powróci!

To tyle Aleksandr Iljicz Sorokin. Nadzorca – jak sam to określił – „odpadów ludzkich”.

Tak, różni ludzie znaleźli się w szeregach obozowych strażników. Porządni, którzy dopiero na miejscu ulegli procesowi demoralizacji. Żli, którzy wykorzystywali swoje stanowisko do pastwienia się nad bliźnimi, wyżywania swoich sadystycznych instynktów. A czasem po prostu zwykli, nieszczególni. Usiłujący się po prostu dostosować. Czasem cwani



ANNA ARTEMIJEWA,
JELEŃ RACZEWA
„NIEZAREKWIROWANE”

OŚRODEK KARTA, CENTRUM
POLSKO-ROSYJSKIEGO DIALOGU
I POROZUMIENIA

karierowicze, a czasem – co tu dużo gadać – ludzie po prostu ciemni. Tacy chyba byli najbardziej przydatni.

Kogo zapamiętałem... – mówi Konstantyn Dmitriewicz Jewsiejew. – Mało to tam wszelkiej hołoty było? A dobrych... A nie pamiętam... Współczuć... No jak ja miałem współczuć, jak się na tym nie znałem? A z politycznych – to jak go przejrzeć? Że mówił na władzę? Ja tam nie wiem. Polityka to nie dla nas. Za mały na to nasz rozum. Pewno, że jak człowiek kawał powiedział, to niesprawiedliwie, że go wsadzili.

Ja Berię cenię, za niego to była dyscyplina. A jak ta odwiłz przyszła, to zaczęli telewizory w korytarzach stawiać, więźniowie zaczęli ze sobą rozmawiać. Dlatego teraz takie się obyczaje u młodziży porobiły, że zabijają i wszystko takie. A wtedy używali koszu... Taka była tkanina płócienna. I takiemu ją zakładają, zrobią mu jaskółkę, rękawy zawiążą, potem oblewają wodą i koszula się kurczy. Pewnie, że boli. I bili ich tam... Po celach chodziłem, to wiem. Za co bili? Za zachowanie... Nie wiem za co.

Jak poszła pierestrojka – to się takie rozwydrzenie zaczęło, dyscypliny zabrakło. Nie w więzieniu, w całej Rosji. Gorbaczow sam nie wiedział, co wyrabiać. Wrogiem narodu był, czy jak?

To częsty motyw. Za Stalina porządek, a potem, po upadku Sowietów – rozbezwstwienie. Ech, dobre stare czasy. Nie to co teraz.

Wcześniej w koloniach [karnych] było lepiej – mówi Grigorij Iwanowicz Wiesielow. – Pozamykani byli wszyscy narkomani, wszystkie pedały... A teraz nikogo nie zamykają i oto mamy degradację społeczeństwa. Teraz chcą wykorzystać wszystko, co było w czasach sowieckich. To mnie też trzeba wykorzystać, tak? No na to wychodzi...

Modlitwa za dobrych ludzi

Nie wszyscy byli strażnicy budzą jednak odrazę. Czasami budzą również współczucie. Takie jak Aleksandra Iwanowa Pietrowa, więzienna strażniczka. Sama o sobie mówi, że kiedy pracowała, nie było jej nikogo szkoda. Że w trakcie służby była jak z kamienia. Jej jednak jakoś właśnie szkoda. Gdyby inaczej ułożyło się jej życie, pewnie byłaby zwykłą pocziwą wiejską gospodynią. Nie ułożyło się jednak.

Jako dziecko żyła na skraju śmierci głodowej i w upokarzającej nędzy, w które wpełchnęła miliony rosyjskich chłopów kolektywizacja. Bosa, w łachmanach, wykonywała ciężkie prace w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi, rozpadającym się kołchozie. Otrzymanie pracy w więzieniu było dla niej niebywłym wręcz awansem społecznym.

Dali jej tam buty, mundur, nędzną pensję, kartkę obiadową do obskurnej stołówki. Z czasem – mieszkanie. Wreszcie było jej ciepło, nie musiała głodować, a praca, w porównaniu z tym, przez co przeszła jako dziecko, mimo wszystko była lekka. Kazano jej bowiem pilnować ludzi. Więc pilnowała.

Cały czas w strachu – że powie lub zrobi coś nieodpowiedniego i ją przepędzą. Z powrotem do kołchozu. Pilnowała więc i pilnowała. Kilkadziesiąt lat, do emerytury. Niewiele z tego wszystkiego rozumiejąc.

Co się dziwicie, że milczałam – opowiada. – No co, młoda byłam, że wsi przyszedł. Wujek mi pracę załatwił, całe życie pracowałam w sklepiek więziennym. I dał mi radę na całe życie: „Nic nie mów, patrz i bądź cicho”. I tak mnie nauczył, że już potem się całe życie nie bałam. I całe życie milczałam.

Czego oni siedzą, Boże mój kochany... No musieli coś powiedzieć nie tak, na kierownictwo nagadali... W głowie sobie o tym myślałam, ale mówić nie mogłam. W ogóle nie wolno było mówić, jeszcze cię do kąta postawią i będą przesłuchiwać.

Sama nie rozmawiałam, nie głupiego nie powiedziałam, głębię miałam na kłódkę zamkniętą. Teraz sobie z babami gadamy i ja na Putina pomstuję. A wtedy wszystko było zamknięte, bywa, że zapomnisz, o czym tak się boisz powiedzieć.

Ani ubrań, ani perfum nie miałam. Malować się nie lubiłam. Jak w ciąży byłam, to dali nam pokój przy ulicy Osipienki. Na czwórkę mieliśmy kuchnię, piec, toaletę. Gazu nie było, ktoś pożyczyl nafty, ktoś jeszcze kuchenkę gazową. Tak to żyliśmy. Teraz to i 3 lata można z brzdącem siedzieć, a wtedy dawali miesiąc przed porodem, miesiąc po i miesięczny urlop. I tyle. Dwumiesięczne dziecko nosiłam do żłobka, jak była przerwa na obiad, to chodziłam je karmić. Leciał człowiek w kierówkach i płaszczu wojskowym...

Jestem wierząca. Wcześniej obok cerkwi nawet nie chodziłam, nie wolno było. Tak w sercu to wierzyłam, ale nie wolno było pokazać. Gdzie tam! Od razu by zwolnili. A jak odeszłam ze służby, to zaczęłam się modlić, na msze chodzić. O, tu mam świeczkę, ikonki, książeczki. Siedzę i Ewangelię czytam... O zdrowie dla dobrych ludzi się modlę. I za wielu tych, co z nimi służyłam. Za tych, co siedzieli? Nie, za nich się nie modlę.

A jednak. Za nich – nie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Czarnecki

Jedwabny Szlak – ta nazwa ożywia wyobraźnię: widzimy karawany obciążonych belami cennej tkaniny wielbłądów przemierzających rozległe przestrzenie Azji. Ku Europie...

III w. p.n.e. – XV w. n.e. / Podróż po śmierć lub zysk

Na Jedwabnym Szlaku

W starożytności i średniowieczu podróż z Chin do Europy była śmiertelnie niebezpiecznym hazardem. Chcąc dostać się do

Konstantynopola, trzeba było przebyć pustynie i stepy, narażając się po drodze na śmierć z upału, wyziębienia, głodu, bądź pragnienia, pożarcie przez dzikie zwierzęta, napaść rozbójników. Odważny wędrowiec przebyć musiał

ok. 12 tys. km! Lądowe połączenie między Wschodem i Zachodem utraciło na znaczeniu dopiero wskutek wielkich podróży, kiedy Europejczycy odkryli wiodące do Azji Wschodniej szlaki morskie, którymi podróżowanie było o wiele

Handel na Jedwabnym Szlaku FOT. ARCHIWUM



prac i wówczas pustynia pożerała ziemię uprawną.

Punktem końcowym tego odcinka było położone w oazie miasto Dunhuang. Tutaj podróżnicy musieli zdecydować się, czy obrać trasę północną, czy południową. Pierwsza wiodła wzdłuż pustkowi Takla Makan ku brzegom jeziora Issyk-kul w dzisiejszym Kirgistanie, gdzie skręcano do Kotliny Fergańskiej i udawano się ku ziemiom współczesnego Turkmenistanu, skąd dalsza droga prowadziła przez Iran i Syrię, aż do Antiochii, Tyru i Damaszku. Wędrując szlakiem południowym, przebywało się Niję i Hoten, docierając do Kaszgaru, gdzie trasa łączyła się ze swą północną siostrą, by na obszarze Afganistanu znów ruszyć własną drogą do Balchu i turkiestańskiego Merwu, skąd towary ekspediowano na Zachód ku Morzu Śródziemnemu. Osobne szlaki wiodły do Indii, Korei i Japonii.

Jedwab i nie tylko

Zwykle handlujący jedwabiem, przyprawami, porcelaną i innymi skarbami kupcy nie pokonywali całej drogi łączącej Chiny z Zachodem, lecz sprzedawali wzięte towary pośrednikom, którzy ruszali z nimi w dalszą drogę, by przekazać je innym handlarzom, którzy dostarczali je komuś innemu, i tak na zasadzie sztafety bezcenne produkty przechodziły z rąk do rąk, aż w końcu docierały na drugi koniec znanego świata. Warto też podkreślić, że w czasach, gdy funkcjonował Jedwabny Szlak, nikt go w ten sposób nie nazywał. Jeśli dwóch Chińczyków rozmawiało o trasie wiodącej ku egzotycznemu Zachodowi, to określali ją po prostu mianem dao, czyli drogi, i pod takim pojęciem opisywana była ona w chińskich kronikach. Nazwa, którą dziś się posługujemy, została stworzona dopiero w XIX w., gdy europejscy naukowcy zainteresowali się historią wymiany handlowej między Azją a Europą.

Trudno określić, kiedy jedwab po raz pierwszy trafił na rynki zachodnie. Najprawdopodobniej pierwszymi Europejczykami, którzy mieli z nim styczność, byli żołnierze z armii Aleksandra Wielkiego. Macedoński monarcha co prawda do samych Chin się nie zapędził, ale w chwili, gdy wkraczał do Indii, cenne chińskie tkaniny były w nich rozpowszechnione. Świadomość pocho-

dzenia jedwabiu zwanego przez Greków „seryjską skórą” rozwijała się powoli, ale już pod koniec III w. p.n.e. Eratostenes zdawał sobie sprawę z istnienia Chin, które ochrzcił mianem Thinase, będącym prawdopodobnie zdeformowaną nazwą pierwszej cesarskiej dynastii Qin.

Rzymianie zetknęli się z jedwabiem dopiero w I w. p.n.e. Według popularnej opowieści pierwszymi jedwabnymi tkaninami, które ujrzeli, były proporce Partów, pod którymi irańscy jeźdźcy zadali legionistom klęskę w bitwie pod Karrami w 53 r. p.n.e. Niedobitki rzymskiej armii, które wróciły do miasta nad Tybrem, tłumaczyły potem, że nie były w stanie walczyć z powodu olśniewającego blasku wroгих sztandarów.

Wraz z ekspansją imperium rzymskiego na Bliskim Wschodzie jedwab stawał się coraz powszechniejszy na rynkach cesarstwa, choć przez cały okres jego istnienia pozostawał towarem luksusowym. Jako że Rzymianie nie utrzymywali bezpośrednich kontaktów z Chinami, wymianę handlową prowadzili za pośrednictwem Partów, Persów i Indów – dokąd zawiązały europejskie statki. W zamian za jedwab, skóry egzotycznych zwierząt i kosztowności eksportowano leki, kamienie szlachetne, a także szkło, którego tajemnicy produkcji Chińczycy nie znali, a cenili je sobie bardzo, uznając je za rodzaj klejnotu.

Na Wschód wyruszyli też artyści – akrobaci i magicy z Syrii, którzy w Chinach robili furorę. Chętnie kupowanym przez mieszkańców Państwa Środka towarem był bisior, tkanina wytwarzana z wydzielin pewnego gatunku małży śródziemnomorskich. Zniekształconą informację o metodach jego produkcji znaleźć możemy w dziełach chińskich, opisujących hodowane rzekomo na Zachodzie „owce wodne”, które niczym rośliny miały wyrastać bezpośrednio z gleby.

Chińczycy przez wieki strzegli sekretu produkcji jedwabiu, jednak w końcu został on wykradziony i przeniesiony do Azji Środkowej. W VI w. n.e. grupa wędrownych mnichów, wykonując misję szpiegowską, zleconą im przez Justyniana Wielkiego, przemyciła z jednego z tamtejszych królestw przemysłnie ukryte w wydrążonych pątnicznych kijach jajeczka jedwabników, co umożliwiło początek bizantyńskiej produkcji jedwabniczej, skupionej na terenie

szybsze i bezpieczniejsze. Zanim jednak do tego doszło, ów krwiobieg Euorazji odcisnął niezatarte piętno w dziejach ludzkiej cywilizacji.

Miejsce, z którego zaczynali podróży chińscy kupcy, był Changan (dzisiejszy Xi'an w prowincji Shaanxi) pełniący funkcję stolicy Państwa Środka za czasów dynastii Qin, Han i Tang. Następnie musieli przebyć tysiąckilometrowy pustynny Korytarz Gansu. W czasach świetności Chin na tych terenach uznawano władzę cesarską, kiedy ta słabła, niejednokrotnie padały łupem koczowników. Gdy sytuacja w rejonie była stabilna, dobrze utrzymane kanały irygacyjne dostarczały wodę do ludzkich osad i pól, w latach chaosu i niepewności nie było komu prowadzić odpowiednich



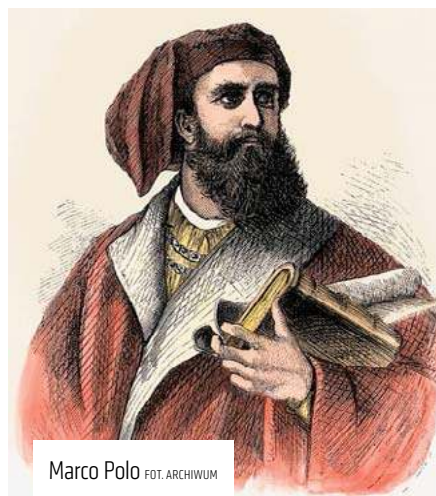
■ Syrii. Poważny cios zadały jej krwawe wojny z Persją w VII w., kiedy to irańscy najeźdźcy uprowadzili biegłych tkaczy w głąb swej ojczyzny. Później sekret produkcji jedwabiu został poznany przez Arabów, którzy podbili zarówno Syrię, jak i Iran. Ci ostatni zanieśli technikę jego wytwarzania do Hiszpanii, skąd zaczęła rozpowszechniać się po zachodniej Europie. Najwyższe ceny wciąż jednak osiągały tkaniny sprowadzane z Dalekiego Wschodu, stanowiące najlepszy dostępny na rynku produkt.

Jak wspominałem na początku tego artykułu, Jedwabnym Szlakiem, a raczej szlakami wędrowały nie tylko przedmioty materialne, lecz także idee, pośród nich zaś religie. Wędrujący po olbrzymich przestrzeniach Azji kupcy, dyplomaci, szpiedzy i duchowni przyczynili się do spopularyzowania w Chinach za czasów dynastii Tang (VII–X w.) chrześcijaństwa w jego nestoriańskiej wersji.

Religia światła

W roku 635 na dwór twórcy potęgi dynastii Tang – cesarza Taizonga – przybyła grupa duchownych z bizantyńskiej Syrii. Stojący na ich czele mnich Alopen

został przyjęty przez władcę na audiencji. Nestorianin ów zaprezentował monarsze główne artykuły swej wiary. Poznawszy z jego ust treść Pisma Świętego, imperator wyraził zgodę na podjęcie przez niezwykle gości pracy misyjnej w granicach jego władztwa. Trzy lata później Taizong wydał oficjalny edykt poświęcony „religii światła”, jak określano wówczas w Chinach chrześcijaństwo. Pozwolę sobie przytoczyć poniżej jego fragment. Oddajmy zatem głos cesarzowi:



Marco Polo FOT. ARCHIWUM

„Religie są tworzone, aby służyły różnym krajom i aby masy ludzi mogły zostać zbawione. Alopen z kraju Daqin, człowiek wielkich cnót, przywiózł ze sobą święte pisma i obrazy i przekazał je naszej stolicy. Sens jego religii został dokładnie zbadany: jest ona tajemnicza, cudowna i pełna spokoju. [...] Dlatego też zezwalamy, aby w dzielnicy Yining naszej stolicy [tj. w Changanie, dzisiejszy Xi'an – przyp. Ł.C.] został zbudowany klasztor tej religii i aby przebywało tam dwudziestu i jeden mnichów”.

Koło wzmiankowanego klasztoru w roku 780 wzniesiono stelę, na której w języku chińskim i syryjskim opisano dzieje chrześcijaństwa w Państwie Środka. Rozwijało się ono zaś dynamicznie w połowie IX w., licząc już ćwierć miliona wyznawców, których potrzeby religijne zaspokajało 30 tys. duchownych.

Wiara Chrystusowa nie zdobyła jednak nigdy nad Jangcy tak wielkiej popularności jak buddyzm, co zadecydowało o jej upadku. W roku 840 nastąpił nagły wybuch chińskiego nacjonalizmu, a ówczesny cesarz postanowił oczyścić Państwo Środka z obcych naleciałości. Wrogami numer jeden stały się przybyłe z zagranicy religie – chrześcijaństwo i buddyzm. Zaczęły się aresztowania

Karawana na chińskiej pustyni FOT. ADOBE STOCK



chińskich przygodach, wielokrotnie podkreślał, że na Dalekim Wschodzie spotkał wielu nestorian.

Odrodzone chińskie gminy miały nie przetrwać upadku mongolskiej dynastii Yuan, który nastąpił już w XIV w. Kiedy na przełomie XVI i XVII stulecia w Państwie Środka na powrót pojawili się chrześcijańscy duchowni, tym razem katolicy jezuiti, nad Jangcy nie było już żadnych śladów nestorian. Dopiero odkopana w 1625 r. wspominana już stela udowodniła, że w Chinach rzeczywiście żyli kiedyś licznie wyznawcy wiary Chrystusowej.

Jakub z Ankony

Legendy o bogactwie Dalekiego Wschodu kusiły europejskich i bliskowschodnich poszukiwaczy przygód. Najśłynniejsi z nich to Wenecjanin Marco Polo i Marokańczyk Ibn Battuta, którzy pozostawili po sobie barwne opisy swych chińskich perypetii. Mniej znaną postacią był Jakub z Ankony – włoski Żyd, który w latach 1270–1273 przebywał w południowochińskim porcie Quanzhou, przez przybyszów z Zachodu zwanym Zajtonem. Przebywał... o ile w ogóle istniał, bo rękopis jego wspomnień został odnaleziony dopiero w latach 90. XX w. przez brytyjskiego badacza – Davida Selbourne'a, budząc liczne kontrowersje i gwałtowne namietności. Część amerykańskich i europejskich sinologów uważa dzieło opublikowane pt. „Miasto światła” za fałszyfikat, podczas gdy ich chińscy koledzy ręczą za jego autentyczność. Na naszym podwórku w wiarygodność wspomnień Jakuba z Ankony wierzy jeden z najwybitniejszych polskich znawców Chin – Edward Kajdański.

Z lektury dowiedzieć się możemy, że przypadek rodziny Polo, która wybrała się z Europy na Daleki Wschód, nie był aż tak bardzo odosobniony. W Quanzhou Jakub oprócz swych licznych współwyznawców spotkał też przybyszów z włoskich republik kupieckich, a nawet z Francji! Oddajmy zatem na chwilę głos żydowskiemu podróżnikowi: „Są tu bowiem Weneccjanie, przewyższający w swym rzemiośle wszystkich oprócz Żydów, Genuńczycy, kupcy z Pizy i Ankony, a także Francuzi, z których każdy ma osobny dom i magazyn. Co więcej, w Zaj-

ton między obywatelami Wenecji i Genui panuje pokój”.

Miasto, do którego zawitał Jakub, było tętniącym życiem kosmopolitycznym centrum handlu. Gość z Ankony przyrównywał je w swych wspomnieniach do wiecznie brzęczącego gniazda pszczoł. Kupić tu można było niemal wszystko i obrotny Żyd skorzystał z okazji, by nabyć liczne towary, które po powrocie do ojczyzny sprzedał z zyskiem. Owoc swej wyprawy na Daleki Wschód podsumował następująco: „Przywiozłem także ogromny ładunek najprzedniejszego jedwabiu, wielkie i małe tkaniny z jedwabiu i złota, złote brokaty [...] oraz adamaszek, jak również bawełnę z Aleksandrii, najwyborniejszy lak [...] oraz indygo dla mego brata Abramo z Foligno”.

Jak widać, choć w średniowieczu wyprawa do Chin była przedsięwzięciem wymagającym wielkiej odwagi i wytrzymałości, to o ile nie zginęło się po drodze, podróż handlowa Jedwabnym Szlakiem mogła przynieść zysk dziesięciokrotny, a nawet większy.

W epoce wielkich odkryć geograficznych, gdy europejskie statki zaczęły zawiązać regularnie do chińskich portów, Jedwabny Szlak stał się przeżytkiem i ruch na nim zamarł. Portugalski lub hiszpański galeon mógł zabrać do ładowni nieporównanie więcej towaru, niż dało się załadować na grzbiety wielbłądów. Zniknęło tym samym jedno z poważnych ograniczeń lądowej trasy Europa – Chiny. Dawniej kupcy brali w podróż na drugi koniec świata tylko rzeczy lekkie, wytrzymałe i o wysokiej cenie, teraz można było bez trudu kupować, czego tylko dusza zapragnęła w ilościach hurtowych.

Po krótkim epizodzie morskim z pierwszych dwóch dekad XV w. Chińczycy z kolei utracili zainteresowanie zagranicą i zamknęli się we własnym świecie. Wielką flotyllę, która pod wodzą admirała Zheng He dopłynęła do wschodniej Afryki, spalono i zaczęto inwestować olbrzymie sumy pieniędzy w budowę Wielkiego Muru, zaś wydawane przez dynastię Ming prawa coraz bardziej ograniczały swobodę przybywających do Państwa Środka cudzoziemców.

Połączenie wyżej wzmiankowanych czynników zakończyło istnienie Jedwabnego Szlaku. Pomysł jego reaktywacji narodził się dopiero w XXI w. i jest dziś sztandarowym projektem realizowanym przez chiński rząd.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

duchownych, burzenie świątyń i klasztorów, których lokatorów przymuszano do małżeństw.

Z czasem rząd wycofał się z polityki prześladowań, ale chrześcijaństwu chińskiemu zdążyła zadać ona niepowetowane straty. Buddyzm, który był bardziej rozpowszechniony, przetrwał wypowiedzianą mu przez stolicę wojnę i z czasem odrodził się, jeszcze bardziej wzmacniając swe wpływy, nestorianizm nie miał tyle szczęścia i bardzo podupadł.

Kłeska nestorian nad Jangcy wydała zaskakujące owoce, bo wielu jego wyznawców uciekło na północne stepy, gdzie władza cesarskich urzędników już nie sięgała. Tutaj rozpowszechnili swoją religię między mongolskimi i tureckimi koczownikami. Gdy w ponad trzy wieki później Czyngis-chan jednoczył stepowe plemiona, wielu spośród jego podwładnych i towarzyszy stanowili chrześcijanie, nestorianką była nawet matka jego wnuka – Kubilaja. Po podboju Chin przez Mongołów nowi władcy Państwa Środka chętnie przyznawali stanowiska urzędnicze chrześcijanom. Jeden z nich, przybyły z dalekich stron obcokrajowiec o egzotycznie brzmiącym dla Chińczyków imieniu Marco, wróciwszy do ojczyzny, opowiadając rodakom o swych



XX w. / Neutralność Irlandii podczas drugiej wojny światowej

Pokój z widokiem na wojnę



Piotr Semka

**/ Prasa pisała o tragedii katolickiej Polski
napadniętej przez III Rzeszę, ale Irlandczycy byli
jednomyślni w decyzji o trzymaniu się od wojny
jak najdalej**

Tylko 12 państw na świecie zachowało pełną neutralność w czasie drugiej wojny światowej. W Europie, oprócz Hiszpanii, Portugalii, Szwecji i Szwajcarii, należała do tej niewielkiej grupy Irlandia. Ten kraj, który dopiero w 1922 r. odzyskał większość atrybutów niepodległego państwa, zademonstrował w ten



Premier Eamon de Valera podczas obchodów 25. rocznicy powstania wielkanocnego FOT. GETTYIMAGES

wyspę Man i wybrzeża za wygodnickiej, neutralnej Irlandii” – tak o neutralnej republice pisał Nicholas Monsarrat w powieści „Okrutne morze”. Autor powieści podczas wojny jako oficer Royal Navy służył na korwetach, towarzysząc konwojom atakowanym przez U-Booty Kriegsmarine.

„Irlandzka neutralność, dla której ten kraj umiał znajdować szlachetne motywy, umożliwiła Niemcom utrzymanie w Dublinie ośrodka szpiegowskiego. Niby okna wybitego w ścianie Wielkiej Brytanii, przez którą wróg zaglądał od początku aż do samego końca wojny, wyrządzając nieobliczalne szkody sprawie sprzymierzonych. Dla marynarki wojennej jeszcze bardziej katastrofalne skutki wynikały z utraty baz w południowej i zachodniej Irlandii, z których Royal Navy mogła korzystać w czasie pierwszej wojny światowej, a które teraz były dla niej zamknięte. Niełatwo było obliczyć, ilu ludzi, jak wiele okrętów kosztowała co miesiąc ta odmowa Irlandii, lecz ostateczna suma była ważka, rachunek tragiczny. Eskortowce mogłyby wychodzić z tych baz znacznie dalej w głąb Atlantyku, mogłyby zapewnić dodatkową osłonę prześladowanym konwojom. [...] Lecz Irlandia odmówiła swoich baz”.

Te słowa napisane w 1953 r., czyli osiem lat po wojnie, pokazują, jak żywa była uraza Brytyjczyków do swoich zachodnich sąsiadów. Dopiero jednak długo po wojnie można było spokojnie ocenić zyski i straty Republiki Irlandzkiej związane z trzymaniem się z dala od wojny. Dlaczego Zielona Wyspa była tak silnie zdeterminowana w swej neutralności?

Wróg mojego wroga...

We francuskiej komedii „Viva Maria” – dziejącej się na początku XIX w. – główna bohaterka Mary, grana przez Brigitte Bardot, jest córką irlandzkiego rewolucjonisty, która od dziecka pomaga ojcu w wysadzaniu w powietrze rozmaitych placówek imperium brytyjskiego na całym świecie.

Takich bojowników dokonujących aktów zemsty na Brytyjczykach za utraconą wolność, za wielki głód w połowie XIX w. i brutalne eksmisje irlandzkich chłopów były dziesiątki. Piosenka z czołówki filmu głosiła: „Irlandka rośnie, płyną łatka i dziewczę wdziękiem zdołają, lecz na cóż ta cała jątka, o nie-dorzeczna anglofobia”. W przypadku Irlandii całe pokolenie, które wybiło swój kraj na niepodległość, opanowane było żywiołową antybrytyjskością.

W myśl zasady „Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem” kajzerowskie Niemcy stały się od końca XIX w. obiektem gorącej sympatii irlandzkich wolnościowców. Te tendencje szybko zauważył niemiecki wywiad i chętnie pomagał Irlandczykom w snuciu planów wywołania powstania w kraju podczas I wojny światowej. Działacze IRA z satysfakcją przyjmowali wieści o sukcesach wojsk kajzera w myśl hasła: „Kłopoty Anglii to szansa Irlandii”.

W 1914 r. irlandzki działacz niepodległościowy Roger Casement udał się do Berlina, aby negocjować z niemieckim wywiadem warunki wsparcia dla przyszłego zrywu poprzez dostawy broni. To transport niemieckich karabinów Mauser przewiezionych jachtem „Asgard” z Niemiec do Irlandii użyty został potem w powstaniu wielkanocnym w Dublinie w kwietniu 1916 r.

Nic dziwnego, że gdy w 1922 r. Irlandia uzyskała praktyczną niepodległość, jej liderzy myśleli o Niemczech ze sporą sympatią. To zerkanie na Berlin ochłodziło się nieco, gdy do katolickiej Irlandii, po 1933 r., docierać zaczęły wieści o wyraźnie antychrześcijańskich tendencjach w polityce III Rzeszy, ale taka wiedza docierała tylko do elit. W powszechnym odczuciu Niemcy nie kojarzyły się źle, za to sąsiednia Wielka Brytania miała na sumieniu kogoś z niemal każdej irlandzkiej rodziny.

W 1932 r. premierem Irlandii (zwanym po gaelicku Taoiseachem) zostaje Éamon de Valera (1882–1975), charyzmatyczny przywódca partii Fianna Fáil, który postawił sobie za cel stopniowe przecinanie kolejnych więzów kraju z Londynem. Już krótko po objęciu stanowiska szefa rządu przymusił Niemcy do usunięcia z praktyki urzędowej przysięgi na wierność Koronie Brytyjskiej. Na tę demonstrację samodzielności (Irlandia formalnie

sposób niezależność od wielowiekowego ciemniźcyela – Wielkiej Brytanii. Społeczeństwo irlandzkie spędziło pięć długich lat wojny w Europie w stanie pokoju. Zapłaciło za to licznymi afrontami w momencie zwycięstwa aliantów nad III Rzeszą.

„Trasa konwoju wiodła najpierw na północ [...] a następnie na zachód od przylądka Wrath na pełny ocean. Minęli

■ wciąż była członkiem Commonwealth z Królem Jerzym V jako głową państwa) Brytyjczycy odpowiedzieli trwającą pięć lat wojną celną z Zieloną Wyspą. W 1937 r. De Valera wykorzystał abdykację króla brytyjskiego Edwarda VIII i przeforsował nową konstytucję, całkowicie uniezależniając kraj od Wielkiej Brytanii.

Gdy w 1939 r. nad Europą gromadziły się ciemne, wojenne chmury, relacje Dublin-Londyn były lodowate. De Valera uznał, że w razie wojny jego kraj wybie-

Znak dla niemieckich lotników informujący, że wlatują nad terytorium Irlandii. FOT. IRISH AIR CORPS



rze neutralność. Gdy Niemcy napadły na Polskę 1 września 1939 r., irlandzki parlament za namową premiera ogłosił przyjęcie statusu neutralności.

Ciasne, ale własne

2 września rząd ogłosił stan wyjątkowy, trwający notabene przez kolejne 37 lat. Prasa w Dublinie i na prowincji ze współczuciem pisała o tragedii katolickiej Polski napadniętej przez III Rzeszę, nie zmieniało to jednak niemal 100-procentowej jednomyślności Irlandczyków w decyzji o trzymaniu się od wojny jak najdalej.

Dla premiera De Valery było to raczej kolejne potwierdzenie niepodległości kraju niż dowód sympatii dla Niemiec.

W niejednym jednak irlandzkim pubie, choć bez specjalnej ostentacji, opiano porażki Anglików w pierwszej fazie wojny. Widok brytyjskiego lwa chwiejącego się na nogach po klęskach w Europie i Azji był dla wielu Irlandczyków satysfakcją po dekadach upokorzeń.

Społeczeństwo irlandzkie pamiętające o ogromnej daninie krwi, którą mieszkańcy Zielonej Wyspy zapłacili podczas pierwszej wojny światowej w służbie króla Jerzego V, z ulgą przyjęło okres biednego, ale zaciśniętego pokoju. Bez protestów przyjęto racjonowanie żywności, drakońskie ograniczenia w sprzedaży paliwa i zawieszenie na czas wojny wielu tras autobusowych i kolejowych. Na jednej z karykatur w irlandzkiej prasie z tego czasu jeden z dwóch dżentelmenów maszerujących po ciągnącej się po horyzont drodze mówi do towarzysza: „Tak, wiem, taka jest cena pokoju. Ale przestań już to w koło powtarzać”.

Ulubiony towar importowany Irlandczyków – herbata – w ramach oszczędności była mieszana z suszem owocowym. Niekiedy w paczce bywało więcej „dopełniaczy” niż listków herbacianych.

Na tle tragedii bombardowanego dziei i noc Londynu, rodzin z Liverpoolu czy Glasgow opłakujących marynarzy, którzy tonęli w atlantyckich konwojach, rozpacz żon, których mężowie nie dawali znaku życia po wzięciu do japońskiej niewoli, irlandzkie niedogodności życia w czasie wojny wzbudzały w Wielkiej Brytanii zirytowane kpiny. Oburzano się, że ci Irlandczycy, którzy w Anglii zgłosili się do armii brytyjskiej, dostawali od rodzin informacje, że za swój poryw serca mogą grozić im po powrocie do domu kary za służbę w armii obcego państwa.

Rząd irlandzki jednak, choć po cichu, starał się w pewnym stopniu współpracować z Londynem. Wbrew opiniom zacytowanym z książki „Okrutne morze” służby specjalne pilnowały, by niemieccy agenci nie czynili z wyspy bazy wypadowej do inwigilowania sąsiadów. Na wypadek niemieckiej inwazji na wyspę opracowano razem z Brytyjczykami ściśle tajny tzw. Plan W przewidujący wspólną obronę wyspy.

Na Irlandię w paru przypadkach spadły niemieckie bomby, ale był to wynik pomyłek nawigatorów Luftwaffe. Ambasada III Rzeszy w Dublinie za każdym razem razem śpieszyła z odszkodowaniami,

ale Irlandczycy podejrzewali, że mogła to być zawołowana forma nacisku na Dublin w celu zmuszenia przyłączenia się do obozu państw Osi. Były też gesty pamiętane z wdzięcznością po latach – np. wysłanie przez De Valerę w kwietniu i maju 1941 r. paru sekcji irlandzkiej straży pożarnej dla ratowania Belfastu, płonącego po niemieckich bombardowaniach.

Znów pogarda Albionu

Kiedy minął najdramatyczniejszy okres niemieckiej agresji, stosunek Londynu do Irlandii ewoluował od stanu zirytowanej pretensji do dumnej pogardy. Ten nastrój można ubrać w słowa: „Daliśmy sobie radę bez was, choć było nam ciężko. Teraz patrzmy na was jak na tchórze”. Ten nawrót brytyjskiego patrzenia z góry na Irlandię na nowo skłonił premiera Eamona De Valerę do antybrytyjskich demonstracji niezależności. Być może takie emocje skłoniły irlandzkiego szefa rządu do wizyty w poselstwie niemieckim 2 maja 1945 r., aby złożyć oficjalne kondolencje z powodu śmierci Hitlera. Informacja o tym geście wywołała falę oburzenia w Wielkiej Brytanii i USA. Równie krytycznie przyjmowano informacje o akcji przyjmowania i dożywiania w Irlandii grup niemieckich dzieci tuż po wojnie.

Wszystko to spowodowało, że czas drugiej połowy lat 40. to okres izolacji politycznej Irlandii. Amerykanie nie zaprosili Zielonej Wyspy do grona państw założycieli ONZ. De Valera wykorzystał ten okres zimnej wojny na linii Dublin – Londyn do zerwania ostatnich więzów z Wielką Brytanią. W 1948 r. zostaje przyjęta zmiana w konstytucji wyraźnie określająca, że Irlandia jest republiką, a w 1949 r. nastąpiło oficjalne zerwanie z Wielką Brytanią. Król Jerzy VI zaprzestał używania tytułu króla Irlandii. Dopiero w 1955 r. Irlandia została przyjęta do ONZ. Jednak jeszcze w drugiej połowie lat 50. niemiecki pisarz Heinrich Böll, podróżujący po wyspie, z konsternacją wspominał, że gdy w pubach odkrywano, że jest Niemcem, niejednokrotnie czczono jego obecność toastami za Hitlera.

HISTORIA

DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

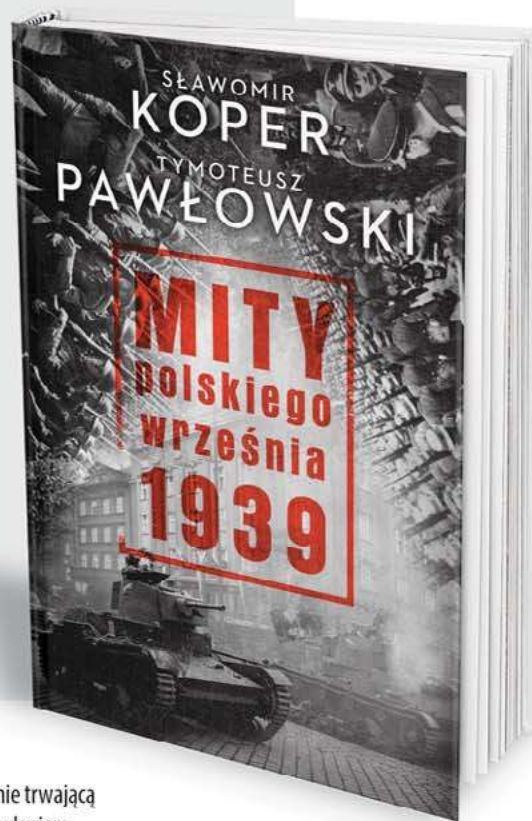
PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA SŁAWOMIR KOPER, TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI „**MITY POLSKIEGO WRZEŚNIA 1939**”

**NASZA HISTORIA OBFITUJE W LEGENDY, KTÓRE
ZADOMOWIŁY SIĘ W PODRĘCZNIKACH
I W POWSZECHNEJ ŚWIADOMOŚCI.
JEDNĄ Z NAJWAŻNIEJSZYCH SĄ OPINIE NA TEMAT
KAMPANII WRZEŚNIOWEJ.**

Rozprawiając się z najbardziej szkodliwymi mitami wojny 1939 roku autorzy książki weryfikują opinie na temat kluczowych postaci i wydarzeń. Dla wielu Czytelników może to być ogromnym zaskoczeniem...

78 zł

oszczędność 64 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl/57a4d27d33



1895–1941 / Poeta, krytyk literacki, tłumacz i wydawca

Witolda Hulewicza

twarda rota wierności i wiary



Krzysztof Masłoń

Był wybitnym poetą związanym z Wielkopolską i Wileńszczyzną. Zginął śmiercią tragiczną – zgładzony przez Niemców w podwarszawskich Palmirach. Była to zemsta za walkę podziemną

W 1940 r. został aresztowany przez Niemców i osadzony na Pawiaku. Torturowany w gestapowskiej katowni w al. Szucha, Witold Hulewicz nie tylko nie wydał nikogo z podziemia, lecz także z za krat więzennych udawało mu się wysyłać artykuły do pisma „Polska Żyje”, którego był organizatorem. 12 czerwca 1941 r. został rozstrzelany w Palmirach, wraz z m.in. Stanisławem Piaseckim. Miał 46 lat.

W 120. rocznicę urodzin poety Oficyna Literatów i Dziennikarzy „Pod Wiatr” opublikowała reedycję jego tomu poetyckiego „Miasto pod chmurami”, a niedawno do kolejnego wydania w tym samym kształcie doprowadziła Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Zredagowaną przez Romualda Karasia książeczkę zamyka wspomnienie córki Witolda Hulewicza, Agnieszki Feillowej z domu Hulewiczówny. Oto finał tekstu: „Na tydzień przed Jego śmiercią Gesta po rezygnuje z wydobycia czegokolwiek z uparcie milczącego więźnia. Odczytują Mu wyrok śmierci. W kieszonkowym kalendarzyku (który mam do dzisiaj) zaznacza krzyżyk przy dacie 12 czerwca 1941 roku. W bibliotece więziennej skazanych spowiada szary, niepozorny wiezień: jest to książd Maksymilian Kolbe. Rozdaje Komunikanty, przemycane przez strażnika za pazuchą. Pisze ostatnią kartkę (z konieczności po niemiecku) do matki i córki. Przetłumaczona dosłownie na polski brzmi:

11 czerwiec 1941 r.

Moje najdroższe Matko i Córeczko!

Niech Wam Bóg zapłaci za wasz cudowny list

wczorajszy. Proszę już paczek nie przysyłać.

Pozdrowcie i ucałujcie ode mnie wszystkich

krewnych i przyjaciół, a szczególnie gorąco

ucałujcie się wzajemnie w moim imieniu.

Modł się żarliwie.

Nie odpowiadam na żadne poszczególne pytania.

Nic nie jest ważne.

Kładę krzyżyk na czoło mego Dziecka, które żyje tak poważnie i pięknie. Bądźcie zdrowe. Zobaczmy się znowu.

*Wasz całą duszą
Witold*

W dniu 12 czerwca 1941 r. o godz. 4 wyjechały samochody z podwórza na Pawiaku. Wiozły 14 kobiet i 15 mężczyzn. Przejechały przez miasto i skierowały się szosą na Modlin. Na 22. km połną drogą skręciły w lewo, następnie za wsią Palmiry w prawo, w las.

W lesie żandarmi ustawili skazanych na krawędzi dołów. Rozległa się salwa. Było święto Bożego Ciała”.

Legł na posterunku

W Warszawie zamieszkał w 1935 r. po przeprowadzce z Wilna, po głośnym pojedynku ze Stanisławem Catem-Mackiewiczem. Gdy nad Wilią był kierownikiem programowym Rozgłośni Wileńskiej Polskiego Radia, w Warszawie objął w radiu stanowisko szefa działu literackiego. Na polu zawodowym osiągnął niemałe sukcesy, współtworząc Teatr Polskiego Radia zwany Teatrem Wyobraźni. Jako autor wstawił się, jeszcze w Wilnie, słuchowiskiem „Pogrzeb Kiejstuta”.

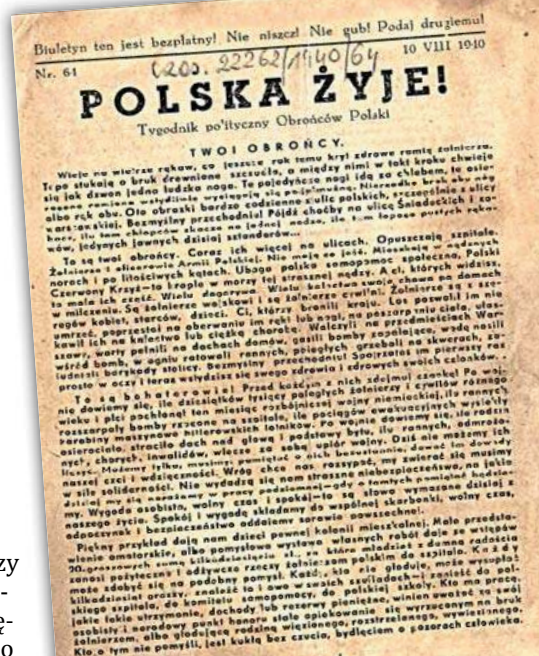
We wrześniu 1939 r., gdy pracownicy Polskiego Radia są ewakuowani, cofa się do obłożonej stolicy, towarzysząc w ostatnich dniach funkcjonowaniu polskich władz z prezydentem Stefanem Starzyńskim na czele. Świetnie znając niemiecki, przemawia przed radiowymi mikrofonami do żołnierzy Wehrmachtu w ich języku. Jego uniesienie i pasję hitlerowcy mu zapamiętają oraz będą chcieli wykorzystać do swoich celów. Bezowocnie.

Niemal od razu rzuca się w wir pracy podziemnej. Redaguje pismo

„Polska Żyje”, organ Komendy Obrońców Polski, w której to komendzie był szefem wydziału propagandy. To na łamach „Polska Żyje” ukaże się krajowy pierwodruk sławnego wiersza „Alarm” Antoniego Słonimskiego. Ścisłe współpracuje Witold Hulewicz z Zofią Kossak-Szczuczką, o którą w trakcie przesłuchań często będzie pytany. Gdy 2 września 1940 r. zostaje aresztowany, prowadzenie pisma przejmie jego brat – Jerzy Hulewicz. Przeżyje brata ledwie o trzy tygodnie – umrze na atak serca.

Witold Hulewicz dla Niemców użyteczny był, do czasu, jako tłumacz. Występował więc niejako w roli podwójnej: podejrzanego, a przez to poddawane go torturom, oraz tłumacza właśnie, co wydłużało pobyt poety na Pawiaku, skąd dowożono go na Szucha. W tym czasie pięciokrotnie (!) udało mu się spotkać ze swoją córką Agnieszką, aresztowaną w grudniu 1940 r. A przez polskich strażników z Pawiaka udawało mu się nawet przesyłać artykuły do „Polska Żyje”. I wiersze, takie jak „Mogła na skwerze” Witolda Hulewicza.

*Nogą można potrącić – tuż obok rynsztoka,
W biednych kwiatów i hełmu stalowym rynsztunku
Krzywy napis: „Nieznany”. I z błota powłoka,
I słowa twardej chwały: „Legł na posterunku”.*



Konspiracyjne pismo Komendy Obrońców Polski. FOT. WIKIPEDIA



Grób Witolda Hulewicza
w Palmirach FOT. WIKIPEDIA

■ *Jemu to się należy najszerszy z paciery,
Co umierając, szeptał: „Warszawy nie damy”.
Grób na skwerze ulicznym, krzyż z okiennej ramy,
Taka mała mogiłka – a w niej wielkość leży!*

Witold Hulewicz przyszedł na świat w Wielkopolsce, w rodzinnym majątku Kościanki pod Wrześnią. Jego rodzice, ziemianin Leon Hulewicz i pianistka Helena z Kaczkowskich, mieli siedmioro dzieci: trzy córki i czterech synów. Najstarszy, Bohdan, był współorganizatorem powstania wielkopolskiego, w którym i Witold wziął udział. Zainteresowania artystyczne Witolda łączyły go z koleją najbardziej ze starszym o dziewięć lat Jerzym, teoretykiem sztuki, pisarzem i malarzem nurtu ekspresjonistycznego.

Maturę Witold zdawał w Śremie, działając w skautingu i kółku samokształceniowym Towarzystwa Tomasza Zana. Po wybuchu wojny (pierwszej światowej) wcielony został do armii pruskiej i skierowany na front belgijski i francuski; walczył nad Sommą. Z powstania wielkopolskiego wyszedł w stopniu kapitana. W cywilu podjął studia – polonistyczne i muzykologiczne – w Poznaniu, odbył też praktykę w księgarni Fiszer i Majewskiego. Później kontynuował studia na paryskiej Sorbonie.

Bracia Hulewiczowie namówieni przez Stanisława Przybyszewskiego do

zawiązania w Poznaniu spółki wydawniczej Ostoja i założenia – jak miało się okazać – znakomitego ekspresjonistycznego dwutygodnika „Zdrój”, wdawali się również w inne działania artystyczne, wysoce jednak nieintraatne, co doprowadziło do tego, że na pokrycie długów „Zdroju” musieli sprzedać Kościanki.

Gdy w 1925 r. przyjeżdżał Witold Hulewicz do Wilna, wydawać się mógł człowiekiem przegrany. Miał za sobą nieudane małżeństwo (ożenił się w roku 1920, rozwiódł w roku 1926), upadek księgarni, wydawnictwa, pisma. Przed sobą jednak pasmo prawdziwych sukcesów odniesionych głównie na falach eteru. Był poza tym już znanym autorem. Debiutował w 1921 r. tomem poezji „Płomień w garści”, ogłaszał tłumaczenia powieści Maxa Broda, Rabindranatha Tagorego, Johanna Wolfganga von Goethego. Systematycznie przekładał uwielbianego przez siebie poetę – Rainera Marię Rilkego, z którym się zaprzyjaźnił.

Nadajemy z Celi Konrada

W Wilnie jest kierownikiem literackim „Reduty” Juliusza Osterwy, redaguje

„Tygodnik Wileński”, zakłada Związek Zawodowy Literatów Polskich w Wilnie, zostając jego sekretarzem, a następnie prezesem, współtworzy kabaret literacki Smorgonia, wreszcie zakłada Radę Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych, tzw. Erwuzę, i zostaje jej wiceprezesem.

Samego siebie przechodzi w Polskim Radiu, w którym piąta w kraju Rozgłośnia Wileńska, dzięki Hulewiczowi właśnie, szybko zdobywa prymat w dziedzinie programów literackich. Nowy dyrektor dokonuje świetnych wyborów personalnych, zatrudniając m.in. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i Czesława Miłosza. Powszechnie podobają się transmitowane na całą Polskę „Środy Chopinowskie” i „Środy literackie”, nadawane z Celi Konrada w klasztorze pobazylińskim.

Hulewicza wszędzie jest pełno, wygłasza pogadanki i pisze artykuły, współdziała z prof. Stanisławem Lorentzem przy zabezpieczaniu odkrytych w czasie powodzi grobów królewskich. Jego działalność w Komitecie Budowy Pomnika Mickiewicza wywołuje zaostrenie konfliktu ze „Słowem” Stanisława Cata-Mackiewicza.

„Cat” często występował przeciw władzy, co w efekcie zaprowadzić go miało nawet do Berezy, Hulewicz znajdował oparcie u wojewody Ludwika Bociań-

skiego i tego już wystarczyło, by spór się zaogniał. Naprawdę chodziło o to, że bracia Mackiewiczowie są „tutejsi”, są „krajowcami” i chcą dominować nad braćmi Hulewiczami.

Mnożyły się więc obustronne ataki personalne, karykatury, aż w końcu doszło do pojedynków.

Chmury wiele wiedzą

Jak wyglądał ten najsławniejszy, próbowały po latach opisać Agnieszka Rybak i Anna Smółka w książce „Wieża Eiffla nad Piną. Kresowe marzenia II RP”:

„W mrocznej, stylizowanej na średnio-wieczną, Sali Rycerskiej studenckiego konwentu Polonia błysnęły klingi. Ściany obwieszone zbrojami i tarczami. Potężny stół z tronuującym u szczytu ciężkim fotelem misternie rzeźbionym w czarnym dębie.

Na stole oprawiona w czerwoną skórę księga praw konwentu i dwa skrzyżowane rapiery. Boczna ściana jaśniejąca od nowej farby położonej na płamę po krwi, która chlusnęła z szyi porucznika piechoty śmiertelnie ciętego pałaszem przez porucznika ułanów. Ledwie uchwytny męski odór piwa i wina pozostały po ucztach. Ulubione miejsce wileńskich pojedynków.

Walka trwała minutę, może dwie. Obaj mężczyźni krwawili. Prowadzący wydał okrzyk: »Stać!«. Witold Hulewicz i Stanisław Cat-Mackiewicz odstąpili od siebie. Do rannych przyskoczyli sekundanci i lekarz. Zakończył się jeden z najsławniejszych pojedynków II Rzeczypospolitej”.

Skandal uniemożliwił dalsze funkcjonowanie Hulewicza i „Cata pod tym samym wileńskim niebem. Szkoda, bo Hulewicz wyjątkowo pięknie o nim pisał – w „Mieście pod chmurami”:

Dla Mieczysława Limanowskiego

Takich chmur, jak nad Wilnem, nie ma w żadnym kraju.

*Tu, kiedy księżyc ciężki w noc za pługiem kroczy,
one mu wichrów bryzgi sypią w jasne oczy
i skiby obsiadają, jak goście z wyraju.*

*Tu chmury, jak leniwe w procesjach sztandary,
Zaskaniać chcą idący za nimi Sakrament –
chmury jak mury, chmury jak rozgłosny lament,
chmury jak twarda rota wierności i wiary.*



*A jeśli szaro tkane – jak strój misjonarzy.
A jeśli z brzozy lane – jak kark nieugięty.
A jeśli w czerni zasnuje – jak mrok tajnie święty.
A jeśli w złocie kute – jak miecz Pańskiej Straży.*

*Przez wieki siła w niebo buchała oparna,
przez wieki wielka wola w planety dymiła,
łzy na upór gęstniały, z krwi tężała bryła,
z kądzieli mgła spowiła wieże, legendarna.*

*Więc chmury cię wyboru uczą na rozstaju,
bo chmury wiele wiedzą, chmury wiele umią,
chmury w twą chmurność patrzą i wszystko rozumią...
I przeto chmur, jak w Wilnie, w żadnym nie ma kraju.*

W okresie wileńskim wydaje Hulewicz kolejne przekłady z Rilkego, a wyrazem jego zainteresowań światem muzyki są książki o Beethovenie, „Przybłęda Boży” (1927) i tom poezji „Sonety instrumentalne”.

Cmentarz śmiertelnych aniołów

Nauki pobierał w szkołach niemieckich, ale najważniejsze lekcje – polskiego patriotyzmu – odrobił w domu rodzinnym i później, w pracy dla dobra Rzeczypospolitej.

Jeszcze w czasie okupacji ukazały się jego wiersze wojenne, w wydanej w 1942 r. pod redakcją Czesława Miłosza podziemnej antologii „Pieśń niepodległa”. Obok utworów Staffa, Słonimskiego, Broniewskiego, Tuwima. I Baczyńskiego. A pisał Hulewicz o Warszawie, ostatnim z jego miast. Najważniejszym.

W wierszu „Warszawa” czytamy:

*Trupie ulice domów bohaterskich
Dymią krwią jeszcze ciepłą, która nie zastygnie.
Nad Warszawą gęstnieją straszne zemsty mroki
W głodu, ognia i wojny obłądnej malignie.*

*Spalony zamek, wieże zburzonych kościołów.
Trąd pocisków na murach, wygrzyzione wrzody,
Stolica gruzów – cmentarz śmiertelnych aniołów!
Parki nie dają cienia, ni Wisła ochłody.*

*Lecz nad gruzami, zbrojną, nieodmienną drogą,
Co nową hekatombą zrobiła się żywna,
Książę jedzie na koniu z przestrzeloną nogą
I ponad trupy mówi: Honor i Ojczyzna!*

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wreszcie! Wreszcie ktoś napisał książkę, z której możemy się dowiedzieć, kim byli Żołnierze Wyklęci. Do myślałem się, że stwierdzenie to może wywołać zaskoczenie. Przecież w ostatnich latach wydane zostały tysiące książek i artykułów, które w najdrobniejszych szczegółach opisują działania powojennego podziemia antykomunistycznego. No właśnie, działania. I niewiele więcej.

Ze wspomnianych tekstów możemy się dowiedzieć, jakie były personalia poszczególnych żołnierzy. Od oficerów do szeregowców. W jakich brali udział akcjach, jak nazywali się ubecy, z którymi walczyli. Historycy podziemia w szczególności sposób zrekonstruowali trasy przemarszów poszczególnych oddziałów. Na podstawie akt sądowych opisali sprawy, które wytaczał im komunistyczny aparat (nie)sprawiedliwości.

Wiele z tych tekstów bez wątpienia ma dużą wartość merytoryczną, ale jest z nimi zasadniczy problem. Ich czytelnik często grzęźnie w szczegółach – gąszczu „pseudonimów” i nazw geograficznych, w bardzo podobnych do siebie opisach potyczek. A na koniec, po odłożeniu książki, właściwie nie wie, kim tak naprawdę byli Żołnierze Wyklęci. Nie chodzi tu oczywiście o nazwiska, ale o to, jakimi byli ludźmi.

Tę kolosalną, zdumiewającą wręcz lukę w naszej historiografii wypełnia fantastyczna książka dr. hab. Mariusza Mazura. Tytuł mówi wszystko: „Antykomunistycznego podziemia portret zbiorowy 1945–1956”. Znakomity historyk z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie na podstawie dzienników, wspomnień i innych dokumentów epoki stara się udzielić odpowiedzi na kluczowe pytania.

- Jakiego było pochodzenie żołnierzy podziemia?
- Jaka była ich motywacja? Dlaczego trafiali do oddziałów?
- Jak radzili sobie ze stresem i z napięciem związanym z walką?
- Jakimi mieli poglądy polityczne?
- Jakimi mieli nadzieje na przyszłość?
- Czy wierzyli w Boga?
- Jak spędzali czas wolny?
- Jak wyglądało ich życie towarzyskie i seksualne?

Doktor Mazur porusza również wiele trudnych tematów. Tematów, których jak ognia unikają ci badacze podziemia



Żołnierze 5. Wileńskiej Brygady AK, w środku Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” FOT. IPN

Podziemie / Historia prawdziwa

Wyklęci z krwi i kości

niepodległościowego, którzy piszą nie w sposób obiektywny, tylko propagandowo-patriotyczny. Czyli: kłopoty z dyscypliną, nadużywanie alkoholu, konflikty wewnętrzne, dezercje, przypadki bandytyzmu i zbrodni przeciwko ludności cywilnej. Przez szeregi powojennych oddziałów przeszły tysiące żołnierzy. Wbrew brązownikom naszych dziejów nie wszyscy z nich byli aniołami.

„Ze względu na rolę, jaką powojenne podziemie niepodległościowe pełni w polityce historycznej ostatniej dekady – pisze Mariusz Mazur we wstępie – oraz zdarzające się bezpardonowe, pozanaukowe ataki na punkty widzenia odmienne od oficjalnego, tekst miejscami będzie obfitował w liczne cytaty ze źródeł. Zdaje sobie sprawę, że części historyków zapisy z przeszłości nie przeszkadzają w kreowaniu mitów służących polityce tożsamościowej, a lekceważenie rzetelności naukowej usprawiedliwiane jest wartościami wyższego rzędu.

Najczęściej stosowanym zabiegiem manipulacyjnym jest przemilczanie treści niepasujących do założonego wzorca, drugim – radykalne spłycenie tematyki. W ostatnim czasie pojawiła się też trzecia metoda – nieszanowanie zasad logiki”.

Tęgo w książce dr. Mariusza Mazura Państwo oczywiście nie znajda. To rasowy historyk, a nie propagandysta. Nie przedstawia historii w sposób lukrowany, ale również specjalnie jej nie przy czernia. Ukazuje żołnierzy podziemia w sposób prawdziwy. A co za tym idzie – piekielnie ciekawy. ©© **Piotr Zychowicz**



MARIUSZ MAZUR
„ANTYKOMUNISTYCZNEGO
PODZIEMIA PORTRET
ZBIOROWY 1945-1956”

BELLONA

Bohaterowie Legionów

Edmond Szalit mawiał, że Polacy, którzy powiedzieli sobie, że lepiej nie żyć, niż żyć w niewoli, znaleźli się w Legionach. Szalit to jeden z prawie 130 oficerów Legionów, poległych i zmarłych w latach 1914–1916, których sylwetki przedstawia Marek Gałęzowski, świetny znawca życiorysów legionistów i piśmudczyków. Byli to przede wszystkim dwudziestoparolatkowie przejęci myślą o niepodległej Polsce. Jak pisze autor, większość z nich zapowiadała się na znakomitych oficerów armii polskiej.

Autor nie pisze suchych życiorysów. Korzystając z wniosków odznaczeniowych, ze wspomnień, także tych pisanych na gorąco podczas pierwszej wojny światowej, przedstawia charaktery oficerów legionowych oraz ich bohaterские czyny.

„Ppor. Marynarz Dąbrowski zdany na własne siły, nie traci przytomności, tylko świecąc przykładem męstwa i zimnej krwi, porywa swój pluton do ataku, zmuszając Rosjan do ucieczki. W swym dalszym ataku z flanki [...] zostaje ppor. Marynarz-Dąbrowski ugodzony kulą w głowę, ponosząc śmierć. Pluton jednak, zagrzany przykładem męstwa i bezgranicznego poświęcenia swego dowódcy, natarcie swoje przeprowadza do końca, umożliwiając w ten sposób udanie się akcji wspólnej”.

To opis epizodu boju pod Przepiórowem, w którym poległ 20-letni Tadeusz Dąbrowski, w prostej linii potomek gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. Za swój czyn został odznaczony pośmiertnie, w niepodległej Polsce, krzyżem srebrnym *Virtuti Militari*.

O rok starszym Mieczysławie Kwiecińskim, także poległym pod Przepiórowem, pisano we wniosku odznaczeniowym, że „był wzorem oficera polskiego o wysokiej wartości moralnej, umiejącego w najcięższych warunkach wytrwać na stanowisku i raczej życie złożyć dla Ojczyzny, aniżeli powierzonego mu szczytnego zadania nie spełnić”.

Oficerowie przedstawieni w bogato ilustrowanej książce „My idziemy w zórz świtanie...” zasługują na szacunek i pamięć – podobnie jak każdy legionista – gdyż walczyli i polegali w boju o niepodległość Polski. Dlatego dobrze się stało, że zostali przypomniani przez Marka Gałęzowskiego. © © *Tomasz Stańczyk*



MARK GAŁĘZOWSKI

„MY IDZEMY W ZÓRZ ŚWITANIE... SYLWETKI OFICERÓW LEGIONÓW POLSKICH POLEGŁYCH I ZMARŁYCH W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ W LATACH 1914–1916”

IPN, WBH

Z Auschwitz za ocean

Amerykańska dziennikarka dopiero od Henryka Zgudy dowiedziała się (i cennie to opisała), że w Auschwitz mordowano nie tylko Żydów, lecz także Polaków, a również tego, czym była i jest Polska. Od artykułu o ciekawym sąsiedzie zaczęła rozmowy z nim, a ich zapis stanowi fascynującą historię młodego więźnia niemieckich łagrów z lat 1942–1945, pływaka i waterpolisty będącego pod obserwacją bezpieczeństwa PRL, zbiega z 1957 r., który trafia w 1959 r. do USA.

Zostaje trenerem i fizjoterapeutą. Żeni się z Nancy, otoczony miłością również jej włoskiej rodziny poznaje ciekawych

ludzi – w tym milionera, który pragnie go urządzić w Kalifornii, czy Jerzego Kosińskiego. Wielokrotnie mu pomagał – bez wzajemności (co zauważa autorka) – po ślubie pisarza z bogatą wdową. To prawdziwa, bardzo przyjazna Polakom książka. © © *(m.r.)*



KATRINA SHAWVER

„OD AUSCHWITZ DO AMERYKI”

REPLIKA



MIŁOSZ SOCHA

„WOŁYŃ, ŚWIADKOWIE MÓWIĄ”

KSIĘŻY MŁYN

OSTATNI ŚWIADKOWIE

Pięć kobiet opowiada autorowi o swoich dramatycznych przeżyciach podczas wołyńskiej rzezi. Te bolesne wspomnienia ostanich świadków obudziły w nich skrywane emocje. „Co, Iruś! Co ty tu robisz? Uciekaj, bo już mordują u Borutów! [...] Biegłam sama w to pole, w te zboża... zęby mi szczękały... Pan sobie nie wyobraża. Te nerwy mi zostały, tak strasznie choruję całe życie na nerwy. © © *(t.s.)*



ZENON HARASYM

„TADEUSZ ROŻEK. OFICER I FOTOGRAF”

IPN

ŚWIATŁOCZUŁY DOKUMENT HISTORII

Wspaniałym dokumentem są zdjęcia żołnierza-fotomatora Tadeusza Rożka (1897–1940), jego losy w c.k. armii podczas wojny światowej i w Wojsku Polskim z lat wojen o niepodległość, zamordowanego przez Sowieców w 1940 r. Czytamy, jak fotografia wojenna rozwinęła się od wojen krymskiej i secesyjnej do wielkiej wojny, a to dzięki szpulowemu aparatowi i rolkowej błonie fotograficznej. © © *(m.r.)*



„DYWERSJA I SABOTAŻ KOBIECI (DYSK) KG AK. WSPOMNIENIA”

FUNDACJA HISTORIA.PL

KOBIETY W AK

Bez kobiet trudno wyobrazić sobie naszą konspirację. To one przenosiły meldunki, pracowały w wywiadzie, udzielały schronienia, „spalonym” żołnierzom, a w lasach – opatrywały rannych i karmiły partyzantów. Ale nie tylko. Również walczyły z bronią w ręku z wrogami. Tak jak Polki wchodzące w skład tajnego specjalnego oddziału dywersji „Dysk” Komendy Głównej Armii Krajowej. Ich relacje są po prostu fascynujące! Bohaterki. © © *(p.z.)*



Lewis, Clark i Sacajawea FOT. WIKIPEDIA

Widać ocean! O radości!

Najkorzystniejszym zakupem ziemi w dziejach nazywa Stephen Ambrose transakcję zawartą w 1803 r. między Francją a USA. Wysłannik prezydenta Thomasa Jeffersona przedstawił Napoleonowi ofertę kupna Nowego Orleanu, a ten wyraził gotowość sprzedaży całej Luizjany, która obejmowała bezkresy na zachód od Missisipi aż do Gór Skalistych, a na północ – do granic Kanady. Za 15 mln dol. Stany Zjednoczone podwoiły dotychczasowe terytorium.

Aby rzeczywiście osiągnąć te ziemie, trzeba było je zbadać. Wiosną 1803 r. zaczęto organizować, a następnego roku wysłano wyprawę kpt. Meriwethera

Lewisa i por. Williama Clarka z zadaniem znalezienia nieprzerwanej drogi wodnej wiodącej na zachód przez dwie trzecie kontynentu oraz opisanie tego, co Jefferson kupił od Napoleona. Kontynent ze wschodu na zachód przemierzył stosunkowo niedawno (1792–1793) szkocki kupiec i podróżnik Alexander Mackenzie, ale podążał pieszo, a jego szlak wiódł przez dzisiejszą Kanadę.

Amerykany spłynęli Ohio, a następnie podążali setki kilometrów i długie miesiące w górę Missouri. Aby dostać się do rzeki Kolumbia,

mającej ujście w oceanie, musieli pokonać góry Bitterroot. 7 października 1805 r. „Clark zapisał w dzienniku nieśmiertelne słowa: »Widać ocean! O radości!«”. Podróżni przemierzali lasy, prerie i góry, poznali i opisali stany nabyte w 1803 r.: Missouri, Kansas, Nebraska, Iowa, obydwie Dakoty oraz Montanę. Umożliwili przejście przez USA ziem niewchodzących w obręb Luizjany: Idaho, Waszyngton i Oregon na północnym zachodzie.

Towarzyszyło im kilkunastu specjalnie dobranych żołnierzy. Tylko sierż. Charles Floyd nie przeżył wyczerpującej i niebezpiecznej eskapady (zmarł na atak wyrostka robaczkowego). Ekipie sprzyjało szczęście – dzięki Indianom Mandanom przeżyli zimą, upolowali wiele zwierząt, a żadne nie upolowało ich, znaleźli znakomitych przewodników i tłumaczy: francuskiego Kanadyjczyka i jego żonę Sacajawea z plemienia Szoszonów. Właśnie Szoszonowie użyli białym koni, bez których ci nie pokonaliby gór.

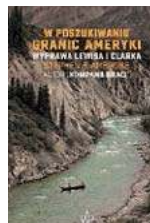
Autor „Kompanii braci”, i tym razem napisał porywającą książkę. Dodajmy, że wraz z żoną pokonał wcześniej cały szlak wyprawy oraz odtworzył i zebrał

całość najdrobniejszych faktów. Dowiadujemy się np., że ojciec Lewisa był w Wirginii sąsiadem i przyjacielem Jeffersona, a jeden ze stryjów poślubił siostrę Washingtona. © © Maciej Rosalak

STEPHEN E. AMBROSE

„W POSZUKIWANIU GRANIC AMERYKI. WYPRAWA LEWISA I CLARKA”

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE



Koszmar XX w.: ludzie za drutami

Kto wymyślił obozy koncentracyjne? Gdyby zadać to pytanie zwykłym zjadaczom chleba, odpowiedzi pewnie byłyby różne. Przeciętny człowiek Zachodu bez wahania powiedziałby – Hitler! A człowiek Wschodu – Lenin! Obywatel RPA wskazałby zaś na obozy utworzone przez Brytyjczyków dla ludności burskiej.

Wszystkie te odpowiedzi byłyby niefortunne. Obozy koncentracyjne wymyślił bowiem Hiszpanie. Zamknęli w nich w latach 90. XIX w. tysiące Kubańczyków, którzy próbowali wywalczyć wolność dla swojej wyspy. „Zanim w Europie powstały nazistowskie fabryki zagłady

i zanim do sowieckiego GUŁagu trafił pierwszy więzień – w istocie, zanim jeszcze rozpoczął się XX w. – w miastach i miasteczkach Kuby pojawiły się pierwsze obozy koncentracyjne. Współczesny eksperyment polegający na przewencyjnym przetrzymywaniu grup cywilów bez procesu zapoczątkowali dwaj hiszpańscy generałowie”.

W ten sposób rozpoczyna się fascynująca opowieść Andrei Pitzer o historii obozów koncentracyjnych. Od Kuby przez wojny burskie, wielką wojnę, Archipelag GUŁag, Auschwitz do amerykańskiego Guantanamo na Kubie. A więc historia zatacza koło i wraca do punktu wyjścia.

Autorka „Nocy, która się nie kończy” opisuje gehennę milionów ludzi, którzy w XX w. zostali zamknięci za drutami. Ofiary i katów. Opisuje lokalną specyfikę, ale również zdumiewające podobieństwa, które łączyły obozy stworzone przez ludzi, aby gnębić bliźnich. © © Piotr Zychowicz



ANDREA PITZER

„NOC, KTÓRA SIĘ NIE KOŃCZY. HISTORIA OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH”

ZNAK

Jak ujęto generała „Grotę”

Centralny Ośrodek Szkolenia i Edukacji ABW im. gen. dyw. Stefana Roweckiego „Grotę” w ramach upowszechniania wiedzy o swym patronie wydał publikację „Generał Stefan Rowecki »Grot«, tropiony dowódca podziemnej armii” (jej treść będzie wkrótce dostępna także na stronie internetowej www.abw.gov.pl). Składa się z kilku nastu artykułów poświęconych osobie generała. Najciekawszym jest tekst dr. Pawła Kosińskiego pt. „Niemieckie poszukiwania generała Stefana Roweckiego”.

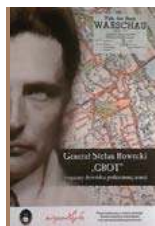
Zawarte są w nim informacje o działaniach niemieckich służb specjalnych, mających na celu aresztowanie dowódcy AK. Ustaleniem miejsca pobytu „Grotę” zajmowało się specjalne Rollkommando kierowane przez SS-Untersturmführera Ericha Mertena należące do IV Wydziału (gestapo) warszawskiej Komendatury Policji i Służby Bezpieczeństwa.

Przełom w sprawie rozpracowania gen. Roweckiego nastąpił w momencie podjęcia współpracy z gestapo przez oficera AK Ludwika Kalksteina, który wciągnął do tego procederu swego szwagra Eugeniusza Świerczewskiego. Świerczewski został zarejestrowany przez SS-Sturmscharführera Paula Bartza, pracującego w referacie IV C 1 KdS Warschau pod kryptonimem V-100. Był on dla gestapo szczególnie cennym nabytkiem, bo znał Roweckiego jeszcze sprzed wojny. 30 czerwca 1943 r. zauważył go na Solcu, po czym, śledząc, ustalił, że generał wszedł do jednej z kamienic przy ulicy Spiskiej. O tym fakcie agent poinformował telefonicznie gestapo. Niemal natychmiast na Spiskiej pojawił się prowadzący Świerczewskiego wspomniany Erich Merten wraz ze 100-osobowym oddziałem uzbrojonych policjantów (SS-Rottenführer Erich Mielke po wojnie zeznał, że na miejsce przybyli funkcjonariusze gestapo oraz wartowniczy oddział kozacki). Po zidentyfikowaniu generała przewieziono początkowo do siedziby gestapo na Szucha, a następnie do Berlina. Komendant AK jako więzień specjalny trafił do

KL Sachsenhausen, gdzie na początku sierpnia 1944 r. go zamordowano.

Pytanie, czy jednak rzeczywiście gen. „Grotę” został rozpoznany przez Eugeniusza Świerczewskiego, jest kanwą analizy przeprowadzonej przez Andrzeja Chmielarza w artykule pt. „Śledztwo kontrwywiadu oddziału II Komendy Głównej w sprawie aresztowania Dowódcy AK

PRACA ZBIOROWA
„GENERAŁ
STEFAN ROWECKI
»GROT«, TRO-
PIONY DOWÓDCA
PODZIEMNEJ ARMII”
AGENCJA BEZPIECZEŃSTWA
WEWNĘTRZNEGO CEN-
TRALNY OŚRODEK SZKOLENIA
I EDUKACJI IM. GEN. DYW.
STEFANA ROWECKIEGO
„GROTA”



gen. Stefana Roweckiego ps. Grot”. Jak wynika z tekstu, AK-owskiemu kontrwywiadowi nie udało się ustalić sprawców wyspy na Spiskiej. Człowiek, który miał to uczynić, czyli Eugeniusz Świerczewski, został zlikwidowany 20 czerwca 1944 r. za inne czyny. Andrzej Chmielarz zastanawia się, czy czasami autorem wpadki „Grotę” nie był sam Ludwik Kalkstein tudzież Krytyna B., agentka radomskiego gestapo o kryptonimie V-168. Kolejną osobą jego zdaniem podejrzaną mógł być, mający bliskie relacje z pierwszą żoną gen. Roweckiego, mieszkający w pobliżu dowódcy AK por. Władimir Bondorowski, szef kontrwywiadu podporządkowanego Abwehrze, Sztabu Specjalnego R (Sonderstab R). Wydaje się, że oskarżenia wysuwane zarówno wobec Bondorowskiego jak i komunistycznego agenta Bogusława Hryniewiczza, który proponował swym komunistycznym mocodawcom zabicie Roweckiego, wskazujące na ich odpowiedzialność za aresztowanie generała, poza domysłami nie mają żadnych konkretnych podstaw.

Na koniec warto zwrócić uwagę, że wbrew przedstawionym informacjom Chmielarz, SS-Standartenführer Ludwig Hahn nie otrzymał odznaczenia w postaci Krzyża Rycerskiego z Liśćmi Dębu i Mieczami za aresztowanie Stefana Roweckiego. Był on za to odznaczony 30 stycznia 1943 r. Krzyżem Zasługi Wojennej (Kriegsverdienstkreuz) z Mieczami I i II klasy oraz 6 grudnia 1940 r. Krzyżem Żelaznym II klasy – i Krzyżem Żelaznym I klasy – 9 października 1944 r. ©©

Arkadiusz Karbowiak

Katyński knebel

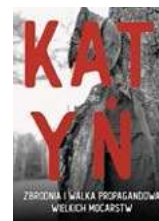
Przez pół wieku Związek Sowiecki nie tylko kłamał w sprawie zbrodni katyńskiej, lecz także zmuszał do milczenia jej świadków i ekspertów, którzy badali zwłoki polskich oficerów w 1943 r., a także dezinformował światową opinię publiczną poprzez inspirowane artykuły w prasie Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych. O sowieckim kneblowaniu prawdy o Katyniu opowiada pasjonująca książka Thomasa Urbana.

Zagroźeni więzieniem, a może i śmiercią, eksperci-lekarze z Bułgarii, Rumunii i Czechosłowacji oświadczaali – wbrew własnym przekonaniom – że zbrodni dokonali Niemcy. Takie zeznania wymuszane były też na Polakach, których Niemcy zawieźli nad doły z ciałami oficerów w Katyniu.

W Norymberdze sowieckiemu prokuratorowi Rudence nie udało się oskarżyć Niemców o mord katyński. Amerykański sędzia Francis Biddle wyśmiewał Rudenkę, gdy ten mówił o faszystowskiej zbrodni w Katyniu.

Dezinformacyjną akcją sowiecką było wypromowanie w latach 70. XX w. Chatynia, białoruskiej wsi spacyfikowanej przez Niemców, na miejsce martyrologii. Chodziło o podobieństwo nazw Chatyń i Katyń. Wyjawszy krytyczne lata zimnej wojny, Amerykanie i Brytyjczycy nie zamierzali poruszać sprawy Katynia, by nie zadrażniać stosunków z Moskwą. „Nie widzimy korzyści z przełamania milczenia” – mówił jeden z brytyjskich dyplomatów. Amerykański raport komisji senatora Maddena został wysłany do ONZ, trafił jednak do archiwum. ©©

Tomasz Stańczyk



THOMAS URBAN
„KATYŃ. ZBRODNI
I WALKA PROPAGANDOWA
WIELKICH MOCARSTW”

BELLONA

Wielka wojna / Między Morzem Czarnym i Bałtykiem

Tannenberg



Jacek Bartosiak

Latem 1914 r. europejski świat zmienił się na zawsze. Sierpień tego roku był początkiem końca europejskich imperiów kontynentalnych i w nieodległej przyszłości dał narodom Europy Środkowej i Europy Wschodniej szansę na niepodległość. Przez poprzednie kilka wieków były one kolejno zgnyatane przez zewnętrzne wobec regionu imperia: niemieckie, habsburskie, osmańskie i rosyjskie. Działo się to w nieustannym ruchu dośrodkowym imperiów, niweczącym marzenia narodów o własnej podmiotowości. Pod koniec XVIII w. jako ostatnia uległa temu procesowi Rzeczpospolita Obojga Narodów, niegdyś

wielkie imperium lądowe rozciągnięte na pomoście bałtycko-czarnomorskim. Ona też wyłoniła się na nowo z tumultu lat 1914–1921. Jako najsilniejsze z nowych państw Rzeczpospolita miała aspiracje odbudowania dawnego imperium lądowego, a przynajmniej jego sporej części.

Będąc w sierpniu tego roku na urlopie na Warmii niedaleko Biskupca, sporządziłem listę okolicznych cmentarzy po żołnierzach wielkiej wojny. Jest ich bardzo wiele, często skrytych głęboko w lasach, na malowniczych pagórkach, wśród licznych jezior, tak charakterystycznych dla tego regionu.

Najbardziej wysunięta na północ faza bitwy otwierającej starcia na froncie wschodnim, zwanej potem w literaturze przedmiotu bitwą pod Tannenbergiem, rozegrała się pod koniec sierpnia 1914 r. między Biskupcem, Czerwonką, Bieso-

wem i Zerbuniem, na północ, zachód i wschód od dużego oraz popularnego obecnie wśród warszawskich letników jeziora Dąbaj. Celem rosyjskiej ofensywy było zepchnięcie Niemców poza strategiczną linię Wisły. Manewr ten potwierdza jedną z prawidłowości polskiego teatru wojny i był powtarzany w kolejnych wojnach na terytorium Rzeczypospolitej. Prawidłowość ta polega na tym, że Wisła wraz z Nogatem oraz Malbork tworzą linię strategiczną odcinającą lub komunikującą walczące oddziały w zależności od tego, kto sprawuje kontrolę nad przeprawami przez nią.

Pomimo zaangażowania ogromnych sił na froncie zachodnim we Francji Niemcy zdołali pokonać armię rosyjską latem 1914 r. Bitwa pod Tannenbergiem miała jeszcze inne poważne następstwa. Rosyjska ofensywa w Prusach

Atak kozackiej kawalerii
rosyjskiej, obraz Aleksandra
Awerianowa FOT. ARCHIWUM

1914

w Prusach Wschodnich i rzeczywiście do 15 września korpusy niemieckie wyszły na linię Szredniki-Mariampol-Kalwaria nad Niemnem, wypychając Rosjan za tę przeszkodę operacyjną, która oddziela dawną Koronę od Litwy.

Niemcy działali zdecydowanie, zachowując pełną koncentrację sił, skupiając je, zwłaszcza artylerię, w jeden potężny instrument wojny. Rosjanie przeciwnie – działali w rozproszeniu i nigdy nie potrafili wykorzystać posiadanej przewagi liczebnej, nie stosowali żelaznej wojennej zasady ekonomii sił. Działo się tak przede wszystkim z powodu zacofania służb tyłowych i logistyki, która w dobie nowoczesnej wojny materiałowej ma bardzo istotne znaczenie. Rozciągnięcie sił i niezdolność do ich koncentracji znalazły się wśród przyczyn rosyjskich klęsk w Prusach Wschodnich podczas całej kampanii roku 1914.

Tablice pamiątkowe po wielkiej wojnie na Warmii i Mazurach zachowały się po dziś dzień, co widać na zdjęciach. Nazwiska poległych z armii niemieckiej brzmią nader często po polsku. Zresztą Polacy służący w armii niemieckiej w wielkiej wojnie pochodzili nie tylko z Warmii i Mazur, lecz także z Wielkopolski, ze Śląska i z Pomorza. W roku 1914 i w latach następnych ubrano w mundury w kolorze feldgrau nawet do 900 tys. Polaków. Prawdopodobnie ponad 100 tys. z nich zginęło.

Dwadzieścia lat później, podczas kolejnej wojny światowej, Niemcy jednak ulegli armii sowieckiej idącej od wschodu do niemieckich Prus Wschodnich, by mścić się straszliwie za okrucieństwa wojny totalnej, którą Niemcy zgotowali na wschodzie kontynentu w latach 1941–1945 i która w niczym nie przypominała kampanii wojennych na zachodzie kontynentu. Działania rozpoczęte w czerwcu 1941 r. operacją „Barbarossa” dotknęły przede wszystkim dzisiejszej Ukrainy, Białorusi, państw bałtyckich, zachodniej części Rosji i Polski, materialnie pustosząc zwłaszcza ziemie i narody żyjące między Morzem Czarnym a Bałtykiem, w miejscu zawieszonym między szeroimi horyzontami Atlantyku a masami lądowymi Eurazji, które staje się strefą zgniotu, gdy między wielkimi mocarstwami trwa wojna o dominację.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PACYFIK I EURAZJA
O WOJNIE

JACEK BARTOSIAK

JACEK BARTOSIAK
RZECZPOSPOLITA
MIĘDZY ŁĄDEM
A MORZEM
O WOJNIE I POKOJU

JACEK BARTOSIAK

PRZESZŁOŚĆ
JEST
PROLOGIEM

KSIĄŻKI DR. JACKA BARTOSIAKA

Wschodnich spowodowała wcześniejsze wycofanie z frontu zachodniego dwóch niemieckich korpusów, które co prawda nie zdążyły na pole bitwy z Rosjanami w sierpniu i zabrakło ich w momencie szczytowego niemieckiego zrywu na

zachodzie – w ofensywie na Paryż (co być może uratowało w 1914 r. Francję), jednak we wrześniu wzięły już udział w kolejnej wielkiej kampanii nad jeziorami mazurskimi. Kampania ta miała przypieczętować klęskę armii rosyjskiej



**Rafał A.
Ziemkiewicz**

/ Felieton

Amerykanie jak Polacy

Również sto lat mija od przyjęcia XVIII poprawki do konstytucji USA i wprowadzającej ją w życie tzw. ustawy Volsteada, czyli – mówiąc potocznie – od ogłoszenia prohibicji. Prawa, o które rozmaite rosnące stale w siłę ligi i stowarzyszenia walczyły rozmaitymi sposobami przez wcześniejsze sto lat, a które przetrwało zaledwie lat 13 i stało się dowodem słuszności powiedzenia, że piekło wybrukowane jest dobrymi chęciami.

tylko dlatego, że niestety zdrowe, trzeźwe społeczności nadal wystawione były na pokusy za sprawą nie tak moralnych sąsiadów. Stąd dążenie do zakazu na terenie całej Unii i ustanowienie przez Volsteada absurdalnie surowej granicy zakazu – 0,5 proc. zawartości alkoholu w napoju.

Mniej znanym wymiarem prohibicji jest to, że była to swego rodzaju druga wojna domowa w dziejach USA – wojna między protestanckimi osadnikami z pierwszej fali, tworzącymi społeczności

piwa zaś przed rokiem 1920 do tego stopnia zdominowali Niemcy, że oficjalne dokumenty amerykańskiej unii browarników były w języku niemieckim.

Prohibicja, „szlachetny eksperyment” do dziś żywy w pamięci Amerykanów, bardzo się przydaje, kiedy trzeba jakiemuś jankesowi wyjaśnić PRL. Wytwarzała podobne, iście barejowskie absurdy. Na przykład piwo było surowo zakazane, ale wolno było robić domowe wino (byle go nie przewozić). Plantatorzy sprzedawali więc odpowiednio zrobiony sok z „ostrzeżeniem” na opakowaniu, w jakich warunkach nie należy go przechowywać, żeby nie sfermentował i nie zmienił się w alkohol. Dopuszczano „medicinal whiskey” jako lekarstwo, więc zachorowalność na leczone nią choroby wzrosła błyskawicznie o 10 tys. proc. Podobnie wzrosła pobożność – mierzona zużyciem wina mszalnego. Ponieważ do celów kultu alkohol kupować mogli Żydzi na zaświadczenie od rabinów, a prawo nie definiowało, kto nim może być, nagle rabinów narobiło się w USA więcej niż w całym pozostałym świecie, przeważnie o tak żydowskich nazwiskach jak O'Hara czy Schumacher, a nawet czarnych. I tak dalej, jest o tym cały 4,5-godzinny serial PBS, można podawać przykłady bez końca.

Byla jednak jedna zasadnicza różnica. Amerykanie potrafili przyjąć fakty do wiadomości i się z absurdem szybko wycofać. W kraju, gdzie powstała słynna humoreska Mrożka o zakładaniu windy w parterowym budynku, trudno to przecenić. ©

/ Prohibicja, „szlachetny eksperyment” do dziś żywy w pamięci Amerykanów, bardzo się przydaje, kiedy trzeba jakiemuś jankesowi wyjaśnić PRL. Wytwarzała podobne, iście barejowskie absurdy

Może zresztą nie tyle „dobre chęci” tu zawiniły, ile naiwne ideolo. Bohaterowie stuletniej walki przeciwko alkoholowi naprawdę wierzyli, że jeśli zakazać picia, to wraz z nim zniknie wszelkie inne zło. Nie tylko skończą się tragedie rodzin, których ojcowie przepijali zarobki, nie tylko zniknie przemoc w rodzinie i poza nią. Ludzie przestaną kraść, ustanie prostytutka i wszelka przestępczość. Jeśli tak się nie działo w hrabstwach i stanach, gdzie prohibicję udało się wprowadzić siłami lokalnymi (jeszcze przed XVIII poprawką różne jej formy obowiązywały na mniej więcej połowie obszaru USA), to

o surowych prawach, a imigrantami. „Suchymi stanami” były głównie te „stare”, założycielskie, z przewagą ludności wiejskiej, „mokrymi” te nowe, wielkomiejskie. W narzucaniu przez pierwsze drugim prawa trzeźwości był więc element patriarchalnej wyższości postpuritańskich „WASP-ów” nad robotniczymi hordami ze środkowej i z południowej Europy i chęć ich okiełznania. Nie jest przypadkiem, że królami alkoholowego szmuglu w czasach prohibicji byli Włosi, Irlandczycy, Niemcy i Żydzi ze środkowej Europy. Produkcję



Piotr Semka

/ Felieton

Walka bez końca

Gdy Czarzasty opowiada kłamstwa o wyzwoleniu Polski przez krasnoarmiejców, Zandberg grzmi z sejmowej trybuny, że kult wyklętych wpycha się ludziom do gardła

Znacie? No to jeszcze raz posłuchajcie. Tak, to Włodzimierz Czarzasty, lider Sojuszu Lewicy Demokratycznej, wypowiadający się 27 listopada w audycji „Gość wiadomości”: „Na terenie Polski zginęło 700 tys. żołnierzy radzieckich. Gdyby pan porozmawiał z rodzicami i dziadkami, toby panu powiedzieli, że tereny, które zostały wyzwolone, tereny odzyskane, były wyzwalane przez dwie armie: Jedna armia to była armia wojska polskiego, w tym gen. Jaruzelskiego. [...] A druga to była armia radziecka”. Przywołuje też cierpienia Rosjan, Ukraińców i innych narodów byłego ZSRS, w tym cierpienia matek oplakujących swoich synów i swoje córki:

„Jeżeli ktoś obciąży żołnierzy radzieckich, którzy ginęli, to niech powie to matce, której dziecko zginęło. To są moje poglądy, poglądy polskiej lewicy. Żołnierze wyzwalali również Polskę”.

Na te słowa oburzył się PiS, oburzała się Konfederacja. Ale to już wszystko. W obozie lewicy, w której jest też podobno „inna” lewica – od Adriana Zandberga – wszyscy zapomnieli języka w gębie. A ile było na portalu „Krytyki Politycznej” przypominania, że i lewica miała swoich więźniów stalinizmu, np. Adama Ciołkosza, że też socjaliści z PPS byli niepodległościowcami, tak jak Tomasz Arciszewski czy Zygmunt Zaremba. Czy oni też uważali w latach 1944 i 1945 wkraczającą do Polski Armię Czerwoną za wyzwolicieci?

I co? I nic. Za to gdy chodzi o święto wyklętych w dniu 1 marca, tu Zandberg ma sporo do powiedzenia. W lutym 2019 r. lider partii Razem mówił: „Jeżeli poważnie traktujemy pamięć o tragicznych latach powojennych, jeżeli chcemy uczciwej historii, to święto należy zlikwidować. W obecnej formie służy do zakłamywania przeszłości. Pozwalając na chory kult zbrodniarzy, krzywdzimy rodziny ofiar”.

Gdy Czarzasty opowiada kłamstwa o wyzwoleniu Polski przez krasnoarmiejców, Zandberg grzmi z sejmowej trybuny, że kult wyklętych wpycha się ludziom do gardła. W tej kwestii jest miejsce na emocje i święte oburzenie.

A może w obronie prawdy o zniewoleniu Polski przez Stalina w latach 1944 i 1945 odezwało się Polskie Stronnictwo Ludowe? Partia, której lider Władysław Kosiniak-Kamysz, lubi przypominać jako swoich bohaterów postacie Wincentego Witosa i Stanisława Mikołajczyka? Nie, bynajmniej. Nic. Milczenie.

To może Platforma Obywatelska? Przecież partia ta czci pamięć Olgi Krzyżanowskiej, córki legendarnego dowódcy wileńskiej AK Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka”? Nic, cisza. To może głos zabrał prezydent Bronisław Komorowski, który wspierał kiedyś ustanowienie dnia wyklętych? Też brak komentarzy. A Małgorzata Kidawa-Błońska? Niedawno reklamowano ją jako prawnuczkę prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i premiera Władysława Grabskiego? I tutaj pani kandydatka na urząd prezydenta RP nie znalazła żadnego powodu do komentarza.

Wniosek z tego jest jeden. O historii niezlomnych nie możemy mówić, że została już wprowadzona na stałe do zbiorowej pamięci. Przychodzą bowiem wciąż nowe pokolenia, którym zdołamy coś wyjaśnić lub nie. Które przekonamy do wagi pewnego poświęcenia albo nie. I zawsze spotkamy na tym polu rywali, dla których pamięć wyklętych to nieprzyjemne przypomnienie, jak w tamtych latach zachowywali się ich dziadkowie. Jakich wyborów dokonywali. I te pamięci będą się ze sobą spierać w kolejnych pokoleniach.

Gdy w latach 90. toczył się spór o ocenę płk. Ryszarda Kuklińskiego, głos zabrał Wojciech Jaruzelski, który zauważył: „Jeśli dopuścimy do uznania Kuklińskiego za bohatera, będzie to oznaczać, że zgadzamy się na to, by nas uznawano za zdrajców”.

Tak, to spór o rozumienie własnej wolności i o to, czym ona jest. Bez tej samowiedzy nie można zrozumieć niczego z dziejów Polski. I Czarzasty to wie. Dlatego wybiela sowiecki walec, który miażdżył 75 lat temu wolną Polskę. ©

XVII-XX w.

Wilno

Madonna i mistyczki



Tomasz Stańczyk

Sakralne Wilno to przede wszystkim Matka Boska Ostrobramska. A także św. Faustyna, która nad Wilią spędziła kilka lat. Tu powstał obraz Jezusa Miłosiernego

W dawnej Rzeczypospolitej zwyczajem było umieszczanie świętych obrazów na bramach miasta. Nie inaczej było w Wilnie. Przybyli do tego miasta w latach 20. XVII w. karmelici dobudowali do Ostrej Bramy kaplicę, w której umieścili obraz

Matki Boskiej. Jest to dzieło anonimowego malarza, powstałe na podstawie miedziorytów przedstawiających wizerunek Madonny stworzony przez niderlandzkiego artystę.

Wileńska legenda, podtrzymywana, ale też tworzona w latach międzywojennych przez prof. Juliusza Kłosa oraz ks. Piotra Śledzińskiego, historyka sztuki, głosiła, że obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej to kryptoportret Barbary Radziwiłłówny. Sprzeciwił się temu badacz dziejów obrazu Mieczysław Skrudlik, zadając retoryczne pytanie: Czy takie świętokradztwo byłoby do pomyślenia? Barbara Radziwiłłówna nie miała bowiem nic wspólnego ze świętością, a w dość powszechnej opinii za jej życia – inna to rzecz, czy i do jakiego stopnia uzasadnionej – prowadziła przed ślubem z Zygmuntem Augustem swobodne życie erotyczne. Skrudlik wskazywał na to, że znane portrety Barbary są późniejsze niż obraz w Ostrej Bramie.

Karmelici szerzyli kult obrazu ostrobramskiego, notowali cuda z nim

związane, ale do XIX w. większy kult otaczał obraz Matki Boskiej Trockiej. Został koronowany w 1718 r. jako drugi obraz w Rzeczypospolitej, rok po obrazie jasnogórskim. Do Trok pielgrzymowali do niego m.in. królowie Jan Kazimierz i Jan III Sobieski.

Jednak w XIX w. obraz Matki Boskiej Trockiej został przyćmiony przez obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, do czego przyczyniło się bez wątpienia wspomnienie go w „Inwokacji” i w jednej z ksiąg „Pana Tadeusza”. „Im więcej ciemniejszo polskość i katolicyzm w tych stronach, tym więcej lud skupiał się przy Ostrej Bramie, nabożeństwa ostrobramskie cieszyły się licniejszą niż dawniej frekwencją” – pisał ks. Tadeusz Sieczka, przywołując opinię rosyjskiego autora, że Ostra Brama z obrazem jest sztandarem polskiego patriotyzmu na Litwie” (Tadeusz Sieczka, „Kult obrazu N. Marji Panny Ostrobramskiej w dziejowym rozwoju”, Wilno 1934).

Nic więc dziwnego, że kaplica ostrobramska drażniła rosyjskich urzędników

i nawet były plany zamienienia jej na kaplicę prawosławną. „A kto z wilnian nie pamięta nagłej śmierci dwóch dostojników imperium rosyjskiego, którzy chcieli zabrać nam Ostrą Bramę?” – pytało retorycznie wileńskie „Słowo”, przypominając historię obrazu Matko Boskiej Ostrobramskiej.

Za czasów zaborów zniknął napis: „Matko Miłosierdzia, pod Twoją obronę uciekamy się”. Proboszcz parafii ostrobramskiej, ks. Piotr Żyliński, zmienił go w czasie powstania styczniowego na łaciński, bojąc się, że napis polski zostanie i tak usunięty lub zamieniony na rosyjski.

Koronacja Madonny Ostrobramskiej

Starania o koronację podjęto po odzyskaniu niepodległości przez Polskę. Uroczystości zostały poprzedzone konserwacją obrazu z inicjatywy Jerzego Remera, konserwatora zabytków województwa wileńskiego. Odbывała się pod nadzorem prof. Ferdynanda Ruszczyca, malarza i wielkiego wileńskiego autorytetu w dziedzinie sztuki i kultury, zdjęcia obrazu robił natomiast znakomity fotografik Jan Bułhak.

Koronacja obrazu odbyła się 2 sierpnia 1927 r. Tamtego dnia padał od rana ulewny deszcz, początek uroczystości przeniesiono więc z godz. 10 na 11, ale pogoda się nie poprawiła. Mimo tego prezydent Ignacy Mościcki nie zgodził się, by mszę przed katedrą, na którą czekały tysiące ludzi, przenieść do świątyni. Widać było „stłoczone w czarną masę parasole” – relacjonowało „Słowo”. Parasol rozpięto oczywiście nad prezydentem. Obok niego siedział Józef Piłsudski. Według wileńskiej opowieści Marszałek powiedział do księdza, który chciał ochronić go przed zmknięciem: „Schowaj, ksiądz, ten parasol. Kiedy koronują Królową Polski, można stać

na deszczu. Jestem u Matki Boskiej na ordynansach” (Jerzy Surwiło, „Spacerkiem z Marszałkiem po Żmudzi, Wilnie i Wileńszczyźnie. Zdarzenia, fakty, anegdoty”, Wilno 2005).

Być może rzeczywiście tak Piłsudski powiedział, jednak zdjęcie z mszy pokazuje parasol rozpięty nad nim przez księdza. Może po prostu nie usłuchał Marszałka? Stanisław Cat-Mackiewicz zauważał: „Żaden inny rząd republikański nie zdobyłby się nigdy na tak jaskrawą demonstrację swego przywiązania do tradycji katolickich, do obrzędów katolickich, do wiary katolickiej”. Józef Piłsudski brał udział w uroczystościach jako premier, a także – a może przede wszystkim – jako wielki czciciel Matki Boskiej wyobrażonej w ostrobramskim obrazie.

Aleksandra Piłsudska pisała we wspomnieniach, że jej mąż nigdy nie rozstawał się z obrazkiem Matki Boskiej Ostro-

bramskiej, który dostał, wyruszając w 1914 r. na wojnę. O religijności Piłsudskiego mówiono i pisano bardzo różnie. Może najtrafniejszą opinię sformułował kard. Aleksander Kakowski, stwierdzając, że Piłsudski jest typowym Polakiem. „Co do istnienia Boga ma poważne wątpliwości, a jednocześnie do Matki Boskiej gorące nabożeństwo”.

Marszałek zaś mówił o Matce Boskiej z ostrobramskiego obrazu: „Nie mogę Jej nie być wdzięcznym za to, że w długim okresie poniewierki i poniżenia wszystkich, co polskie, Ona była obrończelką naszej dumy narodowej”.

Obraz Jezusa Miłosiernego

Wilno miało swego świętego – królewicza Kazimierza, patrona Wielkiego

Księstwa Litewskiego. Był drugim synem króla Kazimierza Jagiellończyka. Królewicz Kazimierz miał być osadzony na tronie węgierskim, gdy wybuchł bunt przeciw królowi Maciejowi Korwinowi, ale polska wyprawa na Węgry zakończyła się klęską. Kazimierz był później namiestnikiem ojca. Zmarł w wieku 26 lat i został pochowany w katedrze wileńskiej. Bullę kanoniczną wydał papież Leon X w 1521 r., jednak dokument ten zaginął i dopiero ponad 80 lat później, w 1602 r., Klemens VIII potwierdził kanonizację i zezwolił na obchody święta św. Kazimierza.

Z Wilnem jest związana kilkuletnim pobytom, podczas którego powstał obraz Jezusa Miłosiernego, także św. Faustyna. Do domu zakonnego w mieście nad Wilią siostra Faustyna Kowalska ze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia przyjechała w 1933 r. Dwa lata wcześniej doznała objawienia:

„Wieczorem, kiedy byłam w celi, ujrzałam Pana Jezusa ubranego w szacie białej. Jedną ręką wzniesioną do



Matka Boska Ostrobramska, grafika z XIX w. ZBIORY AUTORA

■ błogosławieństwa, a druga dotykała szaty na piersiach. Z uchylenia szat na piersiach wychodziły dwa wielkie promienie, jeden czerwony, a drugi błędy. W milczeniu wpatrywałam się w Pana, dusza moja była przejęta bojaźnią, ale i radością wielką. Po chwili powiedział mi Jezus: »Wymaluj obraz według rysunku, który widzisz z podpisem: Jezu, ufam Tobie. Pragnę, aby ten obraz czczono w kaplicy waszej i na całym świecie« (Faustyna Kowalska, „Dzienniczek. Miłosierdzie Boże w duszy mojej”, Warszawa 2003).

Siostra Faustyna zwierzyła się z tej wizji przełożonej zgromadzenia, ta jednak nie była przekonana o prawdziwości wizji, ale powiedziała: „Dobrze, dam siostrze farby i płótno, niech siostra maluje”. Faustyna nie była jednak w stanie sprostać zadaniu, a obraz powstał dopiero w Wilnie. Spotkała tam ks. Mi-

Siostra Faustyna zaczęła chodzić do jego pracowni i udzielać wskazówek, jak ma wyglądać obraz Chrystusa. W 1934 r. był ukończony, ale Faustyna nie była z niego zadowolona. Martwiła się. „Wtem usłyszałam takie słowa: Nie w piękności farby ani pędzla jest wielkość tego obrazu, ale w Łasce mojej” – zanotowała w dzienniczku.

Przed wyjazdem z Wilna s. Faustyna powiedziała ks. Sopoćce, że Jezus żąda, oprócz szczenia kultu Miłosierdzia Bożego, by obraz go przedstawiający został umieszczony w kościele. W 1936 r. ks. Sopoćko powiesił obraz w kościele św. Michała, którego był rektorem, a po roku dostał oficjalną zgodę arcybiskupa wileńskiego Romualda Jałbrzykowskiego, jednak z uwagą, że obraz nie może znaleźć się w ołtarzu. Sopoćko wydał broszurkę o Miłosierdziu Bożym, postulując ustanowienie święta Miłosierdzia

tewskim abp. Audrysem Bačkisem, który chciał zabrać obraz z „polskiego” kościoła do kościoła św. Trójcy, by stworzyć tam sanktuarium Bożego Miłosierdzia.

„Konflikt, co trzeba jasno powiedzieć, miał kontekst narodowy – pisała Ewa K. Czackowska. – Polacy traktowali obraz jako swój, polski [...]. Uważali, że skoro namalował go polski malarz według objawień polskiej mistyczki, powinien pozostać w polskim kościele. Natomiast kardynał Bačkis pragnął, aby poprzez zmianę miejsca i środowiska nadać kultowi miłosierdzia Bożego w Wilnie i na całej Litwie charakter ponadnarodowy, uniwersalny” (Ewa K. Czackowska, „Siostra Faustyna. Biografia świętej”, Warszawa 2012).

A przecież nikt nie zabraniał jednak Litwinom przychodzić do polskiego kościoła i modlić się przed obrazem Jezusa Miłosiernego. Litewski hierarcha postawił na swoim, musiano jednak użyć siły, by obraz zabrać z polskiego kościoła.

Chociaż znany dziś powszechnie w Polsce i na świecie obraz Jezusa Miłosiernego namalował podczas drugiej wojny światowej Adolf Hyła (wizerunek ten spotkał się zresztą z krytyką ks. Sopoćki), to pierwszym obrazem był obraz wileński pędzla Kazimirowskiego. Od niego zaczął się kult Miłosierdzia Bożego, który dziś ma zasięg ogólnoświatowy.

Dwa lata przed wyjazdem siostry Faustyny z Wilna, w 1934 r., do Zgromadzenia Sióstr od Aniołów wstąpiła w tym mieście Helena Majewska. Podczas drugiej wojny światowej objawił się jej Jezus, a ona sama uznała na skutek dalszych objawień, że jest kontynuatorką misji s. Faustyny w krzewieniu kultu Miłosierdzia Bożego. Także jej kierownikiem duchowym był ks. Michał Sopoćko. W 1950 r. Helena Majewska została aresztowana i sześć lat spędziła w łagrze. Wróciła potem do Wilna, gdzie zmarła, w Kalwarii Wileńskiej, w 1967 r.



Faustyna Kowalska FOT. WIKIPEDIA

chała Sopoćkę, który został jej kierownikiem duchowym. Także on sceptycznie podszedł do sprawy jej objawienia i nawet skierował Faustynę na badania psychiatryczne. Nie wykazały, żeby miała halucynacje albo urojenia. Sopoćko zanotował w swoim dzienniku:

„Wiedziony raczej ciekawością, jaki to będzie obraz, niż wiarą w prawdziwość widzeń Siostry Faustyny, postanowiłem przystąpić do namalowania tego obrazu. Porozumiałem się z mieszkającym w jednym ze mną domu artystą malarzem Eugeniuszem Kazimirowskim” (Michał Sopoćko, „Dziennik”, Białystok 2010).

Bożego. Zaczął głosić o nim kazania. Rozesłał broszurkę do biskupów, ale przeszła bez echa. Powoli zaczął się tworzyć kult obrazu Jezusa Miłosiernego, wierni palili przed nim świece. Kult ten wzmógł się podczas drugiej wojny światowej. Obraz znajdował się w wileńskiej świątyni do 1948 r., kiedy ją zamknięto. Trafił do kościoła w Nowej Rudzie, a w 1986 r. powrócił do Wilna, do kościoła św. Ducha, służącego polskim wiernym.

W roku 1993 s. Faustyna Kowalska została beatyfikowana, a w 2000 r. kanonizowana. Trzy lata później wybuchł konflikt polskich wiernych z Wilna z li-

Modlitwa za Stalina i Hitlera

Oprócz sióstr Faustyny i Heleny z Wilnem związana była jeszcze jedna mistyczka – Wanda Boniszewska. Wstąpiła w Wilnie do Zgromadzenia Sióstr od Aniołów, a śluby wieczyste złożyła w Kalwarii Wileńskiej w 1933 r. Spowiednik zauważył u niej krwawiące stygmaty,



Obraz Jezusa Miłosiernego namalowany przez Eugeniusza Kazimirowskiego

FOT. WIKIPEDIA

doznawała bólu w miejscach, w których ciało Chrystusa było przybite do krzyża.

„Ale, co chyba najbardziej zaskakujące, Wanda Boniszewska cierpiała w intencji nawrócenia największych zbrodniarzy owego czasu: Józefa Stalina, Adolfa Hitlera, a także nawrócenia Azjatów [...]. Boniszewska w bolesnej ekstazie była biczowana za Stalina, którego Chrystus stawiał przed wzrokiem jej duszy. »Józefowi Stalinowi przebac, daj mu światło, Jezusie, Adolfa nie odrzucaj, czy mu dałeś światło?«”. Działo się to podczas drugiej wojny światowej (Ewa K. Czackowska, „Mistyczki. Historie kobiet wybranych”, Kraków 2019).

W 1950 r. Boniszewska została aresztowana. Była brutalnie przesłuchiwana i bita podczas śledztwa, a także w więzieniu (została skazana na 10 lat pozbawienia wolności). Podczas ekstazy wymieniała nazwiska tych, za których się modliła i cierpiała: Ławrientija Berii i jego zastępcy Wiktora Abakumowa. Na pytanie, skąd zna te nazwiska, odpowiadała, że od Anioła Stróża.

Boniszewska wyszła na wolność w 1956 r. i wyjechała do Polski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rok Ruszczyca



Tomasz Stańczyk

W listopadzie UNESCO ogłosiło rok 2020 Rokiem Ferdynanda Ruszczyca. Stało się to na wniosek Polski i Białorusi, przy poparciu Rosji i Litwy. Białoruskie media poinformowały o tym natychmiast, w polskich mediach wiadomość ta nie zaistniała. Co dziwniejsze, komunikatu o roku Ruszczyca nie ma (piszę to 6 grudnia) na stronie Polskiego Komitetu ds. UNESCO.

W roku 2020 przypada 150. rocznica urodzin Ferdynanda Ruszczyca, znakomitego malarza (słynne obrazy „Nec Mergitur” i „Ziemia”), profesora kilku uczelni artystycznych. Ruszczyca urodził się w Bohdanowie, dziś na Białorusi. Czwierć wieku spędził w Wilnie. Zamieszkał w tym mieście w 1908 r. i od razu przyczynił się do ożywienia życia kulturalnego. Był twórcą scenografii do sztuk wystawianych przez pierwszy po powstaniu styczniowym polski teatr w Wilnie, pod dyktando Nuni Młodziejowskiej. Zainspirował powstanie „Tygodnika Wileńskiego”, gdyż – jak stwierdzał – brakowało pisma ujmującego sprawy głębsze.

Zachwycony Wilnem – Florencją Północy, jak je nazywano – odkrywał przed Polakami i propagował jego piękno i historię. To właśnie dzięki Ruszczycowi posadę miejskiego fotografa otrzymał Jan Bułhak, który zamiast wykonywać zdjęcia typowo inwentaryzacyjne, stworzył artystyczny portret miasta i jego zabytków. Ruszczyca bardzo przyczynił się do powstania Uniwersytetu Stefana Batorego. Był profesorem tej uczelni i dziekanem Wydziału Sztuki, wielkim autorytetem w dziedzinie kultury.

Dwa lata temu w Bohdanowie odbyła się międzynarodowa konferencja poświęcona Ferdynandowi Ruszczycowi. Mówiono wówczas o stworzeniu tam międzynarodowego centrum kultury, muzeum poświęconego artyście i nawet rekonstrukcji dworu Ruszczyków, który spłonął latem 1944 r. podczas przechodzenia frontu. Wnuk artysty – Ferdynand Ruszczyca – założył wówczas Fundację Nec Mergitur z myślą o zaangażowaniu się w polsko-białoruski projekt. Strona białoruska przeznaczyła na siedzibę muzeum budynek po szkole muzycznej, a fundacja, korzystając z grantu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, wykonała projekt ekspozycji muzealnej. Niestety, na razie się na tym skończyło.

Pozostaje kwestia remontu i adaptacji budynku na cele muzealne. Ferdynand Ruszczyca mówi, że były obietnice i ze strony ministerstwa i Senatu finansowego wsparcia tego przedsięwzięcia, ale wciąż brak konkretów. I – jak stwierdza – nie uda się, niestety, otworzyć muzeum w Bohdanowie w 150. rocznicę urodzin malarza, przypadającą w grudniu 2020 r. Będzie dążyć jednak do tego, by powstała wystawa tymczasowa.

Czy rok Ferdynanda Ruszczyca podzieli los roku Napoleona Ordy, kiedy to Białorusini zrobili znacznie więcej niż my dla przypomnienia tego artysty, według którego rysunków powstał słynny „Album widoków historycznych Polski”? Nic nie słysząc, by planowano w Polsce dużą wystawę poświęconą Ruszczycowi, a taką szykują Białorusini w Mińsku. A potem będą żale i pretensje, że sąsiedzi przywłaszczają sobie naszych twórców. Strzeżmy się grzechu zaniechania. © ©



Obraz Jana Matejki „Batory pod Pskowem”; u góry: herb Batorego – Smocze Żęby; na stronie obok: pałasz Batorego z klasztoru na Jasnej Górze

FOT. WIKIPEDIA

1533–1586 / Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej: Stefan Batory

Wojownik z Siedmiogrodu



Maciej Rosalak

Stefan Batory jest jak węgierskie wino z najlepszego rocznika: im bardziej upływa czas, tym bardziej trzeba cenić ów szlachetny trunek...

Oto strofy Jana Kochanowskiego poświęcone wojennym przymiotom Stefana Batorego. Zawarł je w utworze „Orfeusz Sarmacki” – napisanym po łacinie

epilogu „Odprawy posłów greckich”, którego premiera odbyła się 12 stycznia 1578 r., podczas wesela Jana Zamoyskiego z Krystyną Radziwiłłówną. W XIX w. utwór doczekał się tłumaczenia Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli):

*Oto król nasz, ze szczerbcem i koniem zaznany,
Godzien chodzić o lepszą z pierwszymi hetmany,
Nie w dziecięcej kolebce, nie w równiance z kwiatów,
On powołan na zącną stolicę Sarmatów.
Nie tam, gdzie brzęk pucharów, gdzie się piosnek słucha,
Lecz na bojach północnych usposobił ducha,
Kształcił się pod proporcem, jako Marsów uczeń.
Za nim! za nim, Sarmaci, do mieczów, do włóczeń!
Wspomnijmy na ojczystą dzielność znakomitą,
I uderzmy na wrogi, jako dawniej bito.*

*Jako dawniej uwieńczmy wawrzynem pałasze,
Bóg z nami, wódz przed nami i zwycięstwo nasze!*
Batory przybył do nas, będąc księciem Siedmiogrodu – a więc tej części Węgier, która po bitwie pod Mohaczem (1526)

nie przeszła pod panowanie habsburskie, ale stała się zależna od Turcji. Jej władcy znajdowali się między tureckim młotem a habsburskim kowadłem, próbując – niekiedy z powodzeniem – zrzucić obydwa jarzma. Należał do nich również Stefan Batory, który księciem – dzięki poparciu sułtana Selima II – został obрани przez siedmiogrodzki sejm w 1571 r. Płacił Turkom haracz. Gdy nadarzała się sposobność, bił wojska ościennych potęg lub rozgrywał ich popleczników. Trzeba tu wymienić m.in. krwawą bitwę z wojskami cesarskimi pod Hadad (1562), która zmusiła Wiedeń do zawarcia rozejmu, zdobywanie twierdz zajętych przez przywódcę stronnictwa prohabsburskiego Kaspera Bekiesza (1573) czy zwycięstwo nad habsburską armią pod Kerelöszentpál (1575).

Nie miał łatwo

Od wczesnej młodości do wieku dojrzałego uczył się polityki i wojny. Celem jego życia było zrzucenie supremacji Osmanów, odbicie Budy z rąk Habsburgów, połączenie wszystkich ojczystych ziem w odrodzonym królestwie Węgier. Uczynił wprawdzie swym następcą w Siedmiogrodzie swego brata Krzysztofa, ale nadal sam podejmował najważniejsze decyzje w zakarpackich sprawach, a na Wawelu zorganizował osobną kancelarię do prowadzenia tych spraw. Niektórzy historycy sądzą, że wcale nie zamierzał poprzestać na trzech kampaniach przeciw Iwanowi IV, ale zdobyć tron w Moskwie, a następnie – z całą siłą huńsko-słowiańską oraz ze wsparciem papieża – ruszyć na Konstantynopol.

Starał się, by nie być u nas „królem malowanym”, lecz rzeczywistym. Udało mu się to w pewnej mierze dzięki Janowi Zamoyskiemu, któremu powierzył – wbrew zwyczajowi – zarówno urząd kanclerza, jak i hetmana wielkiego. Uczynił go też hetmanem dożywotnim, co stało się od tej pory regułą, niezbyt korzystną w przyszłości. Dzięki Zamoyskiemu wygrywał też spory z sejmem, odwołując się do sejmików, co także wiodło w przyszłości do anarchii. Zatwierdził wyrok śmierci wydany przez Zamoyskiego

na Samuela Zborowskiego (1684). Mimo że udowodniono zdradę Samuela i jego brata, szlachta okrzyknęła Batorego tyranem. Kraj załaty antykrólewskie paszkwile, w których zarzucano królowi również otaczanie się Madziarami i promowanie ich kosztem miejscowej szlachty. Rokosz wisiał na włosku.

Polska szlachta katolicka zarzucała monarsze wspieranie protestantów, a protestanci mieli mu za złe wspieranie katolików. Tymczasem Batory – sam wyznania rzymskokatolickiego – przyjął doniosły akt tolerancji religijnej konfederacji warszawskiej z 1573 r., surowo karał prześladowania innowierców, miał ich w swym najbliższym otoczeniu, ale zarazem wspierał Kościół rzymskokatolicki, a zwłaszcza kolegia zakonu jezuitów. W 1679 r. jezuickie kolegium wileńskie podniósł do rangi Akademii – pierwszego uniwersytetu na wschodzie Europy, z Piotrem Skargą jako rektorem. Wspomnijmy, że w Siedmiogrodzie akt tolerancji religijnej sejm w miejscowości Torda uchwalił już w 1568 r.

Już od koronacji i wesela na początku maja 1576 r. wyśmiewano małżeństwo 42-letniego Stefana z 10 lat starszą Anną Jagiellonką. Był to jednak warunek objęcia polskiego tronu; formalnie to Anna była najpierw obrana królową, któremu dobrano małżonka. Sumienny Madziar odwiedzał żonę przez trzy weselne noce („jako chłopca zaznała, zhardziła i gębę nosi wysoko” – pisał z Wawelu magnat do magnata). Potem przestał, więc sama Anna spróbowała nachodzić go w sypialni. Uciekał przed nią na polowania i wojny. Wojny wygrywał, ale kto wie, czy grudniowe polowanie w 1586 r. pod Grodnem nie przyczyniło się do jego śmierci...

Od samego początku nie miał u nas łatwo, jego koronację zignorowali bowiem prohabsbursko nastawieni Litwini i Prusacy, a Gdańsk zbuntował się przeciw wprowadzeniu statutów bp. Stanisława Karnkowskiego z 1570 r., przewidujących znaczne ograniczenie praw gdańskiego samorządu i pełną kontrolę polskiego króla nad handlem i flotą. Wojna ze zbuntowanym miastem stała się pierwszą

poważną próbą ogniową przybysza z Siedmiogrodu.

Na Gdańsk i Moskwę

W wojnie z Gdańskiem, polegającej głównie na blokadzie miasta i portu (galery ze zbożem kierowano do Elbląga), husaria wystąpiła po raz pierwszy jako jazda ciężka, przełamująca szyki wroga. Stało się to 17 kwietnia 1577 r. w bitwie pod Lubiszewem. Tam to 1,3 tys. polskich jeźdźców oraz 1 tys. węgierskich i polskich piechurów pod wodzą hetmana nadwornego Jana Zborowskiego rozgromiło znacznie liczniejszych nieprzyjaciół (10–12 tys.), z których większość stanowiła milicja miasta. Jak już pisałem („HDR” nr 77/2019), w oczach uczestniczącego w bitwie 30-letniego Żółkiewskiego, późniejszego zwycięzcy spod Kłuszyna, ów sukces dowiódł wyższości zawodowego wojska nad uzbrojonymi cywilami, skuteczności współdziałania dobrze wyszkolonej kawalerii i piechoty, druzgocącej siły naszych husarzy i bezsensu panicznej ucieczki, którą wywołała już druga ich szarża. Ponad 4 tys. gdańszczan zginęło, przy 60 naszych zabitych.

Podczas konfliktu z Gdańskiem do polskich Inflant wtargnął Iwan IV Groźny. Do miast, które od razu mu się poddały, wprowadzał swe załogi, opór karał okrutnymi rzeżami, gwałceniem kobiet, rabunkiem i pożarem. Kontrakcja nielicznych litewskich i kurlandzkich wojsk oraz pospolitego ruszenia pozwoliła z pomocą szwedzką na zatrzymanie Moskwiczinów, odbicie 17 miast wraz z Dyneburgiem i zawarcie nietrwałego rozejmu.

Batory odrzucił wtedy statuty Karnkowskiego, a za to mieszczenie uroczyscie otworzyli przed nim wrota, zaprzysięgli mu wierność i – co go szczególnie ucieszyło, bo potrzebował pieniędzy na rozprawę z Iwanem – zapłacili mu 200 tys. zł kontrybucji. Tyle samo otrzymał od Hohenzollernów brandenburskich za zgodę na opiekę nad ich umysłowo chorym krewniakiem – Albrechtem Fryderykiem – w Prusach. Co prawda złożyli mu hołd z Prus, ale niebezpiecznym byłym w polityce oddzielania obu linii Hohenzollernów został uczyniony.

Prezent za uchwalenie podatków na wojnę – mającą przecież żywotne



■ znaczenie, zwłaszcza dla Litwy – otrzymała również szlachta. Ustanawiając w 1578 r. Trybunał Koronny, a trzy lata później Trybunał Litewski, król zrezygnował z naczelnej władzy sądowniczej. Zanim zaprzysiął pacta conventa i artykuły henrykowskie, zakwestionował absurdalny zapis o tym, że pospolite ruszenie nie może być dzielone na mniejsze oddziały i przebywać poza granicami Rzeczypospolitej dłużej niż dwa tygodnie. Kiedy zauważył, że przecież wróg z pewnością się wykorzysta, aby stoczyć walną bitwę w miejscu i w czasie dogodnym dla niego, usłyszał, iż szlachta każdorazowo może da się przekonać i zgodzić na ominięcie tego zapisu.

I tak król musiał godzić się na rezygnację z naprawy Rzeczypospolitej, aby móc ją ocalić czynem orężnym. Geniusz militarny, który wykazał już w Siedmiogrodzie, przejawiał się w strategicznym planie całej wojny z Moskwą. Otóż nie szukał nieprzyjaciół w najechanych przez nich Inflantach, lecz ruszył w granice państwa moskiewskiego, atakując w trzech wyprawach (w latach: 1579, 1580, 1581) jego zachodnie twierdze: Połock, Wielkie Łuki i Psków. W ten sposób odcinał wojska Iwana IV od zaplecza, a sam zyskiwał podstawę do ofensywy w samo centrum jego włości.

Rzeczpospolita wystawiła 56-tysięczną armię wyposażoną w 67 dział. Z tego blisko 3 tys. skierowano do obrony zamków w Inflantach i we wschodniej Litwie, a 1,6 tys. oddano pod komendę starosty orszańskiego Filona Kmity, który miał ubezpieczać oblężenie Połocka. Pod tę twierdzę Batory dotarł w pierwszej połowie sierpnia 1579 r. z niemal 30-tysięczną jazdą oraz prawie 12-tysięczną piechotą. Wojskami litewskimi dowodzili dwaj Radziwiłłowie: Mikołaj Rudy – hetman wielki oraz Krzysztof Piorun – polny. Oddziały koronne znajdowały się pod dowództwem hetmana wielkiego Mikołaja Mieleckiego.

W szturmach na Połock wyróżniła się piechota wybranecka, która wtedy właśnie po raz pierwszy w dziejach pojawiła się na polu walki. Jej zacięte ataki i artyleryjskie pociski zapalające, od których pożary ogarnęły drewnianą twierdzę, spowodowały kapitulację załogi już po 20 dniach oblężenia. Zdobyto 37 ciężkich dział, 300 hakownic, 600 rusznic i zapasy żywności. Epilogiem było zdobycie Sokoła zajętego przez

odsiecz moskiewską i wycięcie pięciotyśięcznej załogi.

Jeszcze krócej – bo od 29 sierpnia do 5 września 1580 r. – trwało oblężenie Wielkich Łuk. Nasza armia była równie liczna co przed rokiem, bo szlachta znów się opodatkowała (!), podobnie jak dzierżawcy królewskich ziem i duchowieństwo. Miasto i zamek zostały zniszczone katastrofalnym wybuchem prochu. Innymi przewagami naszych sił podczas kampanii wielkołuckiej były: zdobycie Wielża i Zawołoczy przez Jana Zamoy-skiego (zastąpił Mieleckiego, który obraził się na króla), świetne zwycięstwo Janusza Zbaraskiego na czele 2,5 tys. jazdy nad czterotysięczną doborową kawalerią moskiewską pod Toropcem, zdobycie kolejnych twierdz na pograniczu moskiewskim.

Oblężenie Pskowa, które Batory rozpoczął latem 1581 r., nie zakończyło się zdobyciem silnie ufortyfikowanego miasta. Iwan IV okazał się jednak bezradny wobec Batorego. Musiał uciekać wraz z dworem podczas słynnego zagonu sześciotysięcznego korpusu jazdy pod wodzą Pioruna, który dotarł aż w dorzecze górnej Wołgi, i wreszcie odpiarać nacisk wojsk Szwecji, która skorzystała z jego klęsk w wojnie z Batorym. Jak niepyszny zawarł 15 stycznia 1582 r. w Jamie Zapolskim 10-letni rozejm, zwracając Inflanty, Połock i wszystkie inne ziemie nam zagrabione.

Rzeczpospolita wygrała nie tylko – jak dotąd – bitwy z niezwykle groźnym przeciwnikiem, ale całą wojnę. Utrzymywała w ciągu trzech lat wystarczająco silną armię z wodzem królem na czele. Dzięki niemu miała też doskonałych żołnierzy, w pełni przystosowanych do postawionych zadań.

Reforma armii

Znakomity znawca staropolskiej sztuki wojennej prof. Mirosław Nagielski tak odpowiedział na moje pytanie o naszych największych wodzów z wieków XVI i XVII: „Na pewno trzeba wziąć pod uwagę koronowane głowy, od których zależało planowanie, finansowanie i prowadzenie całych kampanii. Wymieniłbym tu króla Stefana Batorego, który jak nikt inny zrozumiał istotę sztuki wojennej, czyli współdziałanie wszystkich rodzajów wojsk, i potrafił ją urzeczy-



Szlachcic w delii z rękawami do łokcia, pod nią żupan podkasany, obcisłe spodnie i żółte półbuty z ostrogami. Dłoń trzyma na szabli – batorówce

RYS. MAREK SZYSZKO

wistnieć w wyprawach przeciw Moskwie, zdobywając Połock oraz Wielkie Łuki, oblegając Psków i zyskując zwycięski pokój”.

Reorganizacja jazdy, której dokonał król, polegała na ostatecznej rezygnacji z zakutych w stal kopijników. Ich rolę przejęli lżejsi opancerzeni husarze. Do szarzy chorągiew husarska stawiała w dwóch lub trzech szeregach. Około 200 konnych zbrojnych było w kopie, koncerze, szable, a często też pistolety. Wykazali najwyższy w Europie hart ducha, męstwo, upór, posiadali niezwykle umiejętności jeździeckie i bojowe. Kiedy w pierwszym starciu połamano kopie, wyciągano koncerze i na nie nadziewano wroga. Gdy trzeba było pozostawić wbite głęboko w ciała nieprzyjaciół koncerze, sięgano po szable, czyli białą broń sieczną...

Tak zwane chorągwie kozackie (pancerne) stanowiły jazdę lżejszą, używaną w granicznej obronie potocznej, do wstępnych bojów, pościgu i wspomagania husarii w walnej bitwie. Jeszcze lżejsze były chorągwie tatarskie, niezastąpione zwłaszcza w rozpoznaniu, zasadzce czy okrążeniu przeciwnika. Za Batorego nasza armia po raz pierwszy mogła liczyć na stałe zaprzęgi do dział oraz na piechotę, nieodzowną do ataków ogniowych, robót saperskich, podczas oblężeń i pokonywania przeszkód terenowych w czasie marszów.



Piechurzy wybranieccy, uzbrojeni i ubrani
w Rzeczypospolitej na wzór węgierski

RYŚ. MAREK SZYSZKO

W 1578 r. zorganizowano – poza zaciągami w Niemczech – oddziały piechoty wybranieckiej, czyli łanowej. Z każdych 20 łanów ziemi uprawnej wybierano jednego chłopca. Otrzymywał on własne gospodarstwo, jego powinności spełniali gospodarze z pozostałych 19 łanów. Za to zobowiązany był do stawienia się na wezwanie w mundurze, z rusznicą, toporem i szablą. W czasie pokoju raz na kwartał meldował się na ćwiczenia u rotmistrza lub porucznika, a w razie wojny – natychmiast. Otrzymywał wtedy żołd równy temu, który otrzymywali inni żołnierze formacji pieszych. Król liczył, że da mu to przynajmniej 20 tys. rodzimej piechoty, ale sejm obciążył wybrańcami jedynie królewszczyzny, co pozwoliło na 3 tys.

Jako uzupełnienie Batory sprowadził rotę doskonałej piechoty z Węgier. I „wybrańcy” i „hajduacy” stosowali tzw. napad ogniowy. 100-osobowa rota ustawiała się w 10 szeregów po 10 ludzi. Dziewięć pierwszych szeregów kłęczało, ostatni oddawał salwę nad głowami kolegów, wstawał następny i strzelał, i tak kolejno od końca wszystkie szeregi oddawały salwę, mając następnie czas na powtórne załadowanie broni. Umiejętność prowadzenia ognia ciągłego dała piechurom (i artylerzystom) miano „ludu ognistego”, stanowiącego często nie mniej ważny element staropolskiej sztuki wojennej co nasza słynna jazda. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kołędy A.D. 1914



Maciej Rosalak

Wojnę 1914 r. papież Benedykt XV nazwał na początku grudnia samobójstwem cywilizowanej Europy. Poprosił rządy, aby przynajmniej w Boże Narodzenie ogłosiły zawieszenie broni. Bezskutecznie. W Wigilię ludzkim głosem przemówili jednak niektórzy ludzie w mundurach.

Jeden z angielskich żołnierzy pisał: „Kiedy zapadł zmrok, nad okopami zapanowała cisza, jakiej nie było od miesięcy. Jak okiem sięgnąć, niemieckie pozycje mieniły się setkami światełek. Ustawili na linii okopów małe choinki, na których wisiały lampiony ze świeczkami. Chwilę później usłyszeliśmy, jak śpiewają »Stille Nacht«. Kiedy skończyli, chłopaki z naszego okopu zaczęli bić brawo i zaintonowali »The First Noel«. Wtedy Niemcy nagrodzili nas brawami i zaśpiewali »O Tannenbaum«. Odpowiedzieliśmy im, śpiewając »O come all ye faithful«, a wtedy oni zaśpiewali tę samą kolędę po łacinie: »Adeste Fideles«. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie niczego bardziej nieprawdopodobnego...”. Zawarto rozejm, wymieniano się upominkami, wspólnie chowano poległych i uczestniczono w mszy św. na polu niczym. Brytyjski oficer wspominał: „Nasz kapelan czytał modlitwy po angielsku, a później po niemiecku czytał je chłopak, który studiował ten język. Niemcy stali po jednej stronie, Anglicy po drugiej, oficerowie w środku...”.

Tak było we Flandrii, między Niemcami a Brytyjczykami; tam, gdzie byli Francuzi, wypadki fraternizacji zdarzały się sporadycznie. W okopach na wschodzie kolędy zabrzmiały pod Łowczówkiem na Pogórzu Rożnowskim. Śpiewali je Polacy. Z jednej strony legionści z I Brygady; a z drugiej – żołnierze w rosyjskich mundurach. Sławoj Felicjan Składkowski, wówczas lekarz, wspominał: „Głodni, brudni, bez zdejmowania butów od czterech dni, uważamy się i tak za uprzywilejowanych wobec naszych chłopców, którzy te cztery dni siedzą w okopach, na zimnie, często o trzydzieści kroków od Moskali. W tę noc wigilijną chłopcy nasi w okopach zaczęli śpiewać »Bóg się rodzi«... I oto z okopów rosyjskich Polacy, których dużo jest w dywizjach syberyjskich, podchwycili słowa pieśni i poszła w niebo z dwóch wrogich okopów!”.

„Bóg się rodzi” można było usłyszeć także z okopów żołnierskich nad Bzurą, Rawką i pod Sochaczewem. Jednak i tam w święta A.D. 1914 armaty waliły, a żołnierzy posyłano do ataków. Prawosławni Rosjanie obchodzili Wigilię dwa tygodnie później... Oto strzęp relacji: „Urza! Urza! Jezus, Maria! – krzyknęli sybiracy, gramoląc się z okopów. – Herr Jesus! Gott mit uns! Vorwärts! – odpowiedzieli grzmiąco Niemcy, a tu i ówdzie w ich, jak i w rosyjskich szeregach, ozwało się dobitnie: – Bij, psakrew! To mazury w »pikelhaubach« i mazury w »papachach« zagrzewali jedni drugich do tem tęższego natarcia”. I jeszcze Składkowski: „Gdy nasi po wspólnym odśpiewaniu kolęd krzyknęli: »Poddajcie się, tam, wy Polacy!«, nastała chwila ciszy, a później – już po rosyjsku: »Sibirskije strielki nie sdajut-sia«. I po świętach...”

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

GETTO W PRZEMYSŁU
UTWORZONO 16 LIPCA 1942 R.
ZARZĄDZENIEM KOMISARZA
MIASTA BERNHARDA
GIESSELMANNA.
TRAFILI DO NIEGO ŻYDZI
Z CAŁEGO POWIATU
PRZEMYSKIEGO - SZACUJE SIĘ,
ŻE BYŁO TO OKOŁO
22 TYŚĄCE OSÓB.



WŚRÓD POLAKÓW
POMAGAJĄCYM MIESZKAŃCOM
GETTA, BYŁ MIĘDZY INNYMI
MICHAŁ KRUK, MIESZKAŁ ON
W DOMU PRZY UL. KOPERNIKA,
KTÓRA GRANICZYŁA
Z GETTEM.

MICHAŁ KRUK ORGANIZOWAŁ
UCIECZKI Z GETTA,
POMAGAŁ MU W TYM
MARIA KURAS.
DZIĘKI NIM DO RODZINY
BANASIEWICZÓW
MIESZKAJĄCYCH
W ORZECZONICZACH
NIEDALEKO PRZEMYSŁA
TRAFIŁO KILKA ŻYDOWSKICH
RODZIN.



W LATACH 1942-1944
BANASIEWICZOWIE
UKRYWALI W SPECJALNIE
PRZYGOTOWANYM SCHRONIE
PIĘTNASTORO ŻYDÓW:
SALOMONA EHRENFREUNDA,
IZAAKA EHRENFREUNDA
I JEGO ŻONĘ JANINĘ,
JAKUBA NASSANA Z ŻONĄ EUGENIĄ,
MARCELEGO TEICHA,
FELE SCHATNER,
FAJGĘ WEIDENBAUM,
EDMUNDA ORNERA,
BENIAMINA SCHATPATERA,
BENIAMINA REINHARZA,
JEGO ŻONĘ BERTĘ
I SYNA SAMUELA ORAZ
JÓZEFA WAJNDLINGA
Z ŻONĄ LOTKĄ.

4 WRZEŚNIA 1943 R. W MIESZKANIU MICHAŁA KRUKA ZJAWILI SIĘ NIEMCY
POD KOMENDĄ SS-HAUPTSTURMFÜHRERA JOSEFA SCHWAMBERGERA.

ARESZTOWANO MICHAŁA KRUKA A PÓŹNIEJ TAKŻE MARIĘ KURAS.
WIADOMOŚĆ O TYM DOTARŁA WKRÓTCE DO RODZINY BANASIEWICZÓW.



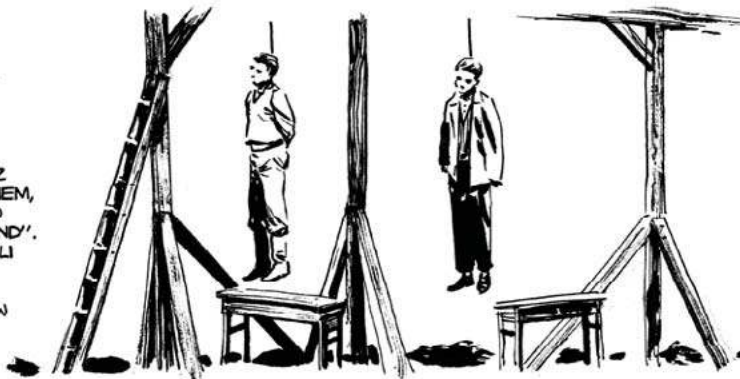
NIE WIEM
O CO CHODZI,
JA NIC
NIE MAM...

A CO JEŻELI
NIE WYTRZYMA
KATOWANIA I POWIE,
KTO POMAGA
ŻYDOM?



NIE WIEM.
WOLĘ O TYM
NIE MYŚLEĆ...

ZATRZYMANI NIE WYDALI
RODZINY BANASIEWICZÓW.
MARIA KURAS TRAFIŁA DO
OBOZU W PŁASZOWIE,
NATOMIAST MICHAŁ KRUK
ZOSTAŁ ROZSTRZELANY
6 WRZEŚNIA 1943 ROKU WRAZ
Z ALEKSANDREM HIRSCHBERGEM,
CZŁONKIEM ŻYDOWSKIEGO
ZWIĄZKU ROBOTNICZEGO „BUND”.
ICH ZWŁOKI NIEMCY POWIESILI
NA WIDOKU PUBLICZNYM
- CHCIELI W TEN SPOSÓB
ZASTRASZYĆ MIESZKAŃCÓW
PRZEMYSŁA.



MICHAŁ KRUK ZOSTAŁ
PRZEZ PREZYDENTA
ANDRZEJA DUDE,
POŚMIERTNIE ODZNACZONY
KRZYŻEM KOMANDORSKIM
ORDERU ODRODZENIA POLSKI.
NATOMIAST RODZINIE
BANASIEWICZÓW 17 LIPCA 1994 R.
PRZYZNANO TYTUŁ SPRAWIED-
LIWY WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA.
PONADTO 9 LUTEGO 2010 R.
ZOSTALI ODZNACZENI
KRZYŻAMI KOMANDORSKIMI
ORDERU ODRODZENIA POLSKI
PRZEZ PREZYDENTA RP
LECHA KACZYŃSKIEGO.

Polska prawica – i ta insurekcyjna, i ta narodowo-katolicka – jest antyniemiecka. Z definicji i to niemal w każdym wymiarze – od historycznego do politycznego (bieżącego)! W zasadzie Niemców się lubi u nas (także na prawicy) za „chemię niemiecką” i samochody. Wspólnotę niedoli chrześcijańskiej i wspólnych wartości jest nam najtrudniej budować właśnie z Niemcami. A szkoda, że odwołam się do żywego kultu św. Maksymiliana Kolbego wśród niemieckich katolików czy pięknych kart z historii zimnej wojny, które symbolizują nazwiska kardynałów Kominka i Wyszyńskiego, ale też próby porozumienia mozolnie budowane przez naszych niezłomnych wygnańców po 1945 r. – Tadeusza Katelbacha i Jana Starzewskiego, którzy z Hansem Roosem debatowali o stosunkach polsko-niemieckich na uniwersytecie w Tybindze.

/ Kiedy podczas wojny pojawiły się głosy wzywające do rozróżnienia między niemieckością a hitleryzmem, Matuszewski kategorycznie się im przeciwstawił

ty szerszej niż tylko polityczne punkty widzenia. Wspólnoty nadziei na lepszą Europę.

I kiedy o tym myślę, ja – człowiek nieznający niemieckiego języka, wcale niezafascynowany niemiecką kulturą czy historią, nie germanofil – to odwołuję się do myśli swoich nauczycieli. I wspominając tak często ostatnio Ignacego

się na Zachodzie pierwsze poważne głosy wzywające do rozróżnienia między niemieckością a hitleryzmem, za czym kryła się chęć uratowania wielkich Niemiec w nowej demokratycznej formule, Matuszewski kategorycznie się im przeciwstawił. „Walczyliśmy nie tylko z Hitlerem. Walczyliśmy z narodem niemieckim” – powtarzał, dodając, że problem niemiecki musi zostać po wojnie kompleksowo rozwiązany przede wszystkim dzięki zmianie granic państwa niemieckiego, co geostrategicznie miało osłabić na zawsze wpływ Niemiec na Europę Wschodnią.

„Odcięcie zatem północnego ramienia Niemiec, ramienia wyciągniętego wzdłuż Bałtyku aż do Kłajpedy, jest pierwszym warunkiem zniszczenia siły militarnej Rzeszy – pisał w geopolitycznym esej „Bałtyk». – Powrót zagrabionych niegdyś ziem mazurskich i litewskich, z których składają się Prusy Wschodnie, do Polski i do Litwy – to odebranie Niemcom nie tylko najpotężniejszej ich forticy, lecz stokroć więcej: to odebranie im pośrednio panowania nad całą Europą Środkową”. I jakże prorocze były też jego słowa na temat Niemców jako rzekomych ofiar hitleryzmu: „Do wszystkich głosów nawołujących z różnych kątów Europy i Ameryki do wielkoduszności wobec »biednych Niemców« należy się odnosić z największą podejrzliwością. Przez różne megafony i różnymi głosami im przemawiać p. Goebbels. Im bardziej nieuchronnie zarysować się będzie katastrofa wojenna Niemiec, tym bardziej gwałtownie i rozpaczliwie będą się Niemcy bronić przed odpowiedzialnością, usiłując nadać obecnej wojnie charakter wojny z totalizmem, a nie Niemcami. Nie wierzę, aby nie było podziemnych, duchowych związków pomiędzy niemieckimi przeciwnikami Hitlera, działającymi w krajach sprzymierzonych, a nim samym. Nienawiść wzajemna, prawdziwa zresztą – dzieli ich do pewnego punktu tylko. Od tego punktu cel Hitlera i cel jego niemieckich przeciwników będzie wspólny. Tak stanie się mianowicie wówczas, gdy chodzić będzie o ocalenie Niemiec, o ocalenie państwa niemieckiego, o ocalenie jego potęgi. Dlatego nie dowierzajmy zanadto nikomu, kto mówiąc o tej wojnie, mówi zbyt wiele o demokracji, a nic albo mało o Niemcach”.

Czytajcie Matuszewskiego! Bądźcie realistami także w antyniemieckości! ©©

/ Felieton



Sławomir Cenckiewicz

O antyniemieckość realną

Jest zatem antyniemieckość ślepa, zderzona przed wszystkim straszną tragedią drugiej wojny światowej i niemieckim ludobójstwem dokonanym na Polakach. Definiowana często dzisiaj przez pryzmat ideologii LGBT, której nośnikami ma być państwo niemieckie. I jest antyniemieckość realna, która każe nam piętnować niemieckie manipulacje historyczne, bronić naszego punktu widzenia i stanowiska na szachownicy polityki europejskiej, szukając jednocześnie przyczółków wspólnoty myślenia na niemieckiej scenie politycznej. Wspólno-

Matuszewskiego, przypominam sobie, jak sprzeciwiał się projektom z przełomu lat 1941/1942 zakładającym fizyczne unicestwienie narodu niemieckiego, tłumacząc, że byłoby to powielenie metod niemieckich. „Oczywiście, nie ma mowy o wytopieniu narodu niemieckiego – pisał Matuszewski w styczniu 1942 r. – Co więcej, nie ma mowy nawet o jego tępieniu. Są to metody, które Hitler właśnie, które Niemcy właśnie stosują i stosowały – ale są to metody, których ludzie kultury zachodniej stosować nie potrafią, choćby chcieli”. A kiedy podczas wojny pojawiały



TYLKO TRAFIONE PREZENTY



Militaria.pl

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POZNANIA • SZCZECIN AL. PIASTÓW 53
WROCŁAW OŁAWSKA 16 • WROCŁAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK